TRZEŹWOŚĆ

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI Z ALKOHOLIZMEM I ODRODZENIA NARODU,
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ“, ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW, KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW i WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM i INNYMI NAŁOGAMI „MENS“.

Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr. 8—9 SIERPIEŃ — WRZESIEŃ 1935 Rok X



Prof. Dr. Stefan K. Pieńkowski.

NARKOMANJA JAKO JEDNA Z FAŁSZYWYCH DRÓG WYZWOLENIA.

(Według odczytu w „Cyklu wykładów dla inteligencji“ (Kurs Alkohologji) w Krakowie, w dniu 9 kwietnia 1935 r.).

Z odwiecznych krain Nieznanego, z mroków leżących poza świadomością ludzką, z niedostępnych tajników Mocy twórczej, przesłoniętych oparem tajemniczości, wyłania się w cudowny sposób nowy świat drobny i niepozorny, przebija się poprzez niezbadane mroki i wkracza zwycięsko w znany nam, swojski krąg życia codziennego, wkracza jako dziecko rodu ludzkiego, jako zapowiedź przyszłego człowieka.

W swej wędrówce od mroków ku światłu niesie cząstkę owych Nieznanych Krain, niesie ją jako tajemnicę zamkniętą w ciasnych ścia-

nach swej ludzkiej postaci ku przyszłej radości, lub utrapieniu innych, nieświadom zawartości utajonego w nim skarbu.

Każdy z nas tajemnicę tę posiada, ale nikomu jej nie zdradzi, bo nie umie! Tajemnicą tą związani jesteśmy wszyscy jak przysięgą, wszyscy więc jesteśmy jakby cichymi spiskowcami, stanowimy sprzysiężenie, którego celem jest nasze własne życie.

I oto ten nowy świat wyczarowany łonem Matki-Tajemnicy zaczyna od pierwszej chwili swego życia ze zdumiewającym rozmachem i siłą, gigantycznemi krokami zdążać do celu swej wędrówki.

Po pierwszem wyzwoleniu się z chaosu, po przekroczeniu granicy odmętów niepoznawalnego, ten kruchy, pozornie bezradny, a w stosunku do dorosłego człowieka wątły i bezsilny twór wykazuje taką inicjatywę i takie tempo w swym rozwoju w ciągu najbliższych lat życia, na jakie później już nas nigdy nie stać, chyba w marzeniach sennych, w bajkach, w fantazjach nieziszczalnych, w których właśnie odzwierciadla się owo życie z dzieciństwa ludzkości, jakby odbicie żywych promieni słońca na martwym globie księżyca.

Nie tracąc ani jednej chwili czasu dziecko całkowicie i bezapelacyjnie pochłonięte jest wielkim procesem twórczym kształtowania człowieka, czyli wytwarzania takiego naporu sił, które swą prężnością doprowadzają w krótkim czasie do wyników, decydujących o całem dalszem jego życiu.

To nie są słowa, proszę Państwa. By się przekonać o prawdziwości tego, co mówię, wystarczy mi przypomnieć, że dziecko po urodzeniu rozporządza efektywnie bardzo ograniczonemi narzędziami życia; umie oddychać, krzyczeć, ssać, spać, wykonywać niezborne, bezcelowe ruchy rączkami i nóżkami, zaciskać rączkę dookoła włożonego w dłoń przedmiotu, oraz spełniać ogólne czynności fizjologiczne. A po 3 latach normalnego rozwoju ma już poczucie czasu, zna przestrzeń, umie chodzić, mówić, zdaje sobie dobrze sprawę z prostszych stosunków życiowych, wyodrębnia doskonale swoje ja od otoczenia, któremu przeciwstawia się z całą stanowczością i t. d. i t. d.

W tem wyścigowem tempie dziecko wyzwala się z swej bezradności wobec świata otaczającego, wykuwa własne narzędzia cielesne i psychiczne, które coraz bardziej wyodrębniają je od całej reszty świata i dochodzi wreszcie między 15 — 18 rokiem życia do fazy uniezależnienia się od opieki przedewszystkiem rodzinnej i gotowości do samodzielnego, wyodrębnionego życia.

Ale nie koniec na tem, nie w tem miejscu kończą się zadania człowieka i gdyby rozwój dziecka dalej się nie posuwał, ludzkość musiałaby zniknąć z powierzchni ziemi. Dotychczas bowiem dziecko zdążyło wytworzyć całe uzbrojenie niezbędne dla życia jednostkowego, indywidualnego.

Obecnie musi przejść poprzez tę metę i ruszyć w kierunku wprost przeciwnym: nie utrwalania granic swej młodej osobowości, a przerzucenia poprzez te granice mostu w nieskończoność, w trwanie pozaosobnicze, musi wkroczyć na drogi mgłą okutane, a zapewniające byt pokoleniom. Musi więc stanąć oko w oko z trudnem zagadnieniem niezniszczalności życia, poświęcenia własnej osobowości dla celów przekraczających możność sprawdzenia ich bezpośredniego.

Okres samozakochania, umiłowania siebie, jako ośrodka świata,

kończy się i przechodzi w burzliwy i trudny, a bezlitosny okres umiłowania innych. Gorący i bogaty w przeżycia okres rozwoju seksualnego, fizycznego i psychicznego o niespożytej sile dynamicznej, przynosi najwięcej zmian i niespodzianek po pierwszym okresie dzieciństwa.

Następuje istotne oderwanie się duchowe od rodziny i najbliższego otoczenia, powstają ideały własne, rozbudowują się urządzenia do ich urzeczywistnienia, powstają gwałtowne załamania się i niebotyczne wzloty, rozległość wahań życia jest ogromna — co wszystko razem doprowadza do pogłębienia, do rozszerzenia i wszechstronnego umocnienia strumienia, zmieniającego swe płytkie, skaliste, nierówne dno na głębokie pełnowodne koryto okresu dojrzałości.

A dalej?

Dalej idzie długi, b. długi okres dojrzałości, różniczkowania swych sił psychicznych, radości i smutki związane z młodem pokoleniem własnem, lata podeszłe, starość i skok w nieskończone mroki tajemnicy, z oddaniem pochodni życia w ręce wyhodowanego potomstwa.

To urzeczywistnianie się, to stawanie się człowiekiem, przedstawione jakby w filmie o ogromnej szybkości ruchu taśmy, odbywa się kosztem rozmachu życiowego, w jaki został zaopatrzony ów zadatek na człowieka przez jego przodków. Im zawdzięcza on wyposażenie, jakie otrzymał na drogę zdobywania własnego życia, wykuwania własnej osobowości, owej krótkotrwałej samodzielności indywidualnej. Dzięki temu wyposażeniu przyszły człowiek może odczuwać, poznawać i działać.

Te niezwykłe urządzenia cielesno-psychiczne, umożliwiające odczuwanie, poznawanie i działanie, stanowią spadek po przodkach, są więc dziedziczonemi, wrodzonemi.

Muszą to być skarby bardzo wielkie, muszą to być siły wszechstronne i różnorodnie działające, jeśli zdolne są w ciągu całego długiego życia jednostki prowadzić ją poprzez nieznane trudności i ciągle nowe niespodzianki ku ostatniej przystani z zarzuceniem kotwicy w zaświaty.

Tych skarbów nie należy rozumieć jako bezpośrednio danych, gotowych narzędzi użyteczności. Są one zamknięte w nowem młodem życiu potencjalnie, tak jak myśl zamknięta w głowie genjusza, zdolna jest poruszyć ogromne dziedziny ludzkiego życia, nie wcześniej jednak, jak z chwilą wcielenia jej w czyn. Tę moc wcielania w czyn swych skarbów potencjalnych przynosi ze sobą na świat każdy z nas.

O zasięgu potencji utajonej w tym skarbie odziedziczonym poucza nas życie ludzi dorosłych kulturalnych, które wyrosło z tajemnic dziedzicznych i wspiera się na nich jak na *trwałej opoce*. Religje, sztuki, nauki, współżycie ludzi jako narodów, państw, ludzkości, praktyczne ujarzmienie sił kosmicznych i żywiołów, oto przykłady twórczej siły, zawartej w owych skarbach dziedzicznych, przykłady, które jasno i niedwuznacznie wykazują, że siły te zdolne są działać poza okresem życia osobniczego, że wykraczają one tak co do czasu, jak i pod względem przestrzeni poza ciasne ramy indywidualności ludzkiej.

W tym skarbie odziedziczonym, który przynosimy ze sobą na świat, muszą zatem istnieć zadatki tego wszystkiego, czego człowiek dokonał, dokonuje i dokonać może. Jeżeli chcielibyśmy wszystkie te zadatki ująć w jakieś syntetyczne ramy, to możnaby powiedzieć, że dziec-

ko w swym pierwotnym pędzie życiowym wykazuje kilka zasadniczych tendencyj, opatrzonych wartościami niezniszczalnemi w ciągu całego życia jednostkowego, a mianowicie:

1) tendencję do kształtowania się cielesnego, prowadzącą do wytworzenia ludzkiej postaci ze wszystkiemi jej narządami, powstającemi w określonej kolejności i ujawniającej się taką, a nie inną budową ciała, określoną zdolnością czynności regulacyjnych i reperacyjnych, z narządem centralnym nadrzędnym, jakim jest układ nerwowy;

2) tendencję samozachowawczą, która umożliwia zachowanie jednostki jako takiej, i w której tkwią *in potentia* jako pochodne:
   a) tendencja do wykazania swej mocy twórczej,
   b) tendencja kosmiczna, religijna do nieśmiertelności;

3) tendencję społeczną, prowadzącą poprzez rodzinę i naród do ludzkości i zapewniającą poczucie wspólnoty między jednostką, a otoczeniem;

4) tendencję generacyjną wreszcie, jako instynkt seksualny i macierzyński, zapewniającą ciągłość życia pokoleń.

Współdziałanie wszystkich tych tendencyj i harmonijny ich rozwój zapewnia wykształcenie się człowieka pełnego, kulturalnego, a zależnie od większych lub mniejszych akcentów położonych prawem dziedziczenia na pewnych z tych różnorodnych tendencyj, powstają jednostki o różnych temperamentach, o różnej inteligencji i o odrębnym sposobie działania i postępowania.

To wszystko, co powiedziałem, oświetla nam tylko jedną stronę życia człowieka, mówi bowiem o jego wyposażeniu wrodzonem i o możliwościach przekształcania się tego wyposażenia w ciągu życia, nie uwzględnia zaś jeszcze całokształtu warunków, w jakich to życie powstaje i tworzy się.

Otóż całokształt wpływów niezależnych od nowego młodego tworzącego się życia, nie przekazanych mu jako jego własna moc twórcza, a jednak tak ważkich dla kształtowania się człowieka, nazywamy *otoczeniem.*

Jeżeli to, co przynosi dziecko w postaci właściwości odziedziczonych, zależne jest wyłącznie i jedynie od rodziców i dalszych przodków, to otoczenie składa się z niezliczonych momentów, działających w każdej chwili z różnych stron na te wrodzone właściwości dziecka i zmuszających je do takiego czy innego zachowania się. Otoczenie zmusza do odpowiedzi, do reakcji.

Ta różnorodność warunków otoczenia, które są odmienne w każdej chwili życia jednostki, a tembardziej inne u poszczególnych jednostek, działa kształtująco na wrodzone tendencje, pobudza je lub hamuje, sprzyja pewnym tendencjom, zwalcza inne, towarzysząc człowiekowi w ciągu całego jego życia.

Jeżeli wszystkie zadatki odziedziczone nazwiemy *konstytucją* danego człowieka, to przez działanie na tę konstytucję warunków zewnętrznych otoczenia, powstaje jako wynikowa to, co nazywamy *charakterem* człowieka.

W życiu zatem dorosłego człowieka, postępki jego, czyny, zachowanie się zależą od wytworzonego charakteru, czyli od współdziałania właściwości odziedziczonych z wpływami otoczenia.

To współdziałanie polega na tem, że te tendencje odziedziczone, albo ulegają wpływom świata otaczającego, albo im się przeciwstawiają, chłoną jedne, a odrzucają inne. Zależnie więc od tego, w jakiej kulturze otoczenia wyrasta młoda latorośl, wpływy zewnętrzne budzą te, lub inne tendencje silniej. Religja, obyczaje, tradycje, epoka, klimat, charaktery rodziców są tak różne w różnych krajach, a każdy kraj postuluje z góry prawdziwość wyłączną tylko swoich warunków bytowania i narzuca je siłą młodemu pokoleniu, i tak czynić musi, jeśli nie chce zginąć.

Weźmy pod uwagę dwa zasadnicze zadania, jakie każdy człowiek ma do spełnienia w życiu. Wydają się one takie proste, łatwe, tak jasno wskazujące właściwe drogi. Stojąc na wyłuszczonem dotychczas stanowisku, te dwa zadania sprowadzają się do:

1) doprowadzenia swego indywidualnego rozwoju do *maximum*, na jakie daną jednostkę stać i
2) wytworzenia potomstwa zdolnego z kolei rzeczy do wysokiego rozwoju osobniczego i pokoleniowego.

Zdawałoby się, że drogi odpowiednie do tych celów znaleźć łatwo, a jeśli ktoś zagubi swą własną, również łatwo wskazać mu ją i wykolejeńca z powrotem wkoleić, jeśli tak można się wyrazić.

Obserwacja życia druzgocze tę pozorną łatwość, zadaje jej kłam i każe twierdzić, że dla większości ludzi najtrudniejszem jest należyte przebrnięcie przez życie. Do pierwszego wniosku dochodzą może tylko ludzie b. ograniczeni, reszta odczuwa doskonale, że ciągle błądzi, szuka, znajduje na chwilę swą drogę, która w następnej chwili już zdaje się, nieodpowiednią, porzuca ją więc , cierpi, rzuca się w innym kierunku i na tem schodzi całe życie.

Niełatwem bowiem jest dostąpienie poznania z drzewa wiadomości dobrego i złego.

Człowiek każdy walczy, walczy o swój los, o swe prawo do takiego a nie innego wypełnienia dwóch kardynalnych zadań, o swój udział w szczęściu.

A gdzie szukać tego probierzu, tej miary szczęścia zdobywanego, przez jednostkę. Takich miar ogólnie obowiązujących, objektywnych niema i być nie może. Jedynym wykładnikiem szczęścia i jego stopnia u poszczególnego człowieka jest on sam, ze swym stanem szczęśliwości.

A więc tyle probieży szczęścia na ziemi, ilu jest ludzi.

Genjusz, artyzm, głęboka wiara, powodzenie, władza, bogactwo, wielka inteligencja, walka do zwycięstwa uważane są przez jednych za wyrazy szczęścia,—ubóstwo, ascetyzm, odmawianie sobie wszystkiego, podporządkowanie się, zadawalanie się małem, cierpienie, uległość z równem prawem uważane są przez innych za wykładnik szczęścia. Takie szeregi rzekomych sprawdzianów szczęścia można mnożyć bez końca. W szeregach tych dopatrzeć się można różnorodności źródeł, z jakich płyną te rzekome cechy szczęścia, mówią nam one o wielopostaciowości

charakterów ludzkich, o ich złożonej strukturze, o czem przekonują nas w najbardziej szczytnej postaci poglądy filozoficzne wielkich ludzi. Znajdziemy tu apoteozę epikureizmu i ascetyzmu, znajdziemy uzasadnienie potrzeby tworzenia i dążenia do nadludzi, spotkamy również drogi zwrócone wyłącznie w kierunku uproszczenia ludzi i t. d.

Jednak i to indywidualne poczucie szczęścia przez daną jednostkę w określonej chwili, nie jest dla niej samej czemś niezmiennem, trwałem, stabilizowanem o tyle, że może służyć w każdej chwili własną, osobistą miarą. Człowiek bowiem przyzwyczaja się do swego stanu wewnętrznego tak dalece, że to, co jeszcze wczoraj wydawało się szczytem szczęścia, już pojutrze może niem nie być i znowu powstaje stan nienasycenia. U jednych ludzi występuje to łatwo, u drugich trudniej— to prawda, ale wszyscy skazani są na niepewność, czy osiągnięte szczęście będzie niem nazajutrz.

Dlatego też, mimo, że nie możemy poznać bezpośrednio szczęścia innych, a nawet własnego, mamy możność stwierdzenia, że istotą jego jest nie osiągnięcie z uczuciem nasycenia, a jedynie zdążanie do celu swego szczęścia.

Stąd prosty wniosek, że szczęście tem jest większe i pewniejsze, im cel leży dalej, im trudniej jest osiągalny, a więc im bardziej jest rozległy. W cel ten wkładamy nasze chęci i życzenia, które nazywamy ideałami.

I oto człowiek, zależnie od swego charakteru i inteligencji, zdąża do swego celu, stopniowo wyzwala się z przeszkód spotykanych na swej drodze, a im więcej odnosi zwycięstw prawdziwych, tem bardziej wzrasta w nim wiara w ostateczne wyzwolenie i tem silniej pobudza go do dalszej pracy w tym kierunku.

W swym twórczym pochodzie ku lepszej przyszłości, w owej pogoni za szczęściem, największe szanse zwycięstwa ma ten, u którego harmonijnie współdziałają wszystkie tendencje odziedziczone wraz ze wszystkiemi wpływami świata otaczającego. Pierwszym warunkiem tej harmonji jest należyte poczucie rzeczywistości, co oznacza dostatecznie zwartą i rozwiniętą osobowość jako przeciwstawienie się otoczeniu. Wykształcona bowiem osobowość jest warunkiem *sine qua non* pełnego człowieka. Prawdziwa osobowość postuluje dwie odrębności: własną i świata otaczającego, oraz niezliczone łączniki, wiążące oba te światy ze sobą.

Wszystkie reakcje, zachodzące między światem własnym a otoczeniem, doprowadzające do wytworzenia owych łączników, rozgrywają się między dwoma biegunami, a mianowicie:

1) nastawienia się na działanie świata zewnętrznego, poddania się jego wpływowom i
2) odwrócenia się odeń, zamknięcia w sobie i oddania się całkowitego wyłącznie samemu sobie.

W obu tych reakcjach stwierdzamy doskonałe urządzenia, zapewniające każdemu człowiekowi: 1⁰ współżycie z otoczeniem, 2⁰ zachowanie własnej osobowości. Reakcje te muszą być w stałem pogotowiu, każda z nich bowiem może być niezbędna w kolejno zmieniających się sytuacjach życiowych.

Reakcje te nie są bynajmniej jakimś prostym mechanizmem odruchowym, ale zależą od innego składnika naszego życia psychicznego, a mianowicie od *uczuć*. Uczucie przykrości lub przyjemności obejmujące całą osobowość, kieruje jedną z owych reakcyj ku obronie zagrożonej osobowości, nastawiając ją ku danej podniecie zewnętrznej, albo też chowając się w siebie i unikając jej. Uczucie ocenia całą sytuację z punktu widzenia całej osobowości i decyduje o zasadniczej linji naszego postępowania.

A skądże się biorą podniety działające na świat naszych uczuć?

Podniety te mają dwa źródła: nasz świat wewnętrzny fizycznopsychiczny i świat otaczający. Wszystkie nasze narządy wewnętrzne, których czynności nie możemy poznać bezpośrednio naszą świadomością, wysyłają drogą nerwów dośrodkowych ogromną ilość podniet, które mogą przeniknąć do świadomości jako uczucia obrazujące w skali „przykre — przyjemne" ogólny stan naszego ciała. Drugiem źródłem uczuć są nasze czynności psychiczne, nasze duchowe przeżycia, mogące się rozgrywać w danej chwili niezależnie od świata zewnętrznego; tym również towarzyszą uczucia przykre lub przyjemne. Wreszcie świat zewnętrzny, działając poprzez zmysły, również wywołuje w nas określone, nastawienie uczuciowe. Podniety idące ze wszystkich tych źródeł zostają zsyntetyzowane w myśl najogólniejszych założeń życia jednostki, godzących interesy indywidualne z interesami pokoleniowemi i ostateczny wynik uczuciowy porusza jedną z wyżej podanych reakcyj.

Sprawa, którą tu przedstawiam całkiem pobieżnie, daje nam odrazu pojęcie o wielkiem znaczeniu świata uczuć dla zasadniczego kierunku naszych działań, a więc dla kształtowania naszego charakteru.

Widzimy zatem, że wykształcona osobowość zawdzięcza swe łączniki ze światem otaczającym istnieniu uczuć, które potrafią godzić potrzeby osobiste człowieka, jako jednostki, z potrzebami pokoleniowemi i z warunkami świata otaczającego; co więcej, że w uczuciach naszych należy doszukiwać się sprawdzianu subjektywnego naszego szczęścia.

Powiedzieliśmy, że szczęście jest tem większe i pewniejsze, im cel leży dalej, zaś przez cel rozumieliśmy wszystkie chęci i życzenia, podniesione do wartości ideałów.

Otóż to, co każdy z nas chce i czego sobie życzy, to zależy od naszych uczuć, one bowiem, jak widzieliśmy, scalają w sobie bez reszty trzy światy: nasz świat indywidualny, świat przyszłych pokoleń i otoczenie. By jednak te chcenia i życzenia stały się ideałami, muszą przybrać szatę formalną myśli abstrakcyjnej, która zostaje wystrzelona z naszej osobowości siłą uczuć. Przy nabieraniu nowej postaci, postaci ideału naszego, życzenia uwarunkowane uczuciowo muszą być dopasowane do rzeczywistości, to znaczy, musi istnieć stosunek pomiędzy chcę, a mogę.

Kiedy stosunek ten jest prawidłowy, droga życia ludzkiego nie doznaje zbyt nagłych i wielkich odchyleń w dążeniu do szczęścia.

Niezawsze jednak stosunek ten jest prawidłowy. Najczęstszem odchyleniem jest zbyt wielkie „chcę" w stosunku do „mogę". I teraz zaczyna się dopiero właściwy dramat życia ludzkiego.

Człowieka z właściwą miarą „chcę do mogę" przeciwności życiowe hartują; prawda, że może znaleźć się nad brzegiem przepaści, że

zdaje się chwilowo zgubionym, że nie znajduje wyjścia z konfliktu życiowego, przecież jednak w końcu równowaga bierze górę, wyjście zostaje odnalezione, własna droga odpoznana, człowiek zaś, znalazłszy się na niej, zostaje wyzwolony. Sposoby, prowadzące do tego wyzwolenia są różne, liczne i b. ciekawe z punktu widzenia psychologji głębi duszy ludzkiej. Ale o nich nie będę się rozwodził, ze względu na ograniczony czas.

W temacie dzisiaj omawianym chodzi nam o tych ludzi, którzy znajdują wyjście z sytuacji na drogach fałszywych.

Jeśli człowiek w swej wędrówce ku szczęściu za dużo chce, a za mało może, stwarza się sytuacja zupełnie inna od poprzedniej.

„Chcę"—mówi z za kulis uczucie, „nie mogę" mówią wyraźnie rozsądek i życie otaczające. Źródłem tego „chcę" jest niedostępna dla bezpośredniego wpływu rozumu sfera życia podświadomego, na którą składają się nasze popędy, instynkty, nasze niespełnione życzenia i marzenia z dużym akcentem uczuciowym. Źródłem „nie mogę" jest nasz intelekt z jego kategorjami logicznemi, z jego możnością przewidywania skutków w przyszłości; powstaje konflikt, który doprowadza do różnych sposobów wyjścia, bo wyjść zeń człowiek musi, a to dlatego, że uczucie rozsadza osobowość.

I oto najczęstsze znane nam wyjścia z sytuacji są następujące:

1. *Samobójstwo*, gdy władze intelektualne mają dostateczny jeszcze wgląd w przyczyny konfliktu, gdy człowiek zdaje sobie sprawę, że nie zwycięży w tej walce, że podda się wpływom tego „chcę", które uważa za karygodne.
2. *Ucieczka od świata* — w tej czy w innej postaci w oczekiwaniu działania sił nadprzyrodzonych.
3. *Choroba nerwowa.*—Powstaje wówczas, gdy to „chcę" omija wyższą instancję intelektu i w postaci zamaskowanej zwycięża, gdyż zmusza otoczenie do roztoczenia opieki, nad chorą jednostką, która staje się punktem centralnym w kole swych bliskich, zadziwia ich i niepokoi, a sama ulega rozszczepieniu osobowości: część świadoma mówi — nie chcę chorować, leczcie mnie, zaś reszta podświadoma całą swą siłą dynamicznie kieruje w stronę choroby i jej objawów.
4. *Narkomanja.*—Tu człowiek zmienia świadomie swoje „chcę i mogę". Stosunek ten przekształca się tak, że „chcę" się zmniejsza, „mogę" zwiększa i następuje rzekome wyrównanie.

Narkomanją, włączając tu i alkoholizm, nazywamy nałóg, polegający na nieodpartej potrzebie pobierania pewnych środków silnie działających na ciało i psychikę. Narkoman pod wpływem jednego z tych środków doznaje szczególnego przekształcenia psychofizycznego, które odczuwa jako szczęście. Środki te działają szybko; działanie ich w wyżej podanym kierunku jest przemijające, poczem zjawia się druga faza działania, którą narkoman odczuwa jako przykrą, stara się pozbyć tej przykrości i powrócić do stanu poprzedniej błogości i tu zaczyna swój debiut jako narkoman. Wbrew rozsądkowi, wiedząc zazwyczaj o tem, jakie skutki pociągnie za sobą ten nałóg, stosuje poraz dru-

gi, trzeci, dziesiąty i setny dawkę trucizny, dochodząc wreszcie do takiego stanu, z którego sam wydobyć się nie może, a co najgorsze, że ustrój stopniowo tępieje na działanie trucizny i dawki jej należy uwielokrotniać, aż wreszcie dochodzi do tego, że narkoman już nie osiąga po przyjęciu narkotyku stanu błogości, ale jedynie uśmierza w pewnym stopniu zaledwie bardzo przykre cielesne odczucia stale mu towarzyszące przy braku środka. Co więcej, po dłuższem używaniu tych jadów, zaczynają występować objawy nietyle już ostrego ile przewlekłego zatrucia, przedewszystkiem objawy psychiczne i nerwowe. Nie będę tu wyliczał tych bardzo różnych możliwości patologicznych; zaznaczę tylko ogólnie, że krzywda, jaką wyrządzają te trucizny, nie ogranicza się do zmian cielesnych i psychicznych u samego narkomana. Niestety, zasięg jej działania sięga daleko poza jednostkę, odbija się często na potomstwie, a zawsze ujemnie na społeczeństwie, na najbliższem otoczeniu nałogowca.

Przyjrzyjmy się, jakim ulega on przemianom. Otóż w pierwszym okresie narkomanji po przyjęciu odpowiedniej dawki trucizny, na skutek działania jej na układ nerwowy, zmniejszają się ilościowo przykre sensacje, a jednocześnie na skutek zmian w wyższych ośrodkach tegoż układu występują fałszywe alarmy uczuciowe, uświadamiane jako dobre samopoczucie. Zależnie od jakości trucizny przekształca się również i cel szczęścia, zbliża się, zacieśnia i często staje się identyczny z czysto popędowemi potrzebami, tak bywa np. u alkoholików. W innych truciznach w okresie odurzenia występuje porażenie tych zdrowych prądów popędowych. We wszystkich zwiększa się poczucie tego, co narkoman może. Jak więc widzimy, w tym okresie następuje pewne wyrównanie niestosunku między „chcę i mogę", przytem najczęściej „chcę" się zmniejsza, a „mogę" rzekomo zwiększa.

Z tym stanem sztucznego wyrównania możnaby się od biedy pogodzić. Ale, niestety, grożą tu gorsze przekształcenia osobowości w dalszych okresach, doprowadzające do jej rozbicia, zniszczenia. Po pierwszej fazie przyjemnego odurzenia zjawia się nieodwołalnie faza druga — złego samopoczucia. Jeżeli człowiek poraz pierwszy sprobował którejkolwiek z tych trucizn w celu pozbycia się złego samopoczucia, czy to na skutek konfliktu życiowego, czy innych przemijających lub stałych przyczyn, wówczas po ustąpieniu odurzenia działa nietylko ta pierwsza przyczyna, ale zjawia się druga—brak narkotyku. Psychologicznie w tym okresie niestosunek między „chcę" a „mogę" jeszcze bardziej się powiększy, „chcę" urasta do potrzeby nietylko psychicznej, ale czysto organicznej, jak w zwykłym np. uczuciu głodu, zaś „mogę" kurczy się tem bardziej, że widzi swą zależność nie od własnej osobowości, ale od przygodnego środka trującego. Po tej pierwszej szczerbie idą kolejno nowe takie same przeżycia i każde z nich tę szczerbę pogłębia, aż wreszcie doprowadza do tego, że nasze uczucie przestaje być istotnym sprawdzianem szczęścia, nie potrafi zcalać, całkować potrzeb osobowości i pokoleń z warunkami otoczenia. W końcu trucizna zaczyna działać nietylko na życie uczuciowe i intelektualne, ale i na tę część naszą, którą nazwaliśmy opoką, na nasze dziedziczne właściwości. Wówczas osobowość i ustrój ulegają zupełnemu rozbiciu, działają jeszcze w człowieku jakieś automatyzmy szczątkowe, zmienia się czynność poszczególnych narzą-

dów, dodają się trucizny, pochodzące z własnego ciała i ostatecznie człowiek i psychicznie i fizycznie przestaje być jednostką.

W ciągu tego rozpadu występują bardzo znamienne próby rehabilitowania swej osobowości przez narzucanie znajomym i krewnym tego samego stosunku „chcę“ do „mogę“. Namawianie do sprobowania trucizny, przechwalanie jej — to jeszcze odruch wstydu, ale odruch — już zbrodniczy — ratunku przez wyrównanie różnicy między głębokością swego upadku a wyższością otoczenia. Stąd tak często narkomanje w małżeństwie. Do tego dodać należy trudności w zdobyciu trucizny, za którą narkoman gotów jest oddać w chwili głodu niewspółmiernie dużo. Ten rozpad etyczny poprzedza inne i jest zwiastunem szczerby mocnej w osobowości.

Najważniejszym jest jednak moment najpierwszy, przyjęcia 1-ej, 2-iej dawki trucizny. Jeżeli odrzucimy tych, którzy stali się narkomanami na skutek cierpień organicznych, to pozostaje większość ogromna, a u alkoholików wyłączność, tych, którzy uciekli się do trucizny w poszukiwaniu swego szczęścia.

Pod wpływem psychicznych przeżyć mogą powstać potężne wstrząsy, ale one same nie doprowadzają w żadnym wypadku do alkoholizmu, lub morfinizmu. Gdy człowiek trzeźwy patrzy na pijanego, doznaje obrzydzenia. Cynicy, a tych wśród alkoholików nie brak, zaznaczają wówczas, że to zazdrość przemawia przez zdrowego, że mu zazdrości błogostanu alkoholopochodnego. Wystarcza jednak pomówić z alkoholikiem na trzeźwo, by się przekonać, co on sam o sobie sądzi i rozwiać wszelkie wątpliwości, jeśliby takowe kto miał.

Również nie wytrzymuje krytyki dowodzenie, często przytaczane przez ludzi niedostatecznie głęboko sięgających do sedna rzeczy, że artyści lepiej tworzą pod wpływem alkoholu. Takie twierdzenie *a priori* nie wytrzymuje krytyki dlatego, że nikt dotychczas nie przeprowadził ściśle naukowo badań nad takim artystą, który pije i nie pije. Jeżeli bowiem pije, to zrozumiałą jest rzeczą, że po odstawieniu trunków będzie się czuł gorzej i gorzej tworzył.

Zachodzi wreszcie pytanie, czy umiejętne dawkowanie tych trucizn nie przynosi jednak pewnych korzyści. Tu chodzić by mogło tylko o alkohol, bo inne trucizny nie mogą wchodzić w grę. Niestety takie próby z ogniem odbywają się ciągle i dlatego nie brak nam nigdy chorych w klinikach i szpitalach, dlatego też zwykle pełne są więzienia i areszty, dlatego tyle mamy dzieci nerwowo-chorych, dlatego być może coraz bardziej rosną koszty pracy.

Przyjęcie pierwszej dawki trucizny jest, jak powiedziałem, owym punktem zwrotnym w życiu narkomana. Silne przeżycia psychiczne zazwyczaj porażają wyższe czynności psychiczne, zwężają, zacieśniają świadomość, oddają człowieka bardziej w ręce odziedziczonych właściwości konstytucjonalnych, a więc zostają wystawieni na próbę nie tylko ci, co przeżywają, ale i ich rodzice, dziadkowie i dalsze pokolenia, gdyż oni to właśnie obarczyli tego potomka słabą równowagą, oni być może, nie myśląc o potomstwie, mieli tylko własną duszę i własne ciało na uwadze, oni być może byli alkoholikami, lub narkomanami.

Przyjęcie pierwszej dawki alkoholu mógł ułatwić ojciec, matka lub starsze rodzeństwo, dla zabawy lub dlatego, że „piwo to zdrowy napój“.

A tymczasem było to dziecko, które odziedziczyło chwiejność równowagi w swych tendencjach wrodzonych.

Taki brak harmonji we właściwościach dziedziczonych może się tem silniej zaznaczyć, im bliższymi krewnymi są rodzice, gdyż tu niejako kumulują się, dodają i wzmacniają ujemne ustosunkowania panujące dziedzicznie w danym rodzie. Jeden drobny choćby przykład podawany przez *Apert'a:* miał on okazję zbadać w Stanach Zjednoczonych 6 pokoleń pochodzących z matki pijaczki, przytem wielu z członków tej licznej rodziny pobierało się między sobą. Otóż wśród 800 członków zbadanych, było 700 przestępców.

By nie dopuścić do szukania wyzwolenia na fałszywej drodze narkomanji, nie wystarczy dbać o dzieci, należy dbałość tę rozszerzyć na całe pokolenia, należy pamiętać o 2 zadaniach każdego człowieka, należy jawnie przygotowywać dzieci nietylko na wyznawców szczęścia indywidualnego, ale również wszczepiać im zasady odpowiedzialności za szczęście pokoleń i wtajemniczać w te wielkie zadania, w jakich mają brać czynny udział w życiu w sprawie przekazywania swych cech dziedzicznych w nieskończoność.

Społeczeństwo powinno bronić już nie siebie, ale swoje drogi przyszłości, wspierać poczynania nauki, gromadzić fundusze, popierać inicjatywę ludzi dobrej woli i dążyć do rzeczowego głębszego ujęcia tego, co wiąże się z życiem ich dzieci, wnuków, całych rodów i narodów, gdyż jak mówi Słowacki:

„Duch życia, to anioł dumny..."

Prof. Dr. *Stefan K. Pieńkowski.*

Kraków, dnia 31.III. 1935 r.

O OŚRODKACH PRACY DLA ULECZONYCH NAŁOGOWCÓW I ORGANIZACJI OPIEKI POZAZAKŁADOWEJ.

(Referat, wygłoszony na posiedzeniu Sekcji do walki z alkoholizmem Państwowej Naczelnej Rady Zdrowia dn. 27.VI.1935 r.).

Sprawy leczenia i opieki nad alkoholikami nie podobna omawiać w oderwaniu od innych postaci narkomanij. Doświadczenie nas uczy, że alkoholicy w okresie remisji często ulegają przyzwyczajeniu do wszelkiego rodzaju alkaloidów makowca, i naodwrót, morfiniści, którym odjęto morfinę, zdradzają skłonność do odurzania się alkoholem. Ponieważ te dwie sprawy łączą się ze sobą w sposób widoczny i ponieważ szereg praktycznych względów przemawia za wspólnem ich traktowaniem, w referacie niniejszym będę mówił o opiece nad obydwiema kategorjami chorych.

Zasadą racjonalnej opieki nad nałogowcami powinno być rozciągnięcie jej na okres kilkoletni po opuszczeniu przez pacjenta właściwego zakładu leczniczego. Nałóg jest chorobą organicznie związaną z całokształtem życia społecznego; nie da się pomyśleć w oderwaniu od stosunków obyczajowych, od pozycji socjalnej, jaką jednostka zajmuje w zbiorowości, od warunków, w jakich jej życie przebiega, od tych wszystkich wydarzeń, które modelują osobowość ludzką i stanowią o jej przyszłym

losie. Mówiąc, że narkomanje są chorobami społecznemi, chcemy powiedzieć nie tylko to, że wpływają one w sposób destrukcyjny na formy egzystencji zbiorowej, ale i to, że formami temi są przyczynowo określane, że w nich biorą swój początek i w zależności od nich mogą powstawać i rozwijać się w sposób zastraszający, albo ulegać stopniowemu zmniejszeniu. Dlatego warunkiem pomyślnego rozwoju lecznictwa nałogowców jest zrozumienie faktu, że nie może być ani jednego nałogowca, któryby się znalazł po wyjściu z zakładu bez racjonalnej opieki, umożliwiającej mu ponowne wrośnięcie w życie zbiorowe, dopasowanie do wymagań rzeczywistości i znalezienie na jej obszarze miejsca dla korzystnego rozrostu własnej egzystencji.

Stąd wynikałoby, że opiece pozazakładowej i pozazakładowemu leczeniu należy okazać więcej zainteresowania i zrozumienia, niż okazywało się dotychczas; że w miarę możności należy unikać wyrywania jednostki z jej normalnego otoczenia, a na leczenie zakładowe decydować się jedynie wówczas, gdy wskazania lekarsko-społeczne niedwuznacznie będą przemawiały za izolacją. Przychodnie, których jest tak mało, tworzone przy Ośrodkach Zdrowia, związki abstynenckie i stowarzyszenia, zajmujące się zwalczaniem narkomanji, wreszcie gminy miejskie i wiejskie, — to są instytucje w pierwszym rzędzie powołane do sprawowania opieki pozazakładowej. Jeśli chodzi o opiekę gminną, to mam do zanotowania znamienny wypadek. Gmina w Sopoćkiniach utworzyła samorzutnie opiekę nad umysłowo chorymi i alkoholikami, gdyż brak funduszów nie pozwala gminie na wysyłanie potrzebujących leczenia do zakładu psychjatrycznego, albo do Zakładu w Świacku. Koszty opieki rodzinnej gmina może ponosić, tembardziej, że opiekę lekarską uzyskuje bezpłatnie, o ile, tak jak w naszym przypadku, na terenie gminy znajduje się zakład leczniczy.

Wielkiem ułatwieniem w sprawowaniu opieki pozazakładowej byłoby wprowadzenie pewnych inowacyj w dotychczasowych metodach leczenia zakładowego. Mam tu na myśli — praktykowany zagranicą — system leczenia frakcjonowanego. Polega on na tem, że pacjent, który przechodzi w zakładzie dłuższe początkowe leczenie, w ciągu trzech następnych lat corocznie przyjeżdża do zakładu na krótkie kuracje uzupełniające. Metoda ta daje bardzo dobre rezultaty, gdyż nie tylko pozwala lekarzowi na obserwowanie zmian, zachodzących w pacjencie, nie tylko umożliwia utrwalenie w nim tego wszystkiego, co potrafił zdobyć w ciągu kilkomiesięcznej kuracji, ale stwarza w człowieku, któremu życie nastręcza wiele trudności, poczucie bezpieczeństwa i świadomość, że w momencie ciężkich doświadczeń nie będzie pozostawiony samemu sobie. Praktycznie ta sprawa nie nastręczałaby chyba zbyt wielu trudności. Dla instytucji, która decyduje się na opłacanie kilko, czy nawet kilkunastomiesięcznego leczenia, te niecałe dwa miesiące, rozłożone na okres trzechletni, nie będą prawdopodobnie ciężarem niedoudźwignięcia.

Wielkie znaczenie nie tylko dla opieki pozazakładowej, ale i dla całego lecznictwa nałogowców, miałoby utworzenie projektowanych przez sen. Al. Iżyckiego ośrodków pracy, traktowanych jako samowystarczalne i w zasadzie dochodowe fermy rolne, czy ogrodnicze. Należy się tylko stanowczo zastrzec przed nadawaniem im charakteru zakładów leczniczych, prowadzonych przez lekarza i posiadających szpitalny personel pomocniczy. Trzeba stanąć na stanowisku, zajętem przez projektodawcę, że fer-

my te mają być przeznaczone jedynie dla ludzi, którzy z pozytywnym wynikiem ukończyli właściwą kurację, zdołali uspołecznić się i wewnętrznie okrzepnąć, zachowują zupełną abstynencję i na przyszłość rokują pomyślnie, a którym warunki życiowe ułożyły się tak nieszczęśliwie, że nie mają możności trwania w normalnem życiu.

Jak już zaznaczyłem, fermy projektowane przez sen. Iżyckiego nosiłyby charakter samowystarczalnego kolektywu. Ewentualne dochody byłyby rozdzielane pomiędzy jego członków, wspólnie pracujących dla wspólnej korzyści. Warunkiem przyjęcia do takiego ośrodka pracy byłoby osiągnięcie przez jednostkę wysokiego stopnia uspołecznienia, zupełna abstynencja i ciężkie warunki materjalne. Oczywiście, między takiemi fermami a zakładami leczniczemi, przychodniami i całą opieką pozazakładową musiałby być nawiązany jaknajściślejszy kontakt.

Sprawa opieki pozazakładowej i leczenia przychodnianego łączy się jaknajściślej z innem zagadnieniem niezmiernej wagi, mianowicie z leczeniem i roztaczaniem opieki nad ludźmi, których nie można jeszcze uważać za zdecydowanych nałogowców, a którzy z powodu nadużywania, czy też tylko używania środków narkotycznych, weszli w konflikt z prawem. Należałoby porozumieć się z władzami sądowemi i z władzami administracji ogólnej, oraz służbą bezpieczeństwa publicznego i prosić wyżej wymienione instytucje o sporządzanie szczegółowych wykazów osób, które dopuściły się w danym czasokresie przestępstw, czy wykroczeń pod wpływem spożytego alkoholu, lub narkotyku. Takie listy byłyby dostarczane instytucjom, zajmującym się opieką pozazakładową, a więc przychodniom przy Ośrodkach Zdrowia, stowarzyszeniom abstynenckim, gminom i t. p. i uprawniały wymienione instytucje do roztoczenia opieki nad wyszczególnionemi osobami. Wielkie wychowawcze znaczenie miałoby stosowanie przez Sądy prawa o zawieszeniu kary jedynie stem zastrzeżeniem, że podsądny w czasie objętym zawieszeniem będzie przestrzegał abstynencji i podda się kontroli opieki pozazakładowej.

Na podstawie powyższych rozważań formułuję następujące wnioski:

Sekcja przeciwalkoholowa Państwowej Naczelnej Rady Zdrowia postanawia zwrócić się z prośbą do Ministerstwa Opieki Społecznej, aby:

1. utworzono rolniczo-przemysłowe ośrodki pracy dla byłych nałogowców, gdzie znaleźliby możność pracy ci z pośród nich, którzy nie mogą utrzymać się w warunkach normalnego życia, a jednocześnie zachowują zupełną abstynencję i zdradzają wystarczający stopień uspołecznienia,

2. zwrócono się do Ministerstwa Sprawiedliwości i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z prośbą o wydanie odpowiedniego przepisu, któryby nakładał na sędziów i na funkcjonarjuszy policji obowiązek zawiadamiania organów opieki nad nałogowcami o przestępstwach, lub wykroczeniach, dokonanych pod wpływem użycia alkoholu, lub narkotyku, z wymienieniem nazwiska przestępcy i jego dokładnego adresu.

3. opracowano dokładny wykaz (mapkę) opieki nad nałogowcami na terenie Rzeczypospolitej.

4. zwrócono się do Ministerstwa Sprawiedliwości z prośbą, żeby Sądy w wypadkach przestępstw lub wykroczeń, związanych z używaniem, lub jednorazowem nawet użyciem alkoholu, czy innego narkotyku, stosowały prawo o zawieszeniu kary jedynie stem zastrzeżeniem, że oskarżo-

ny w czasie objętym zawieszeniem będzie zachowywał zupełną abstynencję i podda się kontroli opieki pozazakładowej.

5. uznano za konieczne wprowadzenie corocznego dwutygodniowego leczenia uzupełniającego dla wszystkich nałogowców leczonych w zakładzie, które przeprowadzałoby się corocznie w ciągu trzech lat od chwili pierwszego wypisania pacjenta z zakładu w stanie zdrowia.

6. wydano zarządzenie, mocą którego wszystkie zakłady lecznicze, przeprowadzające leczenie nałogowców, byłyby zmuszone do zawiadamiania organów opieki pozazakładowej o każdorazowem zwolnieniu pacjenta z zakładu.

7. utworzono zakład leczniczy o charakterze kolonji pracy w bezpośredniem sąsiedztwie i łączności lekarsko-administracyjnej z Zakładem leczniczym w Świacku, gdzie podstawą materjalnego pokrycia kosztów leczenia i utrzymania byłaby owocna, obowiązkowa praca pacjentów.

Dr. Henryk Zajączkawski.

Świack.

LECZNICTWO NAŁOGOWCÓW NIEPOPRAWNYCH.

(Referat, wygłoszony na posiedzeniu Sekcji do walki z alkoholizmem Państwowej Naczelnej Rady Zdrowia dn. 27.VI.1935 r.).

Walka z klęską społeczną alkoholizmu i narkomanji nie może dać dodatnich wyników dopóki nie zostanie wprowadzona w życie ustawa o przymusowem leczeniu nałogowców. Według brzmienia tej ustawy wszelkie przypadki alkoholizmu i narkomanji winne być kierowane przymusowo do przychodni higjeny psychicznej, w której lekarz-psychjatra przeprowadzi należytą segregację materjału chorobowego. Po wyeliminowaniu chorych, nadających się do leczenia ambulatoryjnego, przychodnia podzieli resztę pacjentów na przypadki kwalifikujące się do leczenia w zakładach dla nerwowo wyczerpanych w Świacku i Gościejewie, oraz przypadki, podlegające przymusowemu umieszczeniu w zakładach dla niepoprawnych o typie zakładu leczniczo pedagogicznego, przyczem o potrzebie umieszczenia w takim zakładzie decydować będzie na mocy omawianej ustawy instytucja prawna, przy udziale najmniej dwóch lekarzy psychjatrów wydających opinję.

Należy ustalić i ściśle sprecyzować pojęcie przypadku nieuleczalnego. Sądzę, że jeśli pobyt w zakładach leczniczych dla nerwowo wyczerpanych typu Świacka i Gościejewa nie dał dodatnich rezultatów, jeśli po opuszczeniu zakładu wywiad, przeprowadzony w środowisku chorego przez higjenistkę społeczną przychodni higjeny psychicznej stwierdzi zupełny brak poprawy i jeśli chory nadal oddaje się nałogowi, a lekarze psychjatrzy stwierdzą, że mimo wszelkich wysiłków nie dało się wytworzyć podczas pobytu w zakładzie hamulców psychicznych na alkohol lub narkotyk — jeśli instynkt samozachowawczy już nie działa, chory taki powinien być zakwalifikowany jako nieuleczalny, a co zatem idzie musi być skierowany przymusowo do zakładu dla niepoprawnych.

I tu należy odróżnić dwie możliwości:

I. Do zakładów leczniczych dla nerwowo wyczerpanych w Świac-

ku i Gościejewie należy kierować przypadki niezbyt daleko zaawansowane, przypadki świeże, w których alkohol lub narkotyk nie zdążył wytworzyć jeszcze zmian nieodwracalnych — organicznych.

II. Przypadki długoletniego używania alkoholu lub narkotyku, zbyt daleko zaawansowane, ciężcy psychopaci, schizoidzi lub epileptoidzi, oraz chorzy, na których pobyt w Świacku i Gościejewie nie wpłynął dodatnio — należy kierować do zakładu dla niepoprawnych.

Kumulacja pacjentów, rokujących nadzieję wyleczenia z pacjentami beznadziejnymi psuje efekt leczniczy i przeszkadza w leczeniu.

Lecznictwo nałogowców należy wyeliminować z zakładów psychjatrycznych. My psychjatrzy wiemy o szeregu trudności utrzymania nałogowców w ramach zakładu dla chorych umysłowo na salach ogólnych: w większych zakładach tworzą się specjalne oddziały dla alkoholików i narkomanów, w mniejszych umieszcza się ich w oddzielnych pokojach— dążąc do eliminacji tych przypadków. I słusznie: z jednej strony po przejściu objawów psychotycznych osobnik taki czuje się źle wśród chorych psychicznie, wpływa ujemnie na współpacjentów łamiąc dyscyplinę zakładu, z drugiej strony nadawanie niejako z tytułu pobytu wśród umysłowo chorych praw i przywilejów choroby psychicznej wytwarza w pacjencie poczucie nieuleczalności, nieodpowiedzialności za swoje czyny, co sprzeciwia się kardynalnym zasadom metod psychoterapeutycznych, dążących do wyrównania małowartościowości, wyrobienia poczucia odpowiedzialności, wiary we własne siły, starających się pobudzić instynkt samozachowawczy. Pobyt wśród umysłowo chorych zabija wiarę w możliwość wyleczenia, w możność wyjścia z fatalnego koła nałogu, wytwarza determinizm psychiczny — gdyż efekty lecznicze, osiągnięte w zakładach psychjatrycznych są z reguły bardzo nikłe — nie mówiąc już o tem, że pobyt w zakładzie psychjatrycznym bardzo odbiega nawet od pozorów pobytu wśród ludzi zdrowych, co sprzeciwia się zasadom lecznictwa nałogowców, które musi polegać między innymi na stwarzaniu warunków jaknajbardziej zbliżonych do życia pozazakładowego. Po wypisaniu zaś takiego chorego ze szpitala psychjatrycznego — społeczeństwo stempluje go mianem psychicznie chorego, co w dużej mierze utrudnia uzyskanie pracy, prowokując w ten sposób nawrót do nałogu. Wyniki lecznicze Świacka i Gościejewa oraz zakładów tego typu w Rosji Sowieckiej i Niemczech, przemawiają również za wyodrębnieniem lecznictwa nałogowców z zakładów psychjatrycznych, oczywiście wykluczam tu przypadki trwałej choroby umysłowej, powstałej, lub będącej powodem używania alkoholu bądź narkotyku, które winny być leczone w zakładach psychjatrycznych. Zakład dla niepoprawnych nałogowców, na czele którego stać będzie doświadczony lekarz psychjatra winien być prowadzony w duchu wychowawczo-leczniczym, musi posiadać oddział szpitalny, przeznaczony dla pacjentów, zdradzających wyraźne cechy przemijającej choroby psychicznej, powstałej wskutek używania alkoholu lub narkotyku, infirmerję, oraz oddział dla pacjentów bez cech choroby umysłowej, ponadto musi posiadać dział przyrodoleczniczy.

Kardynalnym, a nieodzownym warunkiem, metodą leczniczą zakładu musi być praca stosowana indywidualnie, dopasowana do sylwetki konstytucyjno-psychologicznej danego chorego, jego możliwości, zdolno-

ści — praca produkcyjna i twórcza. Tylko wówczas będzie ona nosiła nieodzowny charakter reedukacji.

Uważam, że praca pacjentów musi być płatną — co można osiągnąć drogą sprzedaży wyrobów warsztatowych pacjentów, oraz artykułów gospodarczych z fermy, ogrodu i t. p., drogą zatrudnienia pacjentów w charakterze funkcjonarjuszów w obrębie zakładu. Z zarobków swoich pacjent winien częściowo chociaż opłacać swój pobyt w zakładzie, oraz czynić chociażby minimalne wkłady oszczędnościowe: z jednej strony będzie on wówczas mniejszym ciężarem dla społeczeństwa i rodziny, z drugiej strony nauczy się ponownie pracować i odczuwać potrzebę pracy. Racjonalny dobór rozrywek, możność wyżycia się w sporcie, zabawach i życiu towarzyskiem, samorząd wewnętrzny w zakładzie, ograniczony naturalnie do pewnych norm i kierowany przez lekarza, organizowanie kursów dokształcających, na których wykładowcami byliby między innymi sami pacjenci, i t. p. wypełni pacjentom wolne od pracy godziny. Wypisywanie pacjentów niepoprawnych po pewnym czasie na próbne urlopy, danie więc możności prób życia pozazakładowego będzie miało swój wpływ psychoterapeutyczny — usunie uczucie beznadziejności lub kary, wytworzy atmosferę pobytu leczniczego w zakładzie.

Celem zakładu powyższego jest z jednej strony wyeliminowanie ze społeczeństwa nałogowców niepoprawnych, z drugiej wyłuskanie z materjału chorobowego, zdawałoby się straconego, przypadków, które mogą być zwrócone społeczeństwu. Atmosfera zakładu nie powinna być ściśle atmosferą lecznicy w dosłownem tego słowa znaczeniu, nie powinna tem więcej nosić charakteru zakładu karnego — lecz powinna być szkołą życia — przez zbliżenie warunków pobytu w zakładzie do normalnego życia pozazakładowego. Czas trwania kuracji w zakładzie nie da się określić — zależeć on musi od sylwetki psychologiczno-konstytucyjnej pacjenta i od stopnia ciężkości schorzenia. Określanie terminu pobytu powinno zależeć od lekarza, kierującego zakładem.

Koszt leczenia nałogowców niepoprawnych:

A. za chorych zamożnych rodziny, za ubezpieczonych w Ubezpieczalniach Społecznych, Ubezpieczalnie.

B. za chorych niezamożnych, gminy i instytucje społeczne.

Opłata za pobyt w zakładzie dla nieuleczalnych musi być bardzo przystępna, celem zachęcenia jaknajszerszych mas do leczenia nałogowców.

Oczywiście niedobory, wynikające przy tym systemie, musiałby pokrywać Skarb Państwa, gdyż zagadnienie zwalczania alkoholizmu i narkomanji ściśle się łączy z zagadnieniem higjeny psychicznej.

Na zakończenie niniejszego mam zaszczyt zgłosić następujące wnioski:

1. Opracowanie ustawy o przymusowem leczeniu nałogowców,
2. Wyłączenie lecznictwa narkomanów i alkoholików z ram zakładów psychjatrycznych,
3. Utworzenie zakładu dla nałogowców niepoprawnych.

Dr. J. Noczaj-Hruzewicz.

Gościejewo.

„TAK POWINNO BYĆ!“

Wytworzył się w Warszawie nowy typ opryszka, który przeważnie wieczorami napastuje przechodniów i czasem prosi, a czasem domaga się, popierając swe żądanie nożem, pieniędzy na wódkę.

Mówi otwarcie na co i nie kłamie.

Nie na chleb, nie na opał, czy komorne, tylko na wódkę.

Przeważnie opryszek-żebrak jest pijany. Nie tak dalece, żeby, spotkawszy się z odmową, nie mógł zwymyślać swej ofiary, pobić jej, albo ciężko poranić i obrabować. Mimo to, że jest pijany, chce pić jeszcze i to za cudze pieniądze.

Jest w tym coś potwornego: cynizm łączy się z ogłupieniem, zwyrodnienie podaje rękę zbrodni. Piszący te słowa miał możność poznać bliżej podłoże podobnych wypadków, bowiem choć — upatrzony na ofiarę rabunku potrafił się oprzeć przemocy i z przygody, mogącej się zakończyć przykro, potrafił wyciągnąć dużo bezpośrednich obserwacyj i trochę wniosków ogólnych.

Było to tak: Przechodziłem przed tygodniem nocą z Dworca gdańskiego na plac Muranowski, gdy na Sierakowskiej podszedł do mnie jakiś może 18-letni wyrostek i, chwyciwszy mnie za rękaw, zażądał „forsy na wódkę“.

Na ulicy było pusto. Gdyby nie to, że wyrostek źle obliczył się z siłami i nim zdążył wyjąć nóż, już miał pod brodą mój rewolwer, padłbym zapewne ofiarą rabunku. Ale nie udało się. Widząc broń, chciał się wyrwać, a gdy i to się nie powiodło, zaczął mnie prosić, abym go puścił.

Wytrzeźwiał, zdaje się, w jednej chwili i płaczliwym, zawodzącym głosem zaczął się skarżyć.

— Pan myśli, że ja naprawdę na wódkę... a ja tak z biedy. Mam siostrę...

— A siostra co robi?

— A c h o d z i tu g d z i e ś.

— A pije?

Spojrzał na mnie nieufnie.

— A co nie ma pić? — a po chwili dodał — ojciec ją nauczył.

Z dalszej rozmowy okazało się, że ojciec nauczył wszystkich, t. j. pięcioro. Troje młodszych już nie żyje, bo, jak mnie mój rozmówca informował, „alkohol im nie służył“, ale starszym służył, mianowicie jemu, Felkowi i siostrze Julce.

Historja zaczynała się ciekawie i była tak wymowną ilustracją tych spustoszeń, jakie wśród ludności miejskiej robi alkohol, że postanowiłem rzecz wysondować głębiej.

— Na wódkę ci nie dam, ale zimno jest... Nie napił byś się ze mną herbaty?

Po wychudłej twarzy mego rozmówcy przebiegł cień podejrzliwości.

— A pan nie z policji?

Schowałem rewolwer i mimowoli roześmiałem się. To go uspokoiło.

— Nie, pójdziemy w zgodzie i pogadamy sobie.

Nie stawiał oporu. Zawróciliśmy, ku dworcowi, bo wszystko inne



rys. Cz. Kaczmarczyk.

było zamknięte, a on już po drodze zaczął swoje zwierzenia.

— Dawno tak chodzisz z nożem? — zagadnąłem.

— Niedawno, od wiosny; jeszcześmy się wtedy lepiej mieli, bo ojciec żył, a i ja miałem czasem robotę na stacji towarowej przy węglu. Może pan nie uwierzy, ale u mnie zaczęło się od zbytków?

— Jakto?

— Ano idę kiedyś na noc na Towarową i spotykam Mańka, taki rudy, pan go nie zna. Patrzę, a on oberwany, bez palta, choć to marzec był, i przeklina. Pytam co mu jest, a on powiada, że jakiś łobuziak napadł go, żeby mu dał forsę na wódę. Maniek chuchro i trochę cykorja (strachajło), więc oddał. To ten mu jeszcze zdjął palto, ubrał się w nie i poszedł! „Dawno to?“ pytam. „Jakie dawno, o jeszcze go widać“. Spojrzałem wgłąb ulicy, patrzę zdaleka facet wystawia, a palto na nim Mańkowe. Przecież je znam...

Tu przerwał i, patrząc na mnie spodełba, zapytał:

— A nie nudzi to pana?

— Nie, przeciwnie, gadaj dalej.

— To ja do Mańka mówię, ganiaj do domu, już swoje palto będziesz miał. Bo trzeba panu wiedzieć, żem się na tego łobuza zawziął, bo Maniek, choć oferma, ale porządny chłop i życie mi raz uratował, jakżeśmy w Luna Parku... ale to już inna historja.

Tymczasem doszliśmy do Dworca i, nie bez pewnego zdziwienia bufetowej, zażądali dwuch herbat i chleba z szynką.

Mój Felek zabrał się do jedzenia, ale co kęs przegryzł, to całe zdanie opowiedział, a był gadatliwy.

— Jak tylko Mańka pożegnałem, puściłem się w kłusa przez Żelazną i Twardą i zdążyłem...

— Jakto?

— Ano... zaszedłem mu drogę...

— Komu?

— A temu łobuzowi w Mańkowej kapocie, który wyrywał w Sienną. Wychodzę z za rogu i po kilku krokach natykam się na niego. Już szedł powoli, bo pościgu nie było, i dałem mu się minąć, ale jak mnie tylko minął, stanąłem i mówię: „Te, frajer, słuchaj!“ Przystanął, obejrzał na mnie zgóry i odwarknął: „A odwal się“. Dopiero ja do niego i za halcsztuk: Daj no forsę na wódę! Powiadam panu, aż go zatknęło. Zgłupiał. Szarpnął się, a ja nic, tylko krawat mu ściskam. Jak mu trochę tchu brakło to mi kiwa głową, że niby da. Ja popuszczam, a on na mnie, to ja dżu dżitsu, a trzeba panu wiedzieć, że umiem. To on już leży i do kieszeni w portkach sięga. Myślałem, że po nóż, albo spluwę, więc się pilnuję, ale on forsę buli. Wyłożył mi wszystko, było 11 złotych z groszami. To ja mówię: „zdymaj jeszcze ten paltocik“. Przeklinał, aż strach było słuchać, ale oddał. Wziąłem paltocik na rękę, forsę do garści i — jazda „na miasto“...

— Jak to „na miasto“?

— A co pan myśli. Na Żelaznej w dwuch szynkach byłem i na Chłodną poszedłem, alem musiałem zalać się trochę, bom się obudził w komisarjacie wolskim.

— A palto tego Mańka?

— A nic. Miałem przy sobie. Trochę się pytali, jak i co, tom im

opowiedział, aż się za głowy brali i nie wierzyli. Więc posłali po Mańka. Jak mnie w mamrze (w areszcie) ze swym paltem zobaczył, to aż zgłupiał. Ale zaraz się wyjaśniło, że nie łżę, więc mnie puścili.

Tu Felek zaciął się, a potem wybuchnął niespodzianie.

— A wie pan, co zastałem, jak przyszedłem do domu?

— Skąd mogę wiedzieć?

— Trupa ojca. Właściwie nawet ciała nie było, bo było w prosektorjum. Wracał pijany przez plant kolejowy i wpadł pod pociąg. Na dwie części go rozcięło.

— To ojciec pił?

— Jak tylko go pamiętam, to pił i nas przyuczał... Ale myśmy z Julką byli więksi, to nam jakoś szło, ale te szczeniaki młodsze to zmarniały.

— To ojciec tego dnia zginął?

— Tak, właśnie w wieczór poprzedni, jakem Mańkowe palto odbierał. Ano co? widać mnie tamten przeklął!

Zamyślił się na chwilę. A potem wybuchnął przekleństwem.

— ... taka dola zatracona. Czemu pan wódki nie pije? Ja bym panu postawił, ale mam wszystkiego 50 groszy. Dziś mi nie szło.

— Ale już piłeś?

— Iiii — wykrzywił się — krzynkę tylko... z poczęstunku.

— To nie sam?

— Nawet sam, bo Maniek, choć fundował, nie pije.

— Maniek? Ten sam?

— A ten sam.

Tu zamyślił się chwilę.

— Ten sam, choć palto ma już inne. Dobrze mu się wiedzie!

— Może dlatego, że wódki nie pije? — wtrąciłem.

Felek zamyślił się.

— Może — odparł wreszcie. Rząd sowiecki mówi, że religja, to opjum dla narodu, ale czem w takim razie jest wódka? W niej zapomnienie, w niej pociecha. A że ludzie przez nią giną, jak: Zosia, Stefka, Karolek i mój ojciec, to może to tak trzeba...

— A matka — zapytałem — nie macie matki?

Spojrzał na mnie nieprzytomnemi oczyma i dopiero po chwili ocknął się.

— Dawno już... prawie nie pamiętam. Ale matka to przez co innego: przez honor. Skoczyła z okna, jak ojciec pierwszy raz ją sprał.

Milczałem. Felek odezwał się sam.

— A może i ona przez wódkę, bo pewno ojciec przyszedł pijany.

Potem rozejrzał się po sali. Nad bufetem kolejowym widniały półki z rzędami kolorowych i białych butelek. Pokiwał głową.

— Oooo! Widzi pan. Dawniej nie było wolno na kolejach. A terez pozwolili. Widać tak powinno być!

Stanisław Biernacki.

XXI MIĘDZYNARODOWY KONGRES PRZECIWALKOHOLOWY W WARSZAWIE W R. 1937.

(Referat, wygłoszony na posiedzeniu Sekcji Europejskiej Światowego Związku Przeciwalkoholowego w Montreux dn. 2.IX. 1935 r.).

XXI Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy, który ma się odbyć w r. 1937 w Warszawie, powinien mieć dla światowego ruchu przeciwalkoholowego szczególnie duże znaczenie. Odbywać się on będzie w okresie czasu, który w dziedzinie spraw nas obchodzących, znajduje się jeszcze pod działaniem wrażenia, jakie wywołał upadek prohibicji w Finlandji i Stanach Zjednoczonych A. P. i jednoczesnej konsolidacji na terenie międzynarodowym elementów wrogich dla idei walki z alkoholizmem.

Dla Polski — obok zaszczytu goszczenia u siebie wybitnych przedstawicieli międzynarodowego ruchu przeciwalkoholowego — będzie miał Kongres tem większe znaczenie, że i my przeżyliśmy w r. 1934 niemal całkowity upadek ustawy przeciwalkoholowej z r. 1920.

Z powyższego wynika i ogólna, i nasza własna troska o jaknajlepszą organizację i najpomyślniejszy przebieg Kongresu.

Jeżeli chodzi o organizację Kongresu, to zadania w tej dziedzinie idą w dwuch kierunkach: organizacji wewnętrznej w Polsce i na terenie międzynarodowym.

Polski Komitet Organizacyjny Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego, został powołany do życia w r. 1928 decyzją p. Dyrektora Departamentu Służby Zdrowia w Min. Spr. Wewn. Dr. Eugenjusza Piestrzyńskiego, obecnie Podsekretarza Stanu w Ministerjum Opieki Społecznej. Komitet miał się zająć organizacją XX Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie w r. 1931. Wobec zmian, jakie zaszły, Komitet przerwał swoją działalność, którą obecnie ma wznowić i w całej pełni rozwinąć, opierając się na jaknajszerszych podstawach organizacyjnych. Prezydjum Komitetu stanowią: pp. red. Jan Szymański — przewodniczący, Marja Sokal — sekretarz i Dr. Stanisław Stypułkowski — skarbnik.

Mam zaszczyt w imieniu tego prezydjum uczynić następujące propozycje:

1). Kongres ma się odbyć w pierwszych dniach września 1937 r. w Warszawie. — Dokładne zbadanie naszych stosunków wykazuje niewłaściwość urządzania takiego Kongresu w okresie wakacyjnym, gdyż wówczas nie mogliby z powodu feryj wziąć udziału w Kongresie liczni przedstawiciele władz, nauki, organizacyj. — Należy zaznaczyć, że czas ten zazwyczaj odznacza się w Polsce piękną pogodą.

2). Kongres może trwać 4, najwyżej 5 dni — w tem jeden dzień będzie poświęcony na Zjazdy o charakterze specjalnym, jak katolików abstynentów, protestantów abstynentów, kobiet, lekarzy, młodzieży i t. p.

3). Obrady Kongresu toczyć się będą na posiedzeniach plenarnych i sekcyjnych — może byłoby dobrze, aby dyskusja odbywała się wyłącznie na zebraniach sekcyjnych. W dyskusji należy dawać możność wypowiedzenia się wszystkim, pragnącym zabrać

głos. Niemożność wypowiedzenia się zniechęca wielu uczestników do Kongresu. Czas przemówień w dyskusji ogranicza się do 5 minut po raz pierwszy i do 2 minut po raz drugi.

4). Językami urzędowymi Kongresu będą: angielski, francuski, niemiecki i polski.

Polski Komitet Organizacyjny będzie dążyć do tego, aby w miarę możności referaty wygłaszane były w jednym z pierwszych 3 języków.

5). Z Kongresem połączona będzie międzynarodowa wystawa przeciwalkoholowa, posiadająca następujące działy: historyczny, naukowy, propagandy, (literatura, plakaty, wykresy, przeźrocza), działalność kapitału alkoholowego, przetwórstwo bezalkoholowe owoców, leczenie alkoholików, sztuka i t. p.

6). Podczas Kongresu wyświetlane będą filmy przeciwalkoholowe.

7). Środki, niezbędne na urządzenie Kongresu, zostaną przeznaczone przez Rząd Polski — trudno jednak w tej chwili, na dwa lata przed Kongresem, ściśle określić wysokość tej sumy.

8). Jedną z najważniejszych spraw jest wybór tematów do referatów i referentów. Niewątpliwie należy dbać o to, aby nie było przeładowania, ale z drugiej strony należy dbać o wszechstronność omawiania zagadnienia alkoholizmu. Spodziewamy się licznego udziału uczestników—zacieśnienie więc przedmiotu obrad tylko do kilku zagadnień mogłoby wielu uczestników pozbawić zainteresowania Kongresem. W każdym razie sądzę, że referaty, które będą przedstawiać wyniki samodzielnych badań naukowych: klinicznych, laboratoryjnych, statystycznych z dziedziny alkoholizmu powinny być w miarę możności wysłuchane. Każda zdobycz naukowa, wyświetlająca zagadnienie alkoholizmu, ma przecie dla ruchu przeciwalkoholowego duże znaczenie.

Z przyjemnością mogę oświadczyć, że szereg uczonych polskich, na zaproszenie Polskiego Komitetu Organizacyjnego, przy ewentualnem poparciu finansowem Ministerstwa Opieki Społecznej, obiecał przeprowadzić, albo już prowadzi specjalne badania naukowe w omawianym zakresie.

Chciałbym powiedzieć jeszcze kilka słów w sprawie tematów. Wybitny psychjatra polski, zmarły prof. Rafał Radziwiłłowicz, który był jednym z przodujących i wielce zasłużonych działaczy przeciwalkoholowych i kilkakrotnie reprezentował Rząd Polski na Międzynarodowych Kongresach przeciwalkoholowych (Kopenhaga i Antwerpja), oraz na Konferencjach w sprawie udziału Ligi Narodów w zwalczaniu alkoholizmu (Genewa i Haga), w sprawozdaniu swem z XIX Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego w Antwerpji [1]) wypowiedział, m. in. swe poglądy na tematy, które powinny być omówione na przyszłym Kongresie. Uważam za swój obowiązek w tem tak autorytatywnem gronie wnioski prof. Radziwiłłowicza przedstawić. Tematy te są następujące:

---

[1]) „Trzeźwość". Rok 1928. Nr. 9 — 10. Str. 236.

1. Sprawa odpowiedzialności karnej za przestępstwa, popełnione po pijanemu,
2. Straty pośrednie, jakie sprowadza na społeczeństwa alkoholizm i
3. Niebezpieczeństwa umiarkowanego używania alkoholu.

Prócz powyższych tematów, wysuniętych przez prof. Radziwiłłowicza, należałoby, zdaniem mojem, gruntownie wyświetlić — już w perspektywie kilku lat — przyczyny i warunki upadku prohibicji w Stanach Zjednoczonych A. P. i Finlandji, oraz podać w sposób możliwie dokładny obecny stan alkoholizmu i walki z nim w tych właśnie krajach. Albowiem szeroka publiczność wyobraża sobie, że razem ze zniesieniem prohibicji w krajach tych zanikła też wszelka walka z alkoholizmem. Podczas bytności swej w r. 1934 w Warszawie Dyrektor Czeloth słusznie podniósł, że jednym z ważnych tematów Kongresu powinno być zagadnienie eugeniki i walki z alkoholizmem.

Sądzę, że niezbędne są też referaty, ilustrujące stan walki z alkoholizmem w Europie i innych częściach świata.

9). Referaty prelegentów nieobecnych na Kongresie nie będą odczytywane, zostaną natomiast wydrukowane w Pamiętniku Kongresu.

10). Referaty na zebraniach plenarnych mogą trwać najwyżej 30 minut, na zebraniach sekcyjnych 20 minut.

Referenci obowiązani są nadesłać Komitetowi Organizacyjnemu pełne teksty swych referatów, albo przynajmniej obszerne ich streszczenia.

11). Mam wrażenie, że mam prawo wyrazić nadzieję, iż wysoki protektorat nad Kongresem obejmie Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej — powyższe opieram na fakcie, że wszystkie polskie Kongresy przeciwalkoholowe, jakie odbyły się w Polsce Niepodległej (7 Kongresów), odbyły się pod protektoratem Głowy Państwa.

12). Obok Komitetu organizacyjnego utworzony będzie Komitet Honorowy, do którego zaproszeni zostaną przedstawiciele najwyższych władz państwowych, parlamentu, duchownych, sfer naukowych i t. p.

13). Bezpośrednio po Kongresie powinno się odbyć posiedzenie przedstawicieli Światowego Związku Przeciwalkoholowego.

14). Po Kongresie pragniemy urządzić kilka wycieczek po Polsce: przedewszystkiem osoby, interesujące się sprawą lecznictwa alkoholików proszone będą o zwiedzenie dwu polskich państwowych zakładów leczniczych dla alkoholików i narkomanów w Świacku i Gościejewie; wycieczki krajoznawcze urządzone będą do Krakowa, Tatr i Pienin, do Wilna, Trok i jezior Augustowskich, do Poznania, na Śląsk, do Gdyni i na Pomorze.

15). Mogę oświadczyć, że wszystkie polskie organizacje przeciwalkoholowe, oraz organizacje, popierające nasz ruch, lub sympatyzujące z nim, dołożą swych usiłowań, aby Kongres war-

szawski odbył się w warunkach najlepszych. Mamy nadzieję, że uda się nam to osiągnąć, gdyż poparcie naszego Rządu w tym zakresie jest zapewnione.

Należy również dążyć, aby wobec obecnego trudnego położenia naszej akcji w wielu krajach — Kongres stał się istotnie wielką manifestacją międzynarodową — co leży w interesie wszystkich walczących z klęską alkoholizmu.

Obecnie pozostaje mi tylko wyrazić nadzieję i prośbę, aby wszystkie organizacje międzynarodowe i narodowe, pracujące na polu walki z alkoholizmem, oraz wszystkie jednostki pracujące na tem polu, zechciały poprzeć nasze usiłowania w powyższym kierunku i sądzę, że możemy liczyć na tę pomoc, gdyż chodzi o sprawę niesłychanie doniosłą dla wszystkich narodów i państw — dla całego świata.

Jan Szymański.

DZIECKO.

Wązki, ciemny korytarz wielkiej kamienicy,
Zaduch pary z bielizny i starej słoniny,
Na prawo w kącie ciemnym drzwi do małej izby,
W której życie ponuro liczy swe godziny.

Za drzwiami jakiś hałas. Ochrypłe wyzwiska,
Cienki dyszkant kobiecy i spity baryton —
Z tym duetem się łączą dwa dziecięce głosy
Piszczące, jak kurczęta, gdy je dusi brytan.

Cisza... nagle z drzwi wypada jakieś nędzne widmo,
Wijąc się i charcząc — ofiara nałogu —
Włos zmierzwiony, twarz blada, wzrok błędny i dziki
Ścigają go bezsilne przekleństwa z barłogu.

Z oparów alkoholu patrzy czworo oczu
Dziecięcych — z rozpaczą tropionej zwierzyny —
Błękit nieba się w jasnych ich oczach odbija
Pośród mroku występku, nędzy i ruiny.

Na tych płowych czuprynkach zostawiło słońce
Jedyny promień złoty — w beznadziei mroku,
Gdzie się błąka nikomu niepotrzebne dziecko,
Kwiat przedziwny, uroczny — w wyziewach rynsztoku...

Jadwiga Moraczewska.

RODZINA A WALKA Z ALKOHOLIZMEM.

Alkohol jest jedną z najbardziej szkodliwych trucizn; prawda ta znana dawno z doświadczenia i skutków, została stosunkowo niedawno dopiero uznaną i uzasadnioną przez naukę. I dziś już wiemy, że przed tą trucizną należy się bronić, jej przeciwdziałać. Jak przeciwdziałać? Przecież już dawno, bardzo dawno potępiano pijaństwo. Potępiano pijaństwo, to prawda, ale potępiano dopiero wtedy, kiedy alkohol powodował zatrucie, kiedy człowiek, który wypił dużo „*zadużo*“, upił się i w stanie zatrucia, straciwszy przytomność, stawał się nieprzytomnym; wtedy to potępiano „*nadużycie*“. Użycie alkoholu „w miarę“, zwłaszcza przed jedzeniem „*dla apetytu*“, było nawet zalecane. Pamiętam, chociaż to już bardzo dawno, żem czytał jakąś książkę, w której ktoś, potępiając picie wódki w karczmie — pouczał: „ja nigdy wódki w karczmie nie pijam, owszem, używam jej — ale w domu, kiedy misa ze strawą stoi na stole“. Tak to pisał jakiś moralista, sześćdziesiąt parę lat temu, przenosząc picie gorzałki z karczmy do domu, do rodziny, nie rozumiejąc, że w ten sposób wprowadza do swego domu, do swojej rodziny najgorszego tej właśnie rodziny wroga i tam go zadomawia. Boć w domu, w rodzinie, na oczach żony i dzieci pije truciznę — wódkę i tem samem uprawnia jej potrzebę wobec rodziny. To też był taki czas, kiedy to t. zw. „*umiarkowane*“ picie wódki (rozumie się przez klasy mniej zamożne), a różnego rodzaju trunków przez klasy zamożne, nie spotykało się z naukowem przeciwdziałaniem, przenoszono alkohol z karczem różnego typu do domów, do rodzin, i nieświadomie zatruwano rodziny. Bo i jakże? Ojciec rodziny pije przed jedzeniem dla apetytu, matka czyni to samo, a gdy piją sami, to przecież i dzieciom dać trzeba, żeby miały apetyt. A to już są początki rozpajania dzieci, czyli zatruwanie rodziny. A przecież, niech to sobie przypomną starzy, czy tak nie było, było, a nawet i jest w rodzinach pijących w domu. To też my, trzeźwi, mamy obowiązek nie puszczać do domów, do rodzin, wroga — alkoholu pod żadną postacią. W walce z alkoholem „*twierdzą ma nam być każdy próg*“, przed trucizną alkoholową przedewszystkiem rodziny bronić należy. Gdy pijany członek rodziny przyjdzie do domu z karczmy — szynku—baru—restauracji i t. p., to rodzina, widząc to, nabierze obrzydzenia do wszelkich karczem i do wszelkich miejsc, gdzie ludzie się upijają. Ale gdy to picie następuje w domu—*w rodzinie*, to już inna, a i daleko gorsza sprawa, ponieważ dom - *rodzina*, to nasze naturalne schronisko, które musi być miłem i przyjemnem, bo my tu przecież przeżywamy nasze życie, i tego naszego schronu obrzydzać nie wolno. To też chroniąc rodziny nasze przed trucizną alkoholową, nie można powtarzać starych grzechów i zdrożnych obyczajów i żadnych trunków do naszych rodzin, do naszych domów nie wpuszczać. Rodzina, to wielka rzecz, to wielka sprawa. Rodzina to najpierwsza komórka społeczna, ojciec, matka, dzieci, to rodzina. Dalsi, to krewni, to rozrodzona, liczniejsza rodzina, a z rodzin tworzą się rody. Rody — tworzą społeczeństwo, naród. To też należy baczyć, należy wszelaką opieką otaczać tę najpierwszą komórkę społeczną — rodzinę. I trzeba zawsze mieć na widoku tę wielką prawdę: że, jakie rodziny, takie i społeczeństwa. Trzeźwe, rozumne, uczciwe, pracowite i rządne, oraz światłe rodziny stanowią fundament takiego społeczeń-

stwa. Przeciwnie, rodziny pijackie, głupie, próżniacze i t. p. są rozsadnikami zła i szkodnikami społeczeństw. Oto, czem jest rodzina. To też dawniej, a i dziś także na rodzinę zwracają uwagę rządy społeczeństw, rozumiejąc, że gdy opanują rodziny, gdy kierunek myślowy, uczuciowy i rozumowy — młodzieży zwłaszcza — opanować zdołają, to wytworzą pewien typ społeczny wedle swoich zamierzeń, aby w przyszłości wyhodować, lub też, co bywa częściej, *wytresować* przyszłe społeczeństwo. Człowiek może był wyhodowany, ale kto go najprzód wychowuje? — Rodzina, a dopiero później szkoła i życie. A czy można sobie przedstawić dobre, rozumne wychowanie człowieka w rodzinie, jeżeli w tej rodzinie i rodzice i starsi piją trunki alkoholowe dla apetytu, dla zdrowa, dla zabawy i dla przyjemności?

To też z takiej rodziny, gdzie od dzieciństwa na oczach dzieci i młodzieży piją starsi, cudu by trzeba, ażeby zaraza pijaństwa nie zatruła młodych dziecięcych organizmów. I tu jest to największe niebezpieczeństwo. Od lat już wielu spotykamy w pismach różnych kierunków wiadomości o rozpajaniu dzieci, czytamy: że przy badaniach przeprowadzonych w szkołach, ujawnia się, że tyle to, a tyle dzieci w wieku szkolnym dostaje w domu — a więc w rodzinach — wódkę. Co to znaczy? Czy rodzice nie uznają szkodliwości alkoholu dla organizmu ludzkiego, a więc są pod tym względem nieuświadomieni, czy też hołdują zasadzie, że w domu — byle nie w szynku — pić można, tak jakby alkohol wypity w domu, w rodzinie, był mniej szkodliwy, niż w szynku, w karczmie? Jeżeli tak jest, to popełnia się wielki błąd, ponieważ najgorszego wroga rodziny: alkohol wprowadza się do rodziny, do domu, do ogniska domowego, zgorszenie szynku — karczmy wprowadza się do domu. Jeżeli będziemy bacznie śledzić nasze zjazdy i kursy przeciwalkoholowe, które coraz częściej odbywają się w kraju i są zazwyczaj jaknajlepiej obesłane przez zdolnych wykładowców i licznie są uczęszczane przez publiczność, to z pociechą stwierdzamy postęp naszej idei, rozumie się tylko tam, gdzie można i kursy i zjazdy i wykłady zorganizować; niestety, można to czynić w większych tylko ośrodkach, mniejsze skupiska ludzkie, małe miasteczka, lub wsie jeszcze nie mogą być pod tym względem obsłużone; prawda, są wiadomości, że „kryzys", inaczej nędza, jaką cierpi ludność, w sposób naturalny, przez brak pieniędzy, usuwa ze wsi gorzałkę. Nas przekonaniowych, ideowych abstynentów, ta *„cnota z potrzeby"* nie cieszy. My rozumiemy, że wola, rozum, świadomość ludzi może zwalczać alkohol, a to, że człowiek nie pije, bo nie ma za co, bo nie ma zupełnie za co, ale tem gorzej odczuwa *„głód alkoholowy"*, to dla nas znaczy, że będzie pił, jak tylko w jakikolwiek sposób zdobędzie pieniądze na gorzałkę, czy też na inny rodzaj alkoholu, bodaj na *denaturat*, lub *„samogonkę"*, — powtarzam, *„cnota z potrzeby"* nas nie cieszy. To nie jest rozwiązanie sprawy alkoholowej. Przeciwnie, to nas zastrasza, boć ten denaturat, czy „samogonka" znajdą się w domu, w rodzinie i zatrują *doraźnie* nawet nieletnie dzieci. Abstynenci walczą o to, aby rozum i wola, a nie *„kryzys"* i nędza były stróżami naszych progów domowych i naszych ognisk rodzinnych, i aby ta świadomość nie dopuściła tam trucizny alkoholowej; jestem przekonany, że usunięcie alkoholu z domów naszych, wprowadzenie trzeźwych obyczajów do rodzin, to jest najpewniejsza droga do zwalczenia alkoholizmu. Obyczaje nasze z prawieku

sankcjonowały picie w rodzinach. Suto zaopatrzona piwnica pana dziedzica w wina oraz najrozmaitsze „*starki*“, nalewki i t. p. dawała zły przykład t. zw. „dołom“, nizinom społecznym. Piła we dworze pańska rodzina, pili w klasztorach bracia zakonnicy, pił na plebanji dobrodziej, zwłaszcza dobry stary miodek, o którym mówiono: „gdy go użyjem *w miarę,* przyda wesela na godzin parę“; chodziło o to tylko, aby „*w miarę*“, a że od tej miary do nadmiaru tylko jeden krok, tedy to „*użycie*“ kończyło się często ciężkiem pijaństwem. A przykład szedł z góry, a zysk z gorzelni szedł „*do góry*“, to też i chłopek nieborak, co to marniał przy dworze, musiał mieć w domu flaszkę z wódką. Tak to drzewiej bywało, tak się utrwalało to picie w rodzinie i we dworze, w klasztorze, i na plebanji, i w dworkach zagrodowej szlachty, i w izbie rzemieślnika, w miasteczku i w biednej, najczęściej kurnej chacie chłopa. Bowiem obyczaje utrwalają się wiekami, ale też i trwają długo i niezmiernie trudno je usunąć, skoro mech sędziwości je pokryje. Ale trudno. Wiedza, nauka, lekarze i higjeniści rozjaśnili mrok niewiedzy. Dawniej, może nawet przeczuwano szkodliwość alkoholu, a i to tylko tam, gdzie następowało ciężkie zatrucie. Dziś wiemy, że nawet małe ilości alkoholu, jeżeli są używane przez czas dłuższy, są niezmiernie szkodliwe, właśnie ta „*flaszka w szafce*“, ten mały kieliszek, co się go pije przed jedzeniem „*dla apetytu*“, którym się częstuje żonę i dzieci, a czasem miłego sąsiada, to jest największy szkodnik i wróg, bo on zatruwa organizmy rodziny powoli, lecz stale, przechodzi w obyczaj — z obyczaju przemienia się w nałóg. A nałóg to już ciężka choroba i jakże często nieuleczalna, a przecież zaczęła się tak niewinnie, tak niewidocznie, to znaczy *zdradliwie,* to znaczy, że nawet postępu choroby prawie że niezauważono. A potem płacz i zgrzytanie zębów, niestety, już zapóźno; zapóźno, bo choroba zniszczyła organizm.

Rodzina w życiu społeczeństwa to wielka rzecz, zdrowie rodziny, uczciwość, zacność, to sprawy niezmiernie ważne, to też dbałość o fizyczne i moralne zachowanie rodziny powinna być powszechną troską społeczną. Co do mnie, to w życiu mojem znałem wiele rodzin i złych i dobrych, a oceniając dziś te moje znajomości, stwierdzam, że złe rodziny, to były te rodziny, w których pito, gdzie najczęściej ojciec rodziny pił i upijał się, — od ojca przechodziło to na matkę, a z tego małżeństwa dzieci poczęte przez zalkoholizowanych rodziców rodziły się z dziedzicznym obarczeniem. I znowu, rodziny *dobre,* które znałem, to były rodziny trzeźwe. A że przed kilkudziesięciu laty prawie że nie wiedziano o szkodliwym oddziaływaniu alkoholu na potomstwo, przeto skutki tego odczuwamy jeszcze w czasie obecnym. To też nam, abstynentom, bardzo zależy na wprowadzeniu świadomości przeciwalkoholowej do rodzin, prościej, o jaknajwydatniejsze szerzenie idej abstynenckich w rodzinach; — chodzi nam o uodpornienie rodzin przed zgubnym działaniem alkoholu. Widzimy przecież, że tak szeroko zapoczątkowana *nakazowo-ustawowa trzeźwość nie udała się.* Zapewne, wiele było po temu przyczyn. Zapewne, kapitał alkoholowy uczynił wszystko, co tylko mógł, aby nakazy przeciwalkoholowe i prawa przeciwalkoholowe zniszczyć. Tak, prawda to wszystko była. Ale i to prawda, że społeczeństwa, że rodziny, nie były dostatecznie uodpornione, nie były zahartowane do tej walki, którą miały prowadzić. Wypadkowa większość w ciałach ustawodaw-

czych, czy to w samorządach, czy też w sejmach, nie była większością w społeczeństwie. Dowiodła ona tylko, że ci ludzie trzeźwi — abstynenci, wyróżniali się *jakościowo* wśród swoich ziomków, zasłużyli sobie na zaufanie i zostali wybrani do ciał stanowiących prawa, do sejmów, kongresów, rad miejskich i t. p. Ale dół? Ale wyborcy? Otóż tam widocznie było inaczej i dlatego *na dziś* sprawa została przegrana; powtarzam, na dziś, albowiem wierzę, że *jutro do nas należy*, do nas, to znaczy do abstynentów. Tylko trzeba najprzód tę sprawę wygrać na terenie *rodziny*. Trzeźwa rodzina nie powinna, nie może przyjąć do swojego grona tego co pije, co swojem życiem przeczy ideałom trzeźwości. Trzeźwi z trzeźwymi najłatwiej się porozumieją i zżyją. A już nawracanie tych pijanych *Judaszów*, to niezmiernie trudne zadanie. Powieść „*Popielisko*", napisana przez p. Zofję Herwichową, powieść oparta na zdarzeniach wziętych z życia — jakże, niestety, licznych — jest tego straszliwym dowodem. Z rodziny, zatrutej alkoholem zawsze tylko pijacy wychodzą, a jeżeli nie pijacy, to różni *zboczeńcy, sadyści, kłamcy, lub też niedorozwinięci, matoły i zgoła idjoci*. A przecież mamy Polskę Niepodległą. Dawna Polska, ta, co ją rozebrano, grzeszyła bardzo co do *trzeźwości*. Czy mamy powtarzać stare błędy? Polska przedrozbiorowa zapłaciła za te błędy cenę straszliwą, zapłaciła rozbiorami, niewolą. Polska przedrozbiorowa — jeżeli o alkohol chodzi — błądziła ciężko, ale też i nieświadomie.

Żyjące obecnie w Polsce Odrodzonej pokolenie jest już nieco uświadomione. Nasze abstynenckie kongresy, zjazdy i kursy są obsyłane przez ludzi nauki, wiedzy, doświadczenia, nie tylko teoretyków, ale i doświadczonych na polu walki z alkoholem praktyków. Nasze pisma, książki i broszury pisane są przez ludzi, oddanych walce z alkoholem nie tylko jako z występkiem, ale i jako z wielkiem nieszczęściem-chorobą. Wszystko to ma na celu uzdrowienie rodziny, uzdrowienie przez rodzinę społeczeństwa, przekonanie go, że państwo niepodległe nie może być w niewoli zdrożnych obyczajów, a tembardziej nałogów. Że i nakaz moralny i nakaz polityczny i nakaz gospodarczy obowiązkowo zmuszają nas do naprawy tego, co w przeszłości było jedną z przyczyn naszej niewoli, a obecnie szkodzi nam niezmiernie. To wszystko mając na uwadze, jasnem jest, że trzeba w odrodzonej Ojczyźnie odrodzić obywateli. Odrodzić, uodpornić, przekonać i nauczyć, że rodzina musi być trzeźwa, że rodzina musi być uzdolniona do budowy nowego, a i nowoczesnego państwa - narodu. A błędy, które niestety zawsze spotykają się na drodze ku odrodzeniu, ku trzeźwości, trzeba zwalczyć i pokonać przez rodzinę, która światłą i trzeźwą być musi. „*Próżno się na polu rządzisz, jeśli w domu nie urządzisz*". Jeżeli nie posuniemy walki z alkoholizmem do tego, aby w rodzinach naszych zapanowała zupełna trzeźwość, dopóty ani *nakazem, ani ustawą* alkoholizmu nie zwalczymy.

Trzeźwość rodzin, trzeźwość społeczeństwa, to najpewniejsza droga do zwycięstwa abstynencji.

Tomasz Nocznicki.

SŁOWIANIE A KONGRES WSZECHŚWIATOWY.

We wrześniu, 1937 roku odbędzie się w Warszawie XXI Wszechświatowy Kongres Antyalkoholowy; będzie to pierwszy taki Kongres na ziemiach słowiańskich, na tym więc Kongresie, powinna być przedewszystkiem silnie reprezentowana cała słowiańszczyzna.

Trzeba się z tem liczyć, że różne grupy narodów w bardzo różny sposób reagują na zagadnienie ekonomiczne. Wpływają na to różnice klimatyczne, warunki produkcji krajowej, a przedewszystkiem charakter narodu, charakter tej grupy narodów, do której się dany naród zalicza. My, Słowianie, różnimy się bardzo wyraźnie od innych narodowych grup, a więc Romańskiej, Germańskiej, Skandynawskiej, Anglo-Saskiej i wspólne nasze cechy odbijają się w każdym zagadnieniu, a więc i w zagadnieniu zwalczania alkoholizmu.

Kwestje ekonomiczne u nas w krajach słowiańskich mniejszą, niż gdzieindziej, odgrywają rolę. Nie mamy wielkiej wszechświatowej produkcji win, piwo również nie odgrywa wielkiego znaczenia, a produkcją spirytusu, będącą w rękach większej własności, masy narodowe nie są zainteresowane; pod tym więc względem różnimy się bardzo od krajów Romańskich, zainteresowanych w wielkiej produkcji win i krajów Germańskich oraz Anglo-Saskich, produkujących masowo piwo, portery etc.

Oprócz czynników ekonomicznych wielką rolę odgrywają różne nakazy państwowe, higjeniczne, narodowe, etyczne.

Dla Niemców wystarcza nakaz, z którym się bardzo liczą, którego przywykli słuchać—Anglo-Sasi, dbają o zdrowie, o potrzebę zachowania sił fizycznych dla sportu. Skandynawi bardzo się liczą z nakazem swych duszpasterzy, dbają o zachowanie etyki. U nas, Słowian, nakaz przeważnie będzie zlekceważony, gdyż długo będąc w niewoli, przywykliśmy obce nakazy lekceważyć, a swoich nie nauczyliśmy się jeszcze słuchać, o zdrowie przeważnie nie dbamy, zresztą zaraz występujemy z przykładami długowieczności różnych pijaków. Kierownicy duchowni nie mają wielkiego wpływu, ale natomiast, gdy Słowaninowi się przedstawi, że wielka przyszłość jego ojczyzny jest w dużem stopniu zależną od wykorzenienia nałogów, powodujących osłabienie społeczeństwa, to pod tym hasłem zawsze znajdziemy wielkie ilości zwolenników.

My, Słowianie, mamy specjalną zdolność zapalania się do każdej sprawy, ale — niestety — ten tak bardzo charakterystyczny ogień jest często u Słowian, a przedewszystkiem u Polaków, ogniem słomianym. żeby jednak większy i trwały ogień zapalić, nie wystarczą zwykłe, małe hasła. Trzeba poruszyć hasła wielkie, trzeba do Słowian przemawiać nie w imię ich osobistego dobra — bo o to przeważnie się nie dba — ani nie można robić nacisku w formie zakazów państwowych, kościelnych, czy etycznych, bo my żadnych zakazów słuchać nie chcemy — nie poto zdobyliśmy swobodę i niezależność państwową, aby się podporządkowywać zakazom — ale trzeba wytoczyć hasło organizowania wielkiego społeczeństwa, któreby mogło zdobyć wspaniałą przyszłość, zająć stanowisko mocarstwowe, należne nam i ze względu na obszary, jakie zajmujemy, i na miljony obywateli, które do słowiańskiej solidarności bądź co bądź coraz wyraźniej zaczynają się poczuwać.

Myślę więc, że na Wszechświatowym Kongresie Przeciwalkoholowym do ogólnego międzynarodowego dorobku w zagadnieniu o zwalczaniu alkoholizmu powinniśmy wnieść ten nasz słowiański dorobek, płynący z wielkiego uczucia miłości swobody i dążenia do zdobycia dla ludów słowiańskich należnego im światowego stanowiska.

Aleksander Iżycki.

I POCÓŻ?...

I pocóż pijesz?
Czy poto,
By wszystkie dobre uśmiechy
Rozproszyć i wdeptać w błoto?

Czemu kieliszek
Tak nęci,
że się nie lękasz, by miłość
Runęła w przepaść niechęci?

I codzień w większej
Udręce,
Lepiej rozumiem, że stuła
Związała nam tylko ręce.

NIEZADOWOLONYM.

Łatwo mówić, że życie
Jest z uroków odarte
I że pełne kieliszki —
Te są może coś warte
że sprzysięgło się wszystko,
By kłaść kłody na drodze,
że śpi w tobie nadczłowiek,
że cię zawiódł świat srodze...
Jeśli nawet los skąpi
Wiekopomnych wydarzeń,
Szarą przędzą pajęczą
Wciąż zasnuwa krąg marzeń,
I dzień każdy się staje,
Jak powszedni kęs chleba,
To nie dowód, by w wódce
Byt swój topić potrzeba.
Musisz właśnie wytrwale
Snuć codziennych dni nić,
Boś nie poto tu wcale,
By używać, lecz żyć.

Zofja Herwichowa.

Z DZIEJÓW OBYCZAJU W POLSCE.

(Ciąg dalszy).

Zaczynając przed kilku miesiącami drukowanie niniejszego szkicu, pisałam, jak niezmiernie silnym jest wpływ obyczaju picia, utrwalanego w naszem społeczeństwie przez całe wieki.

Praca prof. Jana Bystronia „Dzieje obyczajów w dawnej Polsce"[1]) wykazuje jaskrawo potęgę owego obyczaju, narastającego stopniowo, wżerającego się uparcie we wszystkie dziedziny życia i w ten sposób wytwarzającego psychologiczne usprawiedliwienie obecnie panującego alkoholizmu.

Zanim przejdę do omawiania interesujących nas na tem miejscu poszczególnych zagadnień, pragnę podzielić się z czytelnikami wrażeniami, z tej niesłychanie cennej i ogromnej pracy.

Prof. Jan Bystroń dał nam poprostu kopalnię wiadomości z zakresu obyczajów w Polsce i rzucił na nie naświetlenia, pełne głębokiego znawstwa i przemyślanego sądu. Czyta się dzieło prof. Jana Bystronia z niesłabnącem zainteresowaniem, podziwiając bogactwo materjału, ilustrującego omawiane działy.

Z pracy tej wydzieliłam zagadnienie obyczaju pijackiego, tak obficie rozsiane w obu tomach, pragnąc podać całość obrazu, głęboko tragicznego i niesłychanie wymownego. Sądzę, że zebranie materjału, rozproszonego na przeszło 1000 stronach, przyczyni się do uwypuklenia nie tylko samego obyczaju picia, lecz nada również żywy koloryt samemu życiu polskiemu, we wszystkich warstwach społecznych naszego narodu. Znowu będziemy mogli stwierdzić, że alkoholizm jest zjawiskiem nie oderwanem od innych dziedzin życia, lecz ściśle spojonym z całym zespołem czynników natury ustrojowo-społecznej z jednej strony, a z drugiej — podtrzymującym, hodującym pewne wady charakteru, które być może, bez niego nie przybrałyby tak wielkiego natężenia. I właśnie niezmiernie cennym jest dla nas fakt, że praca prof. Bystronia maluje alkoholizm każdej warstwy narodu z uwzględnieniem, jakgdyby różnic stanowych, wypływających z takiego, a nie innego ułożenia się warunków społecznych.

Dzieło prof. Bystronia, oparte na wielostronnych i najnowszych badaniach, potwierdza wiele z tych rzeczy, o których na tem miejscu pisałam. Z konieczności może się wytworzyć pewne powtarzanie — stosuję je celowo, dla podkreślenia niektórych twierdzeń, które zyskują na różnostronnem oświetleniu, nabierają wagi, autorytetu, wymowy istotnej, rzetelnej prawdy, z którą musimy się liczyć w pracy naszej kulturalno-społecznej. Każdy głos uczonego - historyka ma dla nas cenną wartość, bo, odsłaniając przeszłość, naucza, czem mamy wypełnić pracę dla Jutra, a czego unikać i przed czem się bronić. Praca prof. Bystronia daje działaczom przeciwalkoholowym pierwszorzędny materjał, z którym zapoznanie się utwierdzić ich powinno w przeświadczeniu, jak niezbędną jest właśnie akcja wychowawczo-propagandowa wśród młodzieży, oraz, że uświada-

[1]) Jan St. Bystroń, Prof. Un. Jag.: „Dzieje Obyczajów w dawnej Polsce". Wiek XVI—XVIII. Tom I, str. 469. 215 Ilustracyj w tekście, oraz 32 tablice oddzielne. Trzaska, Ewert i Michalski. Tom II, str. 576. 1935.

mianie młodego pokolenia o grozie alkoholizmu, winno się opierać właśnie na zapoznawaniu się z przeszłością, tak fatalnie upośledzoną i hańbioną przez obyczaje pijackie. Było źle — musi być dobrze — oto nakaz pilny, który należy zrozumieć i odczuć z głębokiej i pięknej pracy prof. Bystronia.

Czytając omawianą książkę, jak zawsze, szukałam w niej wszystkiego, co się odnosi (już poza alkoholizmem) do doli chłopa polskiego, egoizmu szlacheckiego i innych ujemnych stron tego wszystkiego, co nazywamy krótkiem słowem: „szlachetczyzną". Słowo to mieści w sobie szczyty kultury i dno upadku, wzniosłość i gorycz bankructwa, ono streszcza w sobie wielkość i małość narodu, a dla nas jest już symbolem przeszłości, którą pragniemy dokładnie przewartościować, by się ustrzec przed apoteozowaniem spróchniałych wiązadeł, a niedocenianiem istotnych wartości.

Zaczniemy od zapoznania się z dolą chłopa. Czytamy: „Zarzucano chłopu, że jest leniwy z natury i kradnie, dalszym jeszcze zarzutem pod adresem włościan była ich skłonność do picia i upijania się. Istotnie: na wsi pito dużo: ci, którym się źle powodziło, pili na zapomnienie, inni dla dodania sobie otuchy, zawadjactwa. Zarzuty te, choć częste, nie brzmią jednak tak silnie, jak poprzednie, a z rozmaitych względów. Przedewszystkiem pijaństwo było powszechne i nikt się niem tak dalece nie gorszył; co najwyżej starano się prawo do upicia się zarezerwować dla szlachty, twierdząc, że chłopska to rzecz jeść nad miarę, a szlachecka pić nad miarę. Poza tem karczmy były własnością dworu i tem większy dochód przynosiły, im więcej chłopi pili; niektórzy dziedzice w swym własnym interesie starali się o to, by właśnie jaknajwięcej pito. Polityka takiego partykularnego monopolu spirytusowego była bardzo prosta i bezwzględna: wyrabiano trunki bardzo liche, sprzedawano je bardzo drogo, zakazywano pod ostremi karami pić gdziekolwiek poza karczmą dworską, jak również wyrabiać je u siebie. Opaliński pisze, że kiedyś w przejeździe:

„Kazałem piwa wynieść z karczmy,
Wyniesiono, pytam się: takież u was piwo
Zawsze bywa? Powiedzą: i sto razy gorsze,
A przecież je pić musimy, bo pan karczmarzowi
Oddaje pewną liczbę beczek do tygodnia,
Za które karczmarz musi oddać mu pieniądze,
Lub wypijem, lubo nie. Karczmarz zaś dochodzi
Na nas straty...
Pij, choć złe, a nie chcesz,
Wylej choć świniom, przecie zapłać karczmarzowi".

„Publicystyka oświecona z końca XVIII w. wyraźnie piętnuje przymus propinacyjny, jako nadużycie, niszczące zdrowie i majątek ludności, ale poza tem nikt nie miał wątpliwości, że pilnowanie karczmy znamienuje dobrego gospodarza. Przy pijatyce łatwo dochodziło do zwady, do pięści, a nawet i do pałki; niejeden też z zabawy karczemnej wyszedł kaleką i jeszcze rad był, że z życiem uszedł. Dwory, które raczej chętnie patrzały na tych, co w pańskiej karczmie grosz tracili, tępiły te burdy, gdyż powodowały one łatwo ubytek sił roboczych we wsi. Haur w Oekonomji zaleca

pilnowanie, by włościanie broni przy sobie nie nosili: „chłop przy takich biesiadach i okazjach, opiwszy się jako bydlę, ledwie na ten czas wie o sobie, a tak za lada przyczyną tnie nieuważnie jako ślepy, abo uderzy kogo w niebezpieczne miejsce i marnie, jako się często trafia, zabije człowieka, potem, gdy przyjdzie na dowód, pijaństwem się składa"; natomast jest mu to dość obojętne, „że chłopi się pięściami łupią, albo czupryn sobie palcami poczeszą“. Nie brak i innych zarzutów: chłop był głupi, chytry, nieszczery, krnąbrny, słowem z natury do złego skłonny i należało go wciąż pilnować i to przy pomocy kija; perswazja była bezskuteczna w stosunku do ludzi, którym odmawiano samodzielności myślowej. Jeżeli więc chciano wydostać z poddanych odpowiednie świadczenia, jeżeli dbano o ich moralność i zbawienie, roztaczano nad nimi ciągłą kontrolę, sięgającą głęboko nawet w życie rodzinne i towarzyskie. Poddaństwo nie było jedynie faktem gospodarczej zależności; był to system poddania całokształtu życia pod nadzór i administrację dziedzica, system, znajdujący usprawiedliwienie w poglądach o zasadniczej różnicy wolnego szlachcica i niesamodzielnych włościan. Nawet obywatele rozumni i ożywieni myślą o poprawieniu doli ludu wiejskiego, ideologowie i reformatorzy społeczni, czy filantropi, przeprowadzając reformy w swych dobrach, nie pozostawiają najczęściej ludowi wolności myślenia i działania, przepisując szczegółowo, co włościanie czynić winni dla swego własnego dobra. Dziedzic, nawet jako reformator, hołdujący modnym prądom społecznym oświecenia, występuje, jako opiekun małoletnich, jako ich łaskawy kierownik, walczący ze złem, które jest wrodzone ludziom. Sławne reformy księżny Anny Jabłonowskiej w jej podlaskich dobrach, skodyfikowane w ośmiu tomikach Ustaw Powszechnych dla dóbr moich rządców opierały się właśnie na takiej drobiazgowej kontroli i przepisywały najdokładniej cały tryb życia, nawet w zupełnie zewnętrznych szczegółach“.

Przeczytawszy, myślimy: nic nowego, jeszcze jedno tylko stwierdzenie, przez wybitnego uczonego, opłakanego stanu ludu wiejskiego. Ale trudno nie zaznaczyć, że wszystko, co prof. Bystroń pisze o warunkach, które towarzyszyły chłopu polskiemu przez długi szereg wieków, jest jednocześnie naukowem umotywowaniem działu współczesnej twórczości literackiej polskiej, której tematem jest wieś. I czy to będzie Leon Kruczkowski, Jalu Kurek, Wincenty Burek, czy Antonina Sokolicz — oni wszyscy — w przedstawianiu psychologji chłopa polskiego i jego doli, opierają się na stwierdzonej, udokumentowanej prawdzie historycznej, bez względu na to, czy ona się komu „podoba“, czy nie.

Prof. Bystroń jasno i wyraźnie skonkretyzował prawdę dziejową — pisarze, wedle miary swego talentu, prawdę historyczną łączą z obrazem rzeczywistości bieżącej i dają mniej, lub więcej artystyczne przekroje życia warstwy, stanowiącej ogromną większość mieszkańców naszego kraju. Realizm pewnego odłamu twórczości naszej jest artystycznem odtworzeniem historji. Literatura ta, zdaje się być wyrazem wszystkich żywotnych, prężnych sił w narodzie, pragnących istotnie odrodzić samo życie, w nowych państwowych formach. Dlatego może pisana jest z takim żarem buntu, zaprawna jadem goryczy, spowita smutkiem, a jednocześnie brzmiąca apelem do czynu, — bo męka i cierpienia wielkiej społeczności ludzkiej stają się nietylko oskarżeniem i wyrokiem, lecz jednocześnie kategorycznym nakazem dla każdego kto myśli i czuje. Praca prof. Bystro-

nia, oceniana z tego punktu widzenia, jest spopularyzowanym dokumentem przeszłości, opierającym się na archiwalnych zabytkach piśmiennictwa naszego, niedostępnych dla przeciętnego ogółu. Ci, u których literacka twórczość, jaskrawością swego kolorytu budzi zastrzeżenia i sąd, że jest ona zbyt paradoksalną, przeczytawszy spokojne, rzeczowe karty książki prof. Bystronia, .znajdą usprawiedliwienie i wytłumaczenie tego płomiennego wołania o ratunek dla ginących, którem rozbrzmiewają poszczególne „pozycje" naszej beletrystyki.

Szkic niniejszy zaczęłam pisać przed ukazaniem się w druku dzieła prof. Bystronia — obecnie widzę, że wszystko to, co tu wypowiedziałam od siebie, oraz co przytoczyłam z innych pisarzy, znajduje całkowitą sankcję i potwierdzenie Szanownego Autora — zagadnienie zaś obyczaju pijackiego zostało, jak zobaczymy dalej, niezmiernie bogato przez Niego opracowane. Zanim przejdę do alkoholizmu naszych przodków — podam jeszcze kilka cytat bardziej ogólnych, a istotnie ważnych.

„Włościanie, jako całość, nie mieli żadnej łączności i żadnych ambicyj. Wiedziano, że jak Polska długa i szeroka, wszędzie lud pracuje na roli pańskiej, lub czynsz płaci dziedzicom, że tu jest nieco lepiej, tam nieco gorzej, ale wszędzie trzeba pracować i wszędzie słuchać; rezygnacja jest zasadniczą cechą chłopa pańszczyźnianego, który wie, że jest zupełnie bezsilny wobec władzy pańskiej. Zabrakło już sił do protestu; w pracowitej trosce dnia codziennego zapomniano nawet o nadziejach. Z samym końcem XVI w. przemawia chłop do superintendenta braci czeskich Turnowskiego: „ażaż się nam czego chce w tej niewoli? nie mamy my czasu i o Bodze myślić — najdą panowie i w niedziele czem nas zabawić. Już nas z tej ciężkiej niewoli, ani Bóg, ani djabeł nie wybawi".

„„Zdumiewająca jest cierpliwość i bierność mas włościańskich; na Zachodzie, gdzie ludność wiejska znajdowała się czasem w daleko lepszych warunkach, wybuchały krwawe bunty chłopskie, które niekiedy w zupełnie regularne wojny się zmieniały; w Polsce samowola dziedzica nie znajduje przeciwwagi w groźbie chłopskiej. Trzeba było też istotnie nadzwyczajnej podniety, a najczęściej także i pomocy z zewnątrz, aby lud chwycił za broń i podniósł hasło walki o poprawę bytu. Najgroźniej ruszył się lud w nieszczęsnym roku 1651 i to równocześnie w kilku okolicach".

„Chłop wiedział, że jest z takiej czy innej wsi, czyim jest poddanym, wiedział jeszcze nadto, że jest katolikiem, że mówi „po naszemu"; za Polaka się nie uważał, gdyż po za określeniem przynależności społecznej i religijnej innego już nie potrzebował. Polakiem był szlachcic; dużo musiało się zmienić w stosunkach wsi polskiej i w umysłowości włościanina, zanim poczucie polskości zaczęło się szerzyć wśród potomków tych, którzy Polaka z panem, a Polskę z pańszczyzną utożsamiali".

„Świadomość społeczna wsi zamykała się w ciasnych granicach parafji, rzadko sięgając dalej. Parafja tworzyła całość; ludność poszczególnych wsi stykała się razem w niedzielę, słuchała tych samych kazań, podlegała temu samemu proboszczowi, często też i temu samemu dziedzicowi. Poza nią były inne parafje, które jednak już nikogo nie obchodziły; znana jest przecież opowieść o chłopie, który nie wzrusza się na porywającym kazaniu, gdyż jest z innej parafji. O tem, by lud miał poczucie łączności państwowej, mowy jeszcze być nie mogło".

„Chłop, pracując przeważnie dla dworu, lekceważył pracę, odnosił się do niej niechętnie, nie interesował się wydajnością i celowością roboty, co więcej nie dbał także o pomyślność swego gospodarstwa, gdyż obawiał się podwyższenia ciężarów dworskich. Apatja włościan, ich rezygnacja i obojętność doprowadzają do upadku gospodarczego wsi: nikt nie chce pracować, chyba pod przymusem, nikt nie ma ambicji wybicia się, uzysknia znośniejszych warunków, starannego wychowania dzieci, podniesienia poziomu życia".

W systemie pańszczyźnianym okropnem było właśnie to zupełne pozbawienie ludzi możności indywidualnego rozwoju sił i zdolności — zamknięcie naturalnych dróg do awansu społecznego, zredukowanie całkowite wszelakich normalnych dążeń do zapewnienia sobie lepszych warunków istnienia. Oto po prostu była to klatka, gdzie każdy żywszy, samodzielniejszy odruch zostawał automatycznie odparowany karzącą ręką wszechpotężnej szlachty, która, ku własnej wygodzie i własnej pomyślności owe klatki, w postaci przywilei i praw przebiegle, a wytrwale przez wieki całe wznosiła.

„Jakże w takich warunkach mogła się kształtować kultura ludowa?

„Przedewszystkiem, rzecz prosta, kultura ta oparta prawie wyłącznie o tradycję bezpośrednią; zwyczajowo z ust do ust, z pokolenia w pokolenie przechodziły treści kulturalne: techniczne, społeczne, czy umysłowe. Wieś jest niepiśmienna i przez bardzo długie jeszcze czasy taką pozostaje; wyjątkowe to musiały być jednostki, które na wsi czytać umiały. Tu i ówdzie była wprawdzie szkółka, czy parafja, ale klecha, który był zarazem nauczycielem, o ile wogóle spełniał swe obowiązki, uczył przedewszystkiem służenia do mszy i śpiewania na chórze. Zresztą dziedzice niechętnie odnosili się do tych szkółek, uważając, że i ta niewielka suma wiadomości, którą młodzież z nich wynieść może, jest zupełnie zbędna do wykonywania powinności pańszczyźnianych. Kultura ludowa jest więc z natury rzeczy bardzo ograniczona: pamięć ludzka kładzie jej dość skąpo odmierzone granice.

„Następnie kultura to bardzo wyraźnie tradycjonalna, wiernie przywiązana do form, przez czasy ustalonych, niechętna nowościom, nie sprzyjająca samodzielnej twórczości. To, co stare, było dobre, nowe rzeczy były czemś niepożądanem, przeciwko nim też zwracała się opinja starszych. Starzy ludzie tworzyli bezwzględny autorytet wiejski, ale i oni nie wydawali sądów we własnem imieniu, ale powoływali się na ojców i dziadów. Tak bywało dawniej, tak robili ojcowie; ten jedyny argument wystarczał, aby wytworzyć nastrój nieprzychylny dla nowości, aby stłumić wszelką samodzielność w jakimkolwiek zakresie.

„Jest to więc kultura wybitnie konserwatywna, bezwładna, bez dążności do rozwoju. Istotnie, trwałość pewnych treści kulturalnych, przekazywanych ustnie z pokolenia w pokolenie, jest zdumiewająca; poprzez długie wieki utrzymują się formy techniczne, zwyczaje społeczne, baśnie czy ornamenty. Cofając się wstecz, dochodzimy wreszcie do czasów pogańskich i widzimy ścisłą łączność pomiędzy kulturą Polan, czy wogóle Słowian pogańskich, a tradycyjną kulturą wsi w szereg wieków później".

Prof. Bystroń, zastanawiając się, w innem miejscu, nad poziomem kultury szlacheckiej i nad rodzajem umysłowości warstwy bogato wyposażonej w wyjątkowe przywileje i szerokie możliwości rozwojowe,

dochodzi do wniosków, zgodnych z wypowiadanemi, przez cytowanych przezemnie autorów. Oto, co pisze: „Bywały oczywiście jednostki, które poziomem intelektualnym dorównowywały szczytowym reprezentantom zachodniej elity umysłowej; niejeden szlachcic z okresu złotego wieku utrzymywał się na poziomie włoskiego, czy niemieckiego humanisty; niejeden pisarz stanisławowski dorównywa autorom francuskim, ale są to tylko jednostki, które jaskrawo odbijają od ogólnego tła i dlatego też dość nieswojo czują się w ojczyźnie i chętnie zwracają się myślą ku zagranicy. Dopóki utrzymywano związek z wielkiemi centrami kulturalnemi, zawsze znajdowała się garść osób, która z kultury tej korzystać umiała; zdolności nie brakło".

„Mało było ambicyj kulturalnych i naogół nie były one zbyt głębokie. Dużo tu naśladownictwa, ciekawości do nowinek, chęci wywyższenia się ponad sąsiadów, tendencyj do popisywania się, wreszcie poprostu mody; moda przechodzi i zdobycze kulturalne, wydawałoby się na stałe uzyskane, przepadają niepostrzeżenie; cały dorobek XVI w., cały wpływ humanizmu i reformacji zginął prawie bez śladu. Nawiązała się z trudem i rwała nadmiernie łatwo wątła nić współpracy kulturalnej. Chociaż różnice wykształcenia mogły być wcale znaczne, to jednak podłoże myślowe było analogiczne, bez względu na umiejętność czytania i znajomość obcych języków, bez względu na ilość przeczytanych książek i przyswojonych wiadomości. Zresztą umiejętność czytania nie była zbyt powszechna; już nietylko wśród drobnej szlachty, która bardzo często była niepiśmienna, ale nawet wśród zamożnych ziemian, ba, nawet wśród dygnitarzy jeszcze w XVIII w. trafiały się przykłady zupełnych nieuków".

„Stosunek do nauki szerokich warstw, czy to ludu, czy szlachty, czy analfabetów, czy też nawet autorów grubych dzieł, był ten sam: praktyczny i bezkrytyczny. Nie mamy tu jeszcze chęci samodzielnego wysiłku dla samego poznania, niema tu jeszcze właściwej twórczości naukowej, niema też poważania dla nauki, jako dla takiej: Nauka służy praktycznym celom; dociekania teologiczne są raczej aktem pobożności, aniżeli dążeniem do poznania. Skoro nauki przedewszystkiem praktycznym celom służyły, nie dziw, że nie stanęły one wysoko; lekceważono zagadnienia teoretyczne, więc i poziom teoretycznego myślenia był bardzo niski. Aktywność naukowa tych czasów jest bezkrytyczna; przyjmuje się tu autorytety takie, czy inne, kościelne czy świeckie, starożytne, czy współczesne, i przyjmuje ich twierdzenia, nie poddając krytyce. Ponieważ autorytetów tych jest dużo, a poglądy ich mogą być dość rozbieżne, przeto zachodzi potrzeba uzgodnienia sprzecznych opinji; praca naukowa polega więc na kompilacji zdań rozmaitych autorów, a ewentualne sprzeczności rozstrzyga się jakimś teoretycznie obojętnym argumentem, albo też pozostawia czytelnikowi wolność wyboru".

Prof. Bystroń, zastanawiając się nad poziomem moralnym młodzieży uniwersyteckiej w XVI w., pisze, że: „Hieronim Ossoliński na sejmie piotrkowskim w 1562 r. skarży się na uniwersytet, że „w taką jaskinię się łotrowską obrócił, że ludzie stateczni chronią się synów swych dawać, bo więcej złych aniżeli dobrych obyczajów się uczą". W 1573 r. zwraca się Zygmunt August z ostrą naganą do Akademji: „wolimy raczej mieć szkoły zupełnie puste, niż przepełnione tego rodzaju zbrodniczemi jednostkami". „Z samym końcem XVI w. rektor Fontan w mowie inauguracyjnej ostro

zwraca się do młodzieży: „jesteście pijanicami, gwałtownikami i zbrodniarzami, ale nie uczniami", choć część winy także i na grono profesorskie składa: „jesteśmy nieukami, demoralizatorami młodzieży, próżniaczymi sybarytami".

Znajdujemy wymowną cytatę Starowolskiego, a więc z połowy wieku XVII: „my, grubi Sarmatowie, nie znając się na drogich perłach nauk wyzwolonych, jednem słowem filozofję błazeństwem, a filozofy i wszystkie ludzie uczone żakami, bikami, dominami, rybałtami, a ludzi dobrych, cnotliwych błaznami zowiemy; tych jeno grzecznymi rozumiejąc, co utracają, piją, huczą, znieważają drugich i zabijają niewinnych. O dusze tcze nieba, a pełne ziemie".

Nieco wyżej cytowałam słowa prof. Bystronia, ilustrujące brak wszelakiego poczucia narodowościowego w stanie kmiecym—ciekawą jest rzeczą jak szlachta ustosunkowywała się do spraw natury ogólniejszej. Oto co pisze prof. Bystroń: „Idylla szczęśliwości ziemiańskiej była poetycką nadbudową rzeczywistości, która przedstawiała się daleko smutniej. Rzeczpospolita stała się jakby luźnie związanym zespołem tysięcy autokratycznych folwarków, tworzących zamknięte światy, pilnujących swej odrębności; władcy ich, głosząc wolność, nie poczuwali się do obowiązków względem państwa, a jeśli udział w życiu publicznem brali, to dla ambicji, zaszczytów i sukcesów. Wytwarza się obojętność dla spraw publicznych: byle tylko wieś spokojna, wolna od kwaterunków wojskowych, od podatków".

Walą się w gruzy legendy o jakiejś wyjątkowej zasłudze szlachty polskiej w dziejach narodu polskiego, tak chciwie przyswajane i gorliwie bronione przez tenże przeciętny, szary tłum szlachecki, pragnący za wszelką cenę skryć swe istotne oblicze w barwne malowanki fantazyjnie kolorowej ułudy, w szumie i pompie barokowych frazesów, któremi się tak kołysano do półsennego biernego wegetowania w dobrobycie, opartem na znoju i trudzie ludu. Przedział między tą masą szlachecką, a jednostkami wybitnemi, które z tej masy się wysunęły i zajęły istotnie przodujące i pełne zasług miejsce w szeregu twórców naszej kultury, był bardzo głęboki, w niektórych wypadkach, powiedziałabym, wprost tragiczny. Podkreśla ten moment również prof. Bystroń, jako wytrawny znawca naszych stosunków. Pisze on: „Nie można się dziwić, że ci wielmożowie nie mieli wielkiego sentymentu do swych klijentów; wiedzieli przecież, że są to interesanci, gotowi wszystko dla grosza zrobić, ale też czuli swą zależność od mas, które należało poić i wychwalać. Zwłaszcza ludzie ambitni, wykształceni, inteligentni, przyzwyczajeni do wyższego poziomu życia, a takich nigdy wśród magnatów nie brakło, musieli z odrazą patrzeć na tłumy szlachty braci, z któremi musieli pić, politykować, całować się po pijanemu". Czasem wśród szeregu ciemnych stron naszego życia spotkać można jaśniejszy promień, jak np.: „Nie brakło też szczerych usiłowań, zmierzających do podniesienia doli włościan, poczynając od akcji Braci Polskich, arjan, którzy występują przeciw poddaństwu ze względów religijno-moralnych, aż do ideologów społecznych okresu stanisławowskiego".

Książka prof. Bystronia podaje zwięzły, krótki i niezmiernie plastyczny przekrój naszego społeczeństwa w dawnych wiekach, uwypukla zasadnicze cechy, które musimy sobie dobrze uświadomić, by się orjentować należycie w brakach obecnego naszego życia, wypływającego konsek-

wentnie z takiego właśnie, a nie innego stanu rzeczy w przeszłości. Szlachta, która wycisnęła niezatarte i potężne piętno na całem życiu narodu, ujawnia istotę swej psychologji przedewszystkiem w stosunku do innych stanów. Wyłączność i egoizm szlachty naszej, były tą tamą, która hamowała nurt rozwojowy stanu mieszczańskiego i ludu — wolność i samowola jednej klasy legła ciężarem przygniatającym olbrzymią większość narodu, a, niestety, luk powstałych z tego powodu nie mogła przecie sama wypełnić, ani zasilić wszystkich dziedzin życia państwowego swemi szeregami. Oto co pisze prof. Bystroń:

„Nazywano dawną Polskę społeczeństwem szlacheckiem. Obok szlachty istnieją inne stany: mieszczanie i włościanie, tworzący ogromną większość ludności, ale na pierwszy plan wybija się i nadaje charakterystyczne piętno rozwojowi politycznemu, gospodarczemu i kulturalnemu Rzeczypospolitej wszechwładny stan szlachecki, ruchliwy, zadowolony ze swej wyższości, wyłączny, dumny. Duma szlachecka była dostojna, pewna siebie, nie licząca się z nikim i niczem. Szlachta była solą ziemi, była warstwą, stworzoną do używania i rozkazywania innym. Naród szlachecki utożsamia się z narodem polskim, inne stany są czemś dodatkowem, czemś technicznie raczej potrzebnem, nie mającem własnej racji bytu".

„Istotą szlachectwa jest jego wolność. Szlachcic jest wolny, co więcej, rodzi się wolny. Wolność tę pojmowano rozmaicie, ale zawsze była ona uważana za najcenniejszy skarb i najwyższy przywilej. Wystarczało powołać się na wolność szlachecką, aby uzyskać natychmiast chętnych słuchaczy i gorliwych zwolenników; najlepsze, najrozsądniejsze projekty reform upadały, gdyż zawsze uznawano je za ograniczające wolność.

Rzuca się w oczy wyjątkowy brak równowagi w samej psychice szlacheckiej, wprost jakiś szaleńczy egocentryzm, którego nadmiar i rozrost powodować może katastrofalne wyczyny, pełne grozy upadki nietylko obarczonych tą cechą, ale i całych środowisk, co zresztą miało miejsce i w historji naszego narodu. Nie zastanawiając się bowiem na tem miejscu nad przyczynami rozbioru Polski, sądzę, że mogę śmiało twierdzić, iż prywata i egoizm szlachecki dużą rolę odegrały w dramacie naszym. Szczególnie podkreślam egoizm i ciasnotę myślową, bo te cechy obecnie w psychologji alkoholizmu są uznane, jako dominujące w psychice przeciętnej zalkoholizowanej jednostki. A jak polskie społeczeństwo było zalkoholizowane, to prof. Bystroń powiada, że „podróżnicy francuscy, którzy dotarli do Polski, choćby nawet znaleźli uznanie dla dworu i elity szlacheckiej, bardzo ostro oceniali przeciętny poziom kultury, wytykali brud, zawadjactwo, pijaństwo".

Dopiero, gdy się zaczyna poznawać obyczaje pijackie wszechwładnie panujące u nas i gdy się je porówna z całokształtem cech wyhodowanych wiekami, w obrębie owego uświęconego tradycją towarzyskiego przymusu, to się spostrzega, że te same spustoszenia, które czyni alkoholizm w psychice jednostki, zaczynają występować również w psychice zbiorowej. Zestawiwszy cechy przeciętnego pijaka, jak egoizm, brutalność, zwężenie zainteresowań ogólnej natury, zauważymy analogiczne rysy szarego tłumu szlacheckiego; a więc znajdziemy ten sam egoizm, jaskrawo się uwydatniający w stosunku do innych stanów — brutalność i swarliwość, wyżywającą się w niezliczonych procesach, napadach, zajazdach — tę samą ciasnotę horyzontów, czyż nie powodującą niezliczonych klęsk spra-

wie publicznej? I tak jak pijak nie jest w stanie nałożyć żadnych hamulców, żadnych wędzideł swej naturze — tak samo owa dumna, zawadjacka brać szlachecka nie mogła odczuć rzetelnych, twórczych walorów wolności, lecz czyniła z niej jedynie źródło i sankcję dla swych niepohamowanych, wilczych apetytów rządzenia i panowania. Prof. Bystroń mówi:

„Szlachcic jest wolny, jest panem u siebie w domu, nikt niema prawa w czemkolwiek jego domowej swobody ograniczyć; nie podlega on też nikomu personalnie, nie słucha zwierzchników, gdyż takich mieć nie może, jest jedynie posłuszny prawom, które sam ustanowił; na straży tych praw stoją urzędnicy, którzy również pochodzą z uznania szlacheckiego, poczynając od samego króla. Ale interpretacja popularna była jeszcze bardziej swobodna; rozszerzała ona uprawnienia szlachty, redukowała jej obowiązki. Skoro szlachta jest wolna, inne zaś stany wolności tej nie mają, przeto szlachta żyje życiem własnem, dla siebie, inne zaś stany pracują w ramach przez szlachtę wyznaczonych; szlachta utożsamia się z państwem, każdy szlachcic jest jakby suwerenem. Od pojęcia wolności do woli jednostkowej i samowoli droga była niedaleka; szlachcic, który ciągle słyszał, że jest wolny, oburzał się, gdy wymagano od niego posłuszeństwa władzom, czy wyrokom sądowym, świadczeń, podatków; w imię tej wolności coraz to większe przywileje przyznawano szlachcie, dokonywano też licznych aktów lekceważenia władz, poczynając od samego króla, oporu wobec urzędników, którzy często bywali bezsilni, niepoddawania się wyrokom sądowym, a nawet jaskrawego bezprawia, napadów, gwałtów, rokoszów. Wielkosłowność, dziedzictwo prozy cycerońskiej, pielęgnowana troskliwie przez szkoły jezuickie, ułatwiała zawsze znalezienie usprawiedliwienia dla samowoli.

„Nie brak też już od XVI w. poważnych napominań, by wolność nie utożsamiano ze swawolą, by wolność, która jest podstawą państwa, nie była jego szkodą. „Tego wolnością nie mamy zwać, iż kto podług swej woli żyje, ale to jest prawdziwa wolność a swoboda żyć podług prawa", pisze Górnicki w „Dworzaninie". Nierównie ostrzej i wyraźniej karci nadużycia szlacheckie Skarga w Kazaniach Sejmowych (swoją drogą trudno tu nie stwierdzić, że obydwaj pisarze są mieszczańskiego pochodzenia)".

„Starowolski pisał „wszyscy się wolnością szlachecką bronią, wszyscy ten płaszcz na swe zbrodnie kładą i poczciwą a złotą wolność w nieposłuszeństwo i we wszeteczność obracają. O, piękna wolności, w której wszystki swawolności i niekarności panują, w której mocniejsze słabsze uciskają, w której Boskie i ludzkie prawa gwałcą, karać się nie dadzą ani królowi, ani urzędom. Wszyscy jako synowie Beliala, bez jarzma, bez wodze".

Kompletna bezkarność, zupełna nieumiejętność zachowania umiaru, taktu, spokoju, wyzierają z każdego zakamarka naszego życia w dawnej Polsce. By jeszcze dobitniej uwydatnić słuszność tego, co tu mówię od siebie, przechodzę już prawie wyłącznie do cytat alkoholowych. W ich pryzmacie właśnie mozajka życia obyczajowego staje się jeszcze wymowniejsza. O alkoholizmie szlachty już pisaliśmy i jeszcze nieraz wypadnie nam o nim mówić — trzeba się teraz zapoznać ze stanem alkoholizmu innych sfer. Zacznijmy od mieszczan, którzy, według słów prof. Bystronia, „byli przez opinję szlachecką tolerowani dość niechętnie; uważano,

że mogą oni służyć jako pośrednicy, choć tu coraz częściej wyręczano się faktorem-żydem, dopuszczano, że trudnili się oni rękodziełem, choć lepszy towar z zagranicy sprowadzano, a gorszy coraz częściej we własnym zarządzie na folwarku wyrabiano. Nie można się więc dziwić, że miasta znajdowały się w opłakanym stanie, że mieszczanie w życiu polskim tak niewielką odgrywali rolę. Polska była chyba jedynym wówczas krajem, w którym mieszczaństwo było nawet liczebnie słabsze od szlachty".

„Rozliczne były powody, które skłaniały mieszczan do picia. Przedewszystkiem przykład szedł zgóry; mieszczanin chciał dorównać szlachcicowi przynajmniej w tym zakresie. Następnie tranzakcje handlowe łatwo kończyły się przy szklance; trzeba było wypić litkup, czy mohorycz, trzeba też było towarzyszy zaprosić, aby za samoluba nie uchodzić. Spory, o które na partykularzu nie trudno, kończono również w gospodzie; trzeba było rzecz zapić. O sprawach publicznych i prywatnych najlepiej również się mówiło przy napitku; odpowiednia ilość trunku pozwalała zapomnieć o smutkach i nędzach, których życie nie szczędziło upadającym miastom. Wreszcie każda uroczystość miejska, cechowa, czy rodzinna była okazją do libacji; wytworzył się cały rytuał pijacki, od którego się trudno było uchylić. Gdy delegacja mieszczan z Kamieńca z 1789 r. skarżyła się u biskupa Krasińskiego na smutny stan miasta, biskup radzi im: „szukajcie rękodzieł... porzućcie kwaterkę, bo z tej nie będziecie nic mieli... skądże tylu pijaków brać, aby was bogacili?" Pewnie, że nie było tylu pijaków, aby wszystkich mieszczan wzbogacić, ale wystarczało ich, by zapewnić byt bardzo licznym miastom. Było gdzie wypić, ale nie bardzo było gdzie spać".

„Władze zalecają wciąż, by „cechy trzeźwo i skromnie, nie uważając na żadne starszeństwa, ale na miłość i obronę wiary" strzegły bram, — pilnują, by szynkarze „skromnie bez zbytku" sprzedawali trunki mieszczanom, ale improwizowani żołnierze pili na murach, pił sam komendant konfederacki, a nawet prezydent miasta". „Inne znów postanowienia dotyczą ilości trunków, jakie członkom cechu jednego wieczoru wypić można; pilnowano stale przyzwoitości (przynajmniej w ustawach), starano się, by wesołe zebrania nie przeszkadzały nabożeństwom, określano długość trwania zabawy; statut miechowników krakowskich z końca XVI w. zawiera nawet szczególne nakazy: „żaden nie może przy uciwym szynku więcej piwa do siebie brać, niż utrzymać może... aby żaden piwa więcej nie rozlał niż na stole ręką, a pod stołem nogą zakryć może... gry żadnej nie grać, rękoma zuchwale na stół nie bić... żadny towarzysz niema tańcować z niepoczciwą niewiastą pod winą". Inny znów statut mówi: „gdyby się z towarzyszów który w gospodzie tak bardzo ożłopał i opił, żeby mu womit stąd przyszedł, taki za winę do cechu jeden funt wosku odłożyć ma". Kary były przewidziane dość wysokie i wcale liczne za najrozmaitsze przewinienia towarzyskie; kary te dotyczyły także i tych, co we wspólnej zabawie udziału nie brali, słowem, cech nakładał przymus życia wspólnego.

„Jasną jest więc rzeczą, że ów „przymus" obejmował również nakaz picia towarzyskiego, które najwidoczniej przybierało już tak wyuzdane formy, że ze wszystkich sił starano się ujarzmić podochocone temperamenty.

„Szlachta rozszerzała coraz bardziej swe uprawnienia, zagarniała

dla siebie coraz to nowe dziedziny gospodarcze; równocześnie ograniczano prawa włościan i mieszczan, poddawano wieś w niewolę, powodowano upadek miast. Wystarczy uświadomić sobie tę głęboką różnicę, jaka zachodzi w stanie miast w szesnastym i osiemnastym wieku: zrazu mamy do czynienia z miastami wcale znacznemi, mogącemi się równać z niejednem miastem zagranicznem, z mieszczaństwem żyjącem w dobrobycie, czasem zamożnem, o wcale wysokiej stopie wymagań życiowych, biorącem żywy udział w życiu kulturalnem społeczeństwa. Wiek XVIII daje nam, poza stolicą, która rozwija się w cieniu dworu królewskiego, obraz upadku i nędzy miast; miast tych jest nominalnie dużo, ale są one niewielkie, często wyludnione, czasem w ruinie stojące, utrzymujące się najczęściej z przejazdu i postoju podróżnych, pozatem dostarczające prostego towaru dla okolicy; mieszczanie, o niskim poziomie życiowym i kulturalnym, mało aktywni gospodarczo, często żyjący z pracy na roli, nie mają innych ambicyi poza podkreśleniem swej wyższości nad włościanami i żadnej roli w życiu publicznem nie odgrywają; dopiero w drugiej połowie XVIII w., za przykładem Warszawy ożywiają się nieco mieszkańcy większych miast i przyłączają do akcji reformy społecznej. Polityka stanowa szlachty powoduje upadek miast". „Szlachta więc niszczyła miasta i to niszczyła świadomie; uważano, że wzbogacony mieszczanin jest zbytecznym konkurentem szlachcica, chciano, by pomiędzy szlachtą, a plebejami był jak największy dystans". „Pijaństwo było powszechne i gospód było dużo; często w miasteczku niczego dostać nie było można, ale zawsze było gdzie wypić".

„pijaństwa zewszechmiar
Zabiegać pilnie trzeba, bo to jest powszechna
Miast wszystkich calamitas, tak i miasteczek.
Ten występek wprzód wiedzie do niedbalstwa,
Do utraty, nakoniec ubóstwa i nędzy"
moralizuje Opaliński.

„Najdokładniej oznaczano domy gościnne, zwłaszcza winiarnie, aby uniknąć nieporozumień co do rodzaju trunków, jakie były na składzie; nawet czynniki oficjalne regulowały to znakowanie, jak np.: wojewoda Firlej w Krakowie, który w 1589 r. ogłosił w tej mierze ustawę: „do jednych domów i piwnic pospolitych win stawiać nie mogą, jedno porządkiem niżej opisanym, to jest węgierskie i endeburskie pospołu, na które ma byc wieniec zielony po staremu wywieszony; w tychże piwnicach małmazje i muszkatele być mogą, na które po staremu tabliczki wywieszone być mają. W osobnych piwnicach w inszych domiech świetojurskie, rakuskie, morawskie mają być stawiane, na takie ma być wieniec słomiany wywieszony; osobno też w inszych domiech i piwnicach mają być stawione seki, canari, mederi i inne zamorskie wina, na takie ma być wieniec zielony, a w pośrodku płat modry wywieszony; osobno miody, na których krzyż ma być zawieszony, te z piwem stawiać się mogą". „Zwyczaj ten był powszechny, skoro wiecha stała się z czasem synonimem karczmy i w przysłowie weszła: „dobry towar wiechy nie potrzebuje"; „z rana do kościoła, z południa do wiechy". Śmiał się z tych wieńców i krzyżów Wacław Potocki:

„Wieńca winu, krzyż na miód, wiechę wieszać w rynku
„Na piwo, jeśli wszystko dobre to, na szynku
„Próżno; jeśli złe, choćbyś wieńców, krzyżów, sto wiech
„Wieszał, przy oracyej i wybornych słowiech
„Zalecając swe trunki, kwasu się z nich prędzy
„Niż, choćbyś tanio dawał, doczekasz pieniędzy".

Wojsko również uległo, niestety, zarazie alkoholowej — niema w tem zresztą nic dziwnego, boć składało się ono przedewszystkiem ze szlachty, nadającej ton całemu wogóle życiu.

„W literaturze satyrycznej tych czasów towarzysz husarski występuje jako burda, opój, samochwał, chętnie o swych przewagach wojennych opowiadający. Zapewne tem więcej o tych sukcesach opowiadano im mniej ich było". „Pomimo zmienności losu wojskowego, niepewności jutra, częstego głodu i chorób, życie w obozie było gwarne i wesołe, czasem i hulaszcze. Wprawdzie artykuły hetmańskie z 1609 r. wyraźnie postanawiają, by żołnierze wystrzegali się „wszetecznictwa, opilstwa, grania niezmiernego i innych wszelkich zbytków", ale przeprowadzenie tego zakazu nie było tak łatwe, zwłaszcza, że przykład szedł z góry. Pili szeregowi i ciury u bazarnika, pili towarzysze w namiotach swoich przywiezione w taborach wino; ciskało pospólstwo kości, grała szlachta w karty; cnota markietanek nie była zazwyczaj bardzo pewna, a w orszaku rycerza nieraz znajdowała się niewiasta.

„Pijaństwo było powszechne. Skoro pito na spokojnej wsi czemu nie mianoby pić w obozie, w wesołej kompanji?

„Wszystwo pijano. Pijani hetmani,
„Towarzystwo pijane, pijana straż, zgoła
„Obóz wszystek pijany. Oj bre, bre, lej, rozlej.
„Tylko strata i sławy, i żołdu, i dusze.
„Zabijacie przy stole i waszych puharach
„Pełnych nieprzyjaciela, a kiedy w rzecz przyjdzie,
„Nic widzę pijakowie marni nie umiecie.
„Bo was niż nieprzyjaciel, wprzód wino zwojuje",

deklamuje Opaliński. Bywało, że wino animuszu dodawało, ale też nieraz siły odbierało i fantazję wojenną; pijaństwo w obozie wnosiło doń czynnik nieobliczalny, nieodpowiedzialny.

„Pijana kompanja przechodziła łatwo do figlów, zrazu nieofenzywnych, potem bez pamięci, do coraz to ryzykowniejszych, które się krwią, a czasem i pogrzebem kończyły. Zaczynało się od prób sprawności, od strzelania do celu; ciurowie obozowi musieli nieraz służyć z narażeniem skóry własnej przy takich zabawach. Narzeka więc służalec z komedji Baryki z pierwszej połowy XVII w. na pijane towarzystwo husarskie:

„jak się popiją, o nieboże ciura,
„Przebeczysz ty, kiedy będzie we łbie dziura!
„Skacz mu przez gołą szablę, trzymaj szóstak w palcach,
„On ci ich urywa kulą po kawalcach.
„Więc jeszcze jako tako, kiedy trzymasz w ręce,
„Ale kiedy nad głową to się równa męce.
„Drugi każe czupryne podnieść w górę sobie,

„To stanie z bandoletem prosto przeciw tobie,
„I tak strzela do ciebie właśnie, jak do żubra
„Aż czasami i w łeb trzaśnie“.

Palestra nasza także nie wyróżniała się od ogólnego tła obyczajów: „Gdy cała Polska żyła wystawnie, także i sędziowie prowadzili taki tryb życia; gdy każdy akt urzędowy musiał być hucznie obchodzony, przy akompanjamencie uroczystych przemów, uczt i toastów, nie dziw, że i sądy zaniedbywały często urzędowanie dla obowiązków reprezentacyjnych; gdy cała szlachta za Augustów była nietrzeźwa, trudno było żądać wstrzemięźliwości od samych sędziów. Sesja trybunału zaczynała się uroczyście od wjazdu marszałka, przy asyście wojska i obywatelstwa, poczem zaczynały się uczty.

Trzeciego, lub czwartego dnia zaczynano formalnie sądy, które ograniczano zrazu tylko do zgłoszenia którejś ze spraw, poczem, jak pisze Kitowicz — „marszałek kazał sądy odwołać na poobiedzie, albo nazajutrz, bo nagle zaprzęgać się do pracy nie było w modzie; ile że oprócz prezydenta i marszałka niektórzy z deputatów możniejszych, albo pacjentów panów możnych mieli sobie za honor popisywać się z obiadami i kolacjami na przepych jedni nad drugich, już to dla trybunału, już dla prześwietnej palestry dawanemi, dlatego w pierwszym tygodniu mało albo wcale ne było postępu w administracji sprawiedliwości; drugi tydzień ocucał cokolwiek więcej znużonych biesiadami i do pracy zaciągał, acz to często rozmaitemi festynami, to imieninami, anniwersarzami dworskiemi, nareszcie i bez żadnych okoliczności świetnych powtarzanemi od panów przerywana była“. Nawet w czasie obrad deputaci „pracujący nad sentencją jakiego bogatego pacjenta, posilali się starem winem i przysmaczkami, incognito na ratusz doniesionemi“.

„Skromniej, ale niezawsze na trzeźwo zaczynała się praca w innych sądach grodzkich i miejskich; zarówno sędziowie-szlachta jak i miejscy ławnicy — przyzwyczajeni byli do obgadywania każdej sprawy, a więc i sądowej, przy kieliszku. O pijaństwie tem wspomina Potocki w „Moraljach“:

„Idzie sędzia na ratusz, siedzi i sądzi mnie,
„Choćby mu raczej leżeć przystało bo drzymie,
„Szlachta wino, chłopi zaś, że ich nie stać na nie,
„Gorzałkę sącząc piją, jako i mieszczanie“.

„Jeżeli takie stosunki były w grodzkich sądach i większych miastach, to trudno się dziwić, że w małych miasteczkach i na wsiach obrady ławy sądowej przypominać mogły czasem posiedzenie w karczmach. Znamienny jest w tej mierze instruktarz dla dóbr jaworowskich, podkomorzyny Mniszchowej z 1765 r., który wyraźnie przepisuje:

„urząd miejski, gdy jakową sprawę sądzić będzie nie po pijanu, ale po trzeźwu, na stole w urzędowej izbie nie kwarta gorzałki, lub konew miodu, ale krucyfiks i saxon (kodeks) być ma, mocno tego dopilnować ma J. P. ekonom, oraz w to wejrzeć, jeżeli sprawiedliwie dekreta i sentencje, jeżeli dla wziątku i pokrewieństwa jakowego niema faworu, albo z nienawiści złego osądzenia“.

Wybory, sejm i senat były również terenem, gdzie alkohol święcił tryumfy:

„Podejmowanie i upajanie braci szlachty przez kandydatów było powszechne; Potocki pisze:

„Jedzie na sejmik, kędy o wolności radzą,
„Starosta. Wina za nim karawan prowadzą,
żeby mógł swego dopiąć interesu winem:
Z Warszawą posłem, sędzią witać się Lublinem“.

„Barwny opis sejmiku w żytomierzu w 1791 r. podaje Ochocki: „ciżba była niezmierna; z trzech powiatów więcej trzech tysięcy szlachty w kapotach, kożuchach, siermięgach, w butach jałowiczych, postołach, każdy jednak z szablą w ręku, przywlekło się do żytomierza.

„Wielcy panowie, rozgrywający partję polityczną przy pomocy zauszników, którzy organizowali tłumy szlacheckie, pozajmowali już poprzednio kwatery w klasztorach; stopniowo zaczęli zjawiać się bracia-szlachta. Gromadziły się zewsząd przybywające powozy, karety, kocze, bryczki, wózki i liczne tłumy konnych i pieszych elektorów. Nie pojmuję wcale — dodaje pamiętnikarz — jak się to wszystko potrafiło w żytomierzu pomieścić. Zamożniejsza i średnia szlachta bywała stale zapraszana przez magnatów protektorów, skarbiących sobie w ten sposób głosy i na wszelki wypadek szable; tłumy szlacheckie podejmowano masowo w krużgankach klasztorów, lub też pod gołem niebem, mniej wystawnie, ale równie obficie. „Co się działo u nas na kwaterze — pisze Ochocki — opisać trudno; klasztor cały, w którym staliśmy, otoczony był gawiedzią głodną, ale szlachecką. Dla tych elektorów w górnym i w dolnym korytarzu poukładano tarcice, a na nich mięsiwo wieprzowe warzone i pieczone, wędzone ryby, śledzie proste nieustannie zmieniać było potrzeba. Oprócz tego do napitku przywieziono dziewięć kuf wódki, w żytomierzu dokupiono pięćdziesiąt spustów, ośmdziesiąt beczek piwa w Krośnej, miodu dosyć beczkami u żydów nabrano i wszystko się rozczęstowało w naszej kwaterze. Podobnie było u generała Ilińskiego, u pana wojewody Potockiego i u kasztelana Pruszyńskiego. Dniem przyjmowaliśmy panów szlachtę, w nocy tłumy te oblegały korytarze nasze, stajnie i jakie były szopki bernardyńskie“. „Nadmiernie długie posiedzenia wpływały niekorzystnie na obyczaje posłów i spektatorów: trudno było wymagać skupienia uwagi przez kilkanaście godzin z rzędu, a więc posiedzenia były dość gwarne. Jeszcze chyba trudniej było wymagać przez ten czas wstrzemięźliwości: posłowie więc opuszczali salę obrad, albo też kazali sobie przynosić jadło i trunki na posiedzenia. Za czasów saskich modne było angielskie piwo, które w butelkach roznosili hajducy; zabawy i zgorszenia z tem było dosyć.

„Opisuje nieoceniony Kitowicz, jak to piwo „w ręku niesprawnego służalca, albo też filuta otworzone, z butelki musując gdyby z sikawki po głowach i sukniach jakiego takiego, poruszyło bliskich do ucieczki, a stąd do zamieszania i śmiechu całej izby, z przerwaniem nieraz mowy oratora, mianowicie kiedy filut hajduk, trzymając w jednej ręce szklankę, w drugiej butelkę, jakoby nie mając sposobu zatkania tam z nią uciekał, gdzie było ciaśniej“. „Przekupnie roznosili po sali i po galerji ciasta, cukierki i t. p. Bywało gorzej; zdarzało się, że posłowie przychodzili na posiedzenia po całonocnej hulance, albo też w czasie obrad pili gdzieś w pobliżu

najczęściej na koszt tego, który ich dla swojej sprawy kaptował. O tem to pisze Opaliński:

„Pijany senat,
A dopieroż poselska izba, gdzie na sejmach
Jedna facies karczmy, co i consilii,
Stąd swary, stąd do szabel przy grubych przymówkach
Nie dziw, bo gdy pijani znidą się do rady,
Miasto tejże skutecznej, przyjdzie wnet do zwady.
Stąd się i Litwinowi owo przytrafiło".

„Mniejsza o to, co się przytrafiło owemu Litwinowi, posłowi Komoniace; dość, że w takim nastroju trudno było o rzeczowość i powagę obrad. Ale taka właśnie atmosfera sprzyjała wielmożom, którzy swoją prywatę na sejmach forsowali. O tem znów Opaliński:

„Przyjeżdżają, wołają
Crucifige, bij, zabij, tego franta, co to
Kradnie Rzeczpospolitą. Nazajutrz poproszą
Na bankiet zawołamy wszystkich panów posłów
Abo wżdy co gębatszych. Bankiet szumny. Piją
Za zdrowie podskarbiego...
Upominki się kurzą. Tego koń z siedzeniem,
Owego czarka potrza, tego portugały,
Trzeciego sól, czwartego kilka beczek wina.
Aż tu dobra rachuba, zgadza się percepta
Z expensa".

„Rozmaite były sposoby, którymi magnaci oddziaływali na posłów. Mieli oni zawsze w izbie swoich zauszników i klientów, którzy tylko dzięki możnej protekcji zostali na sejmikach wybrani, pozatem kaptowano zwolenników na piękne słówka, na wielkie hasła, na przyjęcia i pijatyki, a czasem i złotem sypnięto. W każdym razie charakterystyczną jest rzeczą, że nigdy sejmu nie zerwał żaden z senatorów, ani nawet nikt ze znaczniejszej szlachty, ale nieznani, czy też mało znani posłowie, za którymi jednak stały potężne cienie wielkich „familji': Potockich, Czartoryskich i Sapiehów".

„Najniebezpieczniejszym, bo ciemnym i zuchwałym elementem sejmu elekcyjnego była zaściankowa szlachta mazowiecka. Przybywało jej zazwyczaj dużo; niedaleko mieli na miejsce i zazwyczaj pieszo podróż tę odbywali, mając nadzieję, że i grosz jaki się oberwie, a w każdym już razie najeść się i napić na koszt kandydata będzie można.

„Widok to osobliwy: tłumy tych pewnych siebie, o niczem niewiedzących zawadjaków, podochoconych trunkami i roznamiętnionych agitacją, decyduje o losach państwa. Partja katolicka, wyzyskując bigoterję Mazurów, używała ich do forsowania swej kandydatury; oni krzyczeli za katolickim kandydatem, zwalczali innych, nie wiedząc o co chodzi. Na pierwszej elekcji przeforsowali wybór Henryka Walezego: „najwięcej głosami swemi na książę andegaweńskie zagęścili — pisze kronika Bielskiego — acz go i wymówić dobrze nie umieli i zwali gaweńskim księciem, a Ernest u nich inaczej nie był, jedno Rdest". Paprocki zaś jeszcze ostrzej się wyraża: „one idiotae, nie rozumiejąc żadnego pożytku stąd Rzeczypospolitej, tylko z uporu wołali na pana Gawędzkiego i także jako

ochrzcili gawędzkim, gawędę prawego mieli". Zawsze gdzieś jakaś awantura wybuchła, gdzieś się pobito, czasami też i kilka trupów zostało. Poważniejsi senatorowie ze zgrozą patrzyli na bezmyślny tłum; agenci zachwalając swych kandydatów wydawali znaczne sumy na częstowanie wyborców, którzy tak w tem wesołem życiu zasmakowali, iż po obiorze króla do domów się rozjeżdżać nie chcieli".

„Najazd sąsiedzki „zajazdem" najczęściej zwany, był powszechną formą likwidowania poważniejszych zatargów sąsiedzkich. Szlachcic uważał, że Pan Bóg jest za wysoko, a król za daleko, by mogli szybko wymierzyć sprawiedliwość, więc sam ją sobie wymierzał, napadał zbrojnie na dom sąsiedzki, brał sąsiada wraz z rodziną w niewolę i następnie wymuszał na nim przyjęcie warunków zgody. Zajazdy takie, konieczne uzupełnienie niezbyt sprawnie i niezbyt sprawiedliwie funkcjonującego sądownictwa, kończyły się zazwyczaj zgodą, która potem w pijatykę się przeradzała, ale nieraz też do regularnej tu bitwy dochodziło i zwycięzca nietylko triumf odbierał ale i łupy wojenne wywoził. W takich warunkach oddanie się pod protekcję możnego magnata było zarazem asekuracją, gdyż nikt nie śmiał zajeżdżać klienta, znajdującego się pod potężną opieką; za to też magnaci cieszyli się szeroką bezkarnością, gdyż w obronie ich stawały liczne zastępy zwolenników i siły nie było, któraby ten opór zdołała przełamać. Samowola wielmożów, a raczej najczęściej jeszcze samowola bezkarnej kompanji, korzystającej z magnackiej protekcji, nie znała granic. „Tylko to u nas wolno każdemu co chcący czynić, tak we wsi, jako i w miasteczku, kto jeno jest potężniejszym, albo kupę hultajską ma przy sobie. Któryż z tyranów tak siła ludzi pomorduje, jako u nas w wolnej Rzeczypospolitej na każdy rok zamordują? I gdzie się tak często rozboje, najazdy, gwałty białychgłów, zastępowanie po drogach, krzywdy, wydzierstwa, krwie rozlanie, jako u nas w Polsce dzieją?", woła Starowolski".

Widzimy z tego wszystkiego, że próżny byłby trud doszukiwać się w anarchji stosunków w dawnej Polsce, zaczątków bodaj prawnej organizacji, normującej formy współżycia — daremnie szukalibyśmy jakiegoś poczucia konieczności ładu, dyscypliny, wogóle tego wszystkiego, co stanowi wyraz wyższej kultury obyczajowo-moralnej.

Prawo silniejszego panowało powszechnie, a z niem cały splot, nieodłącznych od takiego systemu nadużyć, bezprawi i gwałtów. Alkoholizm sprzyjał takiemu stanowi rzeczy — on się po części zeń wywodził — w dużej mierze go popierał i do karykaturalnych niekiedy wybryków doprowadzał — schlebiał całemu społeczeństwu, hamował dostęp zdrowej myśli, unicestwiał wszelkie reformy, o które nadaremnie wołały jednostki, widzące zgubę, czyhającą w niedalekiej przyszłości. Pamiętajmy, że wszystko, co nam prof. Bystroń, w swej nieocenionej pracy podaje, charakteryzuje Polskę od szczytów do nizin, że życie społeczne, polityczne i towarzyskie rozwijało się pod znakiem alkoholowego upojenia, powodującego obok innych ujemnych cech, które już dobrze znamy, jeszcze owo specjalnie polskie lenistwo, znajdujące doskonałe ujście w gadulstwie, a wyradzające się stopniowo w chroniczną chorobę próżniactwa, w niemożność zdobycia się na wytrwały, a płodny pęd do pracy. Alkoholizm pielęgnował starannie atmosferę niekończących się nigdy chyba rozmów o... n i c z e m, z których do człowieka myślącego i czynnego wyziera straszli-

wa, do ataku wprost rozpaczy, doprowadzająca — nuda i pustka. Oto jeszcze parę cytat z dzieła prof. Bystronia, malujących właśnie ogólnie życie towarzyskie i obyczajowe dawnej Polski.

„życie dawnej Polski było bardzo towarzyskie; odnosi się często wrażenie przy lekturze dawnych pamiętników, przy przeglądaniu starego materjału ilustracyjnego, że całe dawne życie miało ów towarzyski charakter, że wspólnie biesiadowano i pito, radzono i modlono się, wspólnie bawiono się i pracowano. Rzeczpospolita szlachecka wydaje się wielkiem, niekończącem się, gwarnem zebraniem towarzyskiem. Nabożeństwo w kościele jest okazją do spotkania się braci szlachty; większe święto jest zarazem towarzyską uroczystością. Sejmik, zebranie sądu, większa tranzakcja handlowa, daje znów początek zebraniom towarzyskim; charakter ten mają oczywiście wszelkie święta rodzinne, a polowania, czy większe zabawy też bez gości obyć się nie mogą. życie to wytwarza swe formy, kształtuje kodeks obyczajowości towarzyskiej, nakłada obowiązek odpowiedniej ogłady, wiąże ludzi siecią wzajemnych zobowiązań. Nie można się temu dziwić! Szlachta tworzy wielki stan, elitę społeczeństwa, która winna trzymać się razem i dostojnie reprezentować swą wyższość; życie towarzyskie ma właśnie na celu podtrzymać tę łączność szlachty, chociażby majątkowo i kulturalnie bardzo zróżnicowanej, a zarazem stwierdzić, że oto ci fruges consumere nati tworzą wyższe formy współżycia.

„Warunki życiowe skądinąd wpływały na rozwój życia towarzyskiego. Wyobrazić sobie należy dwór szlachecki, jakby wielką rodzinę, w której często współżyło wiele pokoleń, nieliczące dalszych krewnych, rezydentów i rękodajnej, szlacheckiej służby; otóż w tem rojnem zazwyczaj zbiorowisku ludzi, zmuszonych do ciągłego współżycia, musiały się wytwarzać formy towarzyskie, organizujące wzajemne stosunki pomiędzy mieszkańcami i wypełniające czas, który jak to na wsi bywa, wlókł się powoli. W długie wieczory zimowe, w samotności ciszy wiejskiej gromadzono się razem, rozmawiano, bawiono się, pito, pilnując zawsze odpowiednich form, przyczem oczywiście starsi, laudatores temporis acti i zwolennicy dawnych tradycyj pilnowali, aby wszystko działo się zgodnie z obyczajem szlacheckim. Można sobie wyobrazić radość tej gromady, gdy monotonję życia przerywał gość, przynoszący wiadomości ze świata, choćby niedalekiego, nowe opowieści, koncepty, świeży animusz do zabawy. Gość w dom, Bóg w dom! — mawiano, otwierając szeroko wrota i serca dla przybysza". „Jadła było w brud, a pić było zawsze przyjemnie w kompanji'.

„Wystawność, zbytek, marnotrawstwo oto charakterystyczne cechy dawnego życia. Kto tylko mógł, starał się wystąpić w jak najlepszem świetle, chciał wydać się lepszym od innych, chciał demonstrować swą rolę społeczną, swą powagę, swe bogactwo. Gorączka wystawności i wywyższania się ponad innych ogarnęła wszystkie stany, poczynając od włościan, którzy w niedzielę do kościoła starali się wystąpić jak najokazalej, aż do wielmożów, którzy rozwijali nadzwyczajny, bajeczno-orjentalny przepych.

„Było w tem oczywiście dużo lekkomyślności, nie przejmowano się myślą o przyszłości, nie równoważono dochodów i rozchodów, wydawano szybko, jakby z dziecinną radością to, co było w mieszku, względnie również łatwo zaciągano długi, nie troszcząc się o to, że kiedyś przyjdzie je płacić.

„Zastaw się, a postaw się“, radziło przysłowie. Jest coś prymitywnego, bezpośredniego, w tem umiłowaniu zewnętrznego zbytku, koloru, światła, ruchu, w tej teatralizacji życia, w tendencji do tworzenia przewlekłego widowiska, które jest czemś ważniejszem od codziennego, szarego wysiłku. Można też ciekawie obserwować, jak przepych zewnętrznych wystąpień wzmaga się wraz z przesunięciem się środka ciężkości życia społecznego ku Wschodowi; bogate, ale mniej zrównoważone, bardziej impulsywne natury litewskie daleko silniej podlegały urokowi przepychu“.

„Wydawano bez rachunku i pamięci. Piśmiennictwo polskie pełne jest utyskiwań na zbytek, szerzący się epidemicznie wśród coraz szerszych warstw społeczeństwa.

Opaliński w Satyrze „Na polski in genere zbytek“ tak pisał:

„Które wżdy proszę kraje pod okręgiem słońca
Z naszemi porównają w zbytkach rozrzutności?
Nigdy u nas niedosyć, chyba kiedy nazbyt
Nazbyt sług, nazbyt potraw, nazbyt koni i psów,
Nazbyt srebra, nazbyt gąb i brzuchów daremnych
Wszystkiego nazbyt w Polsce; i asystencji,
I zbytków w piciu, w strawie, w stajniach i spiżarniach.
Intraty zasię idą, tylko; nalej, nalej,
Nietylko do potrzeby, abo też ozdoby,
Ale dla marnej straty“.

„Zbytek polski nie był jednak tylko zamiłowaniem do wysokiej stopy życiowej, do wygody, do przyjemności: bardzo wyraźnie występuje tu jeszcze społeczne jego podłoże, mianowicie chęć dorównania wyższym, pragnienie uchodzenia za bogatego, bardziej wspaniałomyślnego, bardziej światowego. Włościanin chętnie wzoruje się na służbie folwarcznej, lub szlachcicu zagonowym; sługa udaje dworzanina, drobny szlachcic czuje się ziemianinem, mieszczanin pragnie uchodzić za szlachcica, zamożny szlachcic przybiera magnacki tryb życia, magnaci nie znają granic pychy i rozrzutności. Słowem wystawność życia ponad stan jest powszechna.

Wacław Potocki w „Moraljach“ pisze:

„Niema tu miejsca w Polszcze przypowieść, gdzieby to
Nie panowie sługom, lecz panom słudzy myto
Płacić mieli, bo wszytka robota ich — ziewać,
Stojąc przed panem; za to karmić i odziewać.
Panu wino kieliszkiem, słudze za drzwi flaszą.
A trzeba ich dla pychy kilkadziesiąt chować,
Gdzieby kilku wygodnie mogło posługować.
Niedarmo o Polakach ludzie ziemie cudzej
Powiadają, że sług swych panowie są słudzy“.

Mimowoli przychodzi mi na myśl złośliwa uwaga, że w dawnej Polsce nie było wprost miejsca dla c z ł o w i e k a, takiego zwykłego, szarego obywatela, czującego swą wartość wewnętrzną i godność osobistą, bez względu na stanowisko, czy bogactwo, a jednocześnie świadomego swych praw i obowiązków względem ojczyzny. Może właśnie dlatego ten szary człowiek, zbudzony ze snu długiego w odrodzonej Polsce, szuka

dopiero swego oblicza, szuka krystalizacji dla swych wartości, które powoli i stopniowo przejawiają się w pracy nad życiem i jego doskonalszemi formami!?

A teraz przejdę już do podania skondensowanego opisu samych form picia towarzyskiego, tak wymownie zestawionych przez prof. Bystronia. Chodzi mi o to, by ludzie, specjalnie interesujący się zagadnieniem alkoholizmu ujrzeli, jak się ono przedstawia z obyczajowego punktu widzenia, w pracy wybitnego naszego uczonego-historyka, a więc mającej najwyższy autorytet wiedzy.

(D. c. n.).

Hanna Nałęcz - Ostrowska Szymańska.

LATO W ZAKOPANEM.

(Z pamiętnika).

8 czerwca.

Umyśliliśmy z Wandą, że zamieszkamy razem u górala, by zaznać większego zbliżenia się „ku naturze". Od połowy czerwca mają przyjechać jej młodsze siostry Fredzia i Tosia, kończące gimnazjum. „Zasięgałyśmy języka" jeszcze przedtem, gdzie możnaby znaleźć odpowiednie locum, a wczoraj wybrałyśmy się na poszukiwanie. Dosyć opornie szło, bo to mieszkanie albo zamałe, albo zadrogie, czy nieładne się wydawało. Nadobitek chwycił nas deszcz, jakby się chmura oberwała — tyle szczęścia, żeśmy umknęły do przydrożnej szopy. Przesiedziałyśmy tam parę godzin i Wandzie było dość; chciała wracać. żałowałam dotychczasowej mitręgi i namówiłam ją na dalszą wędrówkę. Los wynagrodził cierpliwość. Na górce stoi niby willa, w dole szumi rzeka, tworząc urocze zakole, a naprzeciwko najpiękniejsza panorama górska. Maszerujemy więc do gazdy, który akurat wyszedł z domu (drugi poza „willę"). Oprowadza nas. Zgoda. Dwa pokoje na piętrze, werandki są, cena możliwa— z używalnością kuchni w jego mieszkaniu, bo na dole zajęta. „Kupita se panny drzewa, a jak będę gotował, to przy mnie nie bede ta liczył". Za kilka dni mamy się sprowadzić.

W ocenie gospodarza następuje rozbieżność zdań; Wanda mówi, że mądry i jak to on wspaniałomyślnie powiedział: „przy mnie nie bede ta liczył". Mnie się „widzi", że jest nadto „chytry", a wspaniałomyślność wyjaśniam, że napewno się nie zdarzy, byśmy skorzystały przy jego drzewie, a tylko on przy naszym. Umawiamy również niewiastę, która ma nam gotować.

11 czerwca.

Przyjechałyśmy koło 12-ej i zaczęło się od głodówki, bośmy zapomniały kupić czego na obiad. A tu jeszcze gorąco, więc się nigdzie nie chce ruszyć. Korzystając z naszego łaknienia, chciała gaździnka sprzedać za odpowiednio słoną cenę antyczną kurę, aleśmy „nie reflektowały". Owa niewiasta, co nam miała pitrasić, przeniosła się na mieszkanie za rzekę. Będziemy musiały wobec tego same kucharzować. W pobliskim sklepiku o nader mizernej zasobności kupiłam trochę pożywienia. Po

naładowaniu żołądków obejrzałyśmy jeszcze dokładniej nasze gospodarstwo. Nieźle. Krajobraz zachwycający.

Następny dzień rano.

Pierwsza noc na „nowem miejscu“. Rozmawiałyśmy z wieczora co nam „proroczego“ się wyśni. Mimo otwartych drzwi i okien w pokoju duszno od zapachu siana i jakże piekielnie twardo leżeć na niem. Zbija się to na kamień. żadnych poetyckich kawałów na ten temat znać nie chcę. Mickiewiczowi nie wierzę. „Na świeżem wonnem sianie“ śpij bratku sam. I co jeszcze gorsze (mówią: jedna bieda nie bieda) — pchły. Zamiast przeżywania „snów cudnych“, mija nam ten czas na odgniataniu boków i płoszeniu „żyjątek“. Zato już o szarym świcie idę na werandę. Przychodzi również towarzyszka mej doli. Oglądamy niebylejaką chwilę — powitanie gór ze słońcem.

W ciągu dnia porządkowanie, trochę drzemki na leżakach, a później wio, do miasta po zakupy. Przedewszystkiem coś na wytępienie insektów. Zalecają nam w składzie aptecznym „Katol“. Po powrocie „katolujemy“ mieszkanie „ze szczególnem uwzględnieniem“ łóżek i zamykamy szczelnie pokój. Otwieramy dopiero wieczorem.

13 czerwca.

Mimo „specyficznego zapachu“ noc minęła nieźle, a wedle onej twardości przynajmniej nie mają wobec nas zastosowania słowa z „hymnu sokołów“, „z wygodnej pościeli...“ bo z niewygodnej i bardzo rade się dźwigamy. Zresztą przyzwyczaimy się chyba zczasem.

Sprowadziłyśmy drzewo. Ten, co przyniósł, porąbał i złożył w „sópce“.

15 czerwca.

Gazda nasz ma koło 60-ki, ale jeszcze chłop krzepki, to widać, że niejednegoby odwinął. Powiada, że kiedyś tańczył, trzymając dwu swoich kolegów na rękach. Mówił dzisiaj, że w obecnych czasach wśród młodych istnieje wielkie spoufalenie, które prowadzi ku demoralizacji. Kiedyk hodzieł do swojej Brońci, tom bez trzy roki nie wiedział, jak się ona nazywo. Tylko dziéńdobry — dziéńdobry, abo dobrywiecór. „Jak sie panienka miewo“ — porozmawioł przy wszystkich i poszedł. Nawet zem jej ręki nie położył na kolanie. A teroz to juz przed ślubem wszystko beło, a nieroz we troje ido“. Prawdę mówi: Wypadki owe stają się powszechnym zwyczajem. Co mię po „rasistowsku“ martwi, że się niektóre góralki puszczają z przyjezdnymi. Chowa się później taki owoc nizin podawany za produkt wysokogórski. Przydałby się wedle tego jaki Hitler podhalański.

17 czerwca.

Dziś mają przyjechać „skowronki“ — Wandy siostrzyce. Od rana medytuję, czy jej nie sprawią zawodu. Wyszła po nie na stację. Bardzo jest ładnie i ciepło. Leżakuję od rana.

Przyjechały. Ogromnie są poważne i wszystko biorą na serjo. Wanda przy nich wygląda na młodszą siostrę ze względu na swój humor. Obrażają się, że ona „kpi z nich“ przy mnie. „Ale skądże“. „To

przecież niemożliwe“ powtarzają często. Podśpiewują rozmaite tanga i przeboje. Mówią do mnie: „Panią chyba dziwi, że śpiewamy takie głupie kawałki, ale się te słowa i melodje słyszy na każdem miejscu. I mimo chęci człowiek sam zaczyna je nucić“. Po rozpakowaniu rzeczy lament, że zapomniały kokardy. Akurat bardzo im tu będą potrzebne. Zabierają się pisać po nie do „mamusi“. My z Wandą porozumiewawczo spoglądamy na siebie wśród tych biadań. Miłe są z tem wszystkiem i zdaje się dobrze nam będzie razem.

18 czerwca.

Byłyśmy na Harendzie „pokłonić się Kasprowiczowi“. Po obejrzeniu, siadłyśmy na ławeczce poniżej mauzoleum, przypominając, która co wiedziała z jego wierszy. Połaziłyśmy jeszcze nad rzeką i spowrotem.

19 czerwca.

Wynalazłyśmy sklep, w którym będziemy kupować potrzebne wiktuały. Są inne bliżej, ale ten jest najbardziej zasobny, właściciele sympatyczni, a pomocnik o wyszukanej galanterji. Po zakupy chodzimy zwykle wieczorem całą gromadą, jeżeli mamy przynieść większą ilość. Wyznaczyłyśmy również kolejkę w sprawowaniu obowiązków gospodarskich. Każda dyżuruje po jednym dniu. Miałam iść na pierwszy ogień. Od rana ogarnęło mię poczucie bezradności. Śniadanie pierwsze i drugie głupstwo, ale obiad! Całe szczęście żeśmy się wybrały na kilkugodzinną wycieczkę na Gubałówkę. Jakże było ładnie! Łańcuch górski w całej okazałości ukazał się naszym oczom. Dzień był pogodny, prawie bezwietrzny. „Skowronki“ pierwszy raz były w Zakopanem. Milczały, ale można było poznać z oczu, że się nie mogą napatrzeć i chciały jaknajdłużej tam pozostać. Owo piękno złączyło się z moim pożytkiem, gdyż po powrocie, który nastąpił dość późno, wzięłyśmy się wszystkie do przygotowania strawy, by rychlej mogła nastąpić „konsumcja“.

„Aromat“ siana powoli wietrzeje, twardość jednak nie ustępuje. „Zachodzi konieczność przystosowania się do istniejących warunków“. Trzeba również od czasu do czasu „katolować“, bo przynosimy trochę „czarnego luda“ z kuchni.

24 czerwca.

Wczoraj ze względu na imieniny Wandy dzień był „poniekąd“ uroczysty. Rano przystępowałyśmy do łóżka wręczając jej „wiązanki“ z kwiatów zerwanych poprzedniego dnia skrycie nad rzeczką. Wręczaniu towarzyszyły „przemówienia okolicznościowe“. Projektowałyśmy wycieczkę, ale cały dzień był niewyraźny, a wieczorem powstała straszna burza. Niebo paliło się od błyskawic. Grzmoty potężniały, odbijając się echem w górach. A lało! Miałam złudzenie, jakby waliła rzeka i opływała nas ze wszystkich stron. Dziwiłam się nawet, że nas nie zalewa. Coprawda Wandzie zaczęło kapać na głowę i musiała przesuwać łóżko w bezpieczniejsze miejsce.

Dziś mówi Wanda: — Zauważyłam, że się teraz więcej modlę, a szczególniej w czasie burzy to bardzo. — Ze strachu? — pytam. — To niewiele warte. — Nie — powiada — tylko, że w takiej chwili wzmaga się moja ufność wobec Boga.

„Porządek dzienny“ odbywa się coraz składniej. Widzę, że we wszystkiem przodują „siostrzyczki“. Co za idealny porządek u nich w pokoju! W sprawach kulinarnych zdradzają również niebylejakie zdolności. Zginęłam.

Dziś pod wieczór przyjechał zapowiadany od kilku dni przez gospodynię „Heniuś“ z matką. Młodzieniec chodzi podobno na agronomję. Zobaczyłam go pierwsza i powiedziałam dziewczątkom, że jest czarujący i prezentuje się jak Antinous. Tosia (najmłodsza) wyruszyła z dzbankiem po wodę („Może go spotkam“), Fredzia czekała na nią przy schodach. Spotkała. Opinja wypadła druzgocąco: „Taka ofiara“. Tłumaczę im, że mężczyzna podobny do człowieka zasługuje na miano urodziwego. Wanda popiera moje zdanie. Oponują gwałtownie. Gdy zaczynamy wygłaszać coraz większe absurdy, domyślają się, że to „nabieranie“. — Eh, wy tak zawsze.

21 czerwca.

20-go było święto: Boże Ciało. Procesja po mieście. Napatrzyłyśmy się ludzi. Ogromnie mi się podobają górale w swoich strojach. Są tacy, którzy je zarzucają, ale większość nosi. Miałyśmy co oglądać. Co za kolory! Skąd ci ludzie mają tak bardzo rozwinięte poczucie artystyczne? Strój jest z człowiekiem zharmonizowany, jakby zrośnięty. Może poprostu kieruje nimi instynkt konieczności dostosowania się do otoczenia. A jak chodzą! Chyba kozice po skałach taksamo lekko się poruszają, ale nikt z „ludzi dólskich“ nie potrafi. Ale mi się nie podoba, że wielu z nich, szczególniej, gdy są poza miastem, rozmawia jakby z „holi na holę“. Wrzeszczą przy każdej okazji. „Okazją“ najczęściej jest popijawa. Niby tu mamy zacisze, a kilka razy budziły nas w nocy krzyki. Okazuje się, że w następnej chałupie, przez drogę, mieszka objekt, który zamąca spokój naszych marzeń sennych. Wrzeszczał kiedyś z godzinę pod naszym domem „Oj wirsycku, wirsycku“, ażeśmy klęły, by się „skróś ziemi“ podział ze swoim „wirsyckiem“.

Nasz gazda popija „na cicho“. Zwykle sobie potem „lignie“ na mokrej trawie i chrypie przez kilka dni. Powtarza najczęściej „Człowiek żyjący jezd potrzebujący“ i w rozmowach z nami „E, co tam, kobieta ma włosy długie a rozum krótki“. — „A mężczyzna ma włosy krótkie to i rozumu wcale nie widać“ — uzupełniłam któregoś dnia. — „Wyście panny są ucone, ale nie myślcie, żeście na głupiego trefiły, nie“. — „Zaśby tam kto myślał“ — oponujemy.

28 czerwca.

„Na wysokościach zastawion mój stół. Gdzież chwała gwiezdna
Bliższa — gdzie zieją otchłanniejsze bezdna?
Królestwo moje — niczem świata pół!
A miody moje — któż ich słodycz czuł?...“

(Fr. Nietzche).

Byliśmy w dniach poprzednich w dolinie Białego, Strążyskiej, na Hali Gąsienicowej i dalej. Nałykałyśmy się ostrego, górskiego powietrza. Próbowałyśmy wody z potoczków — jak lód. Bardzo nam się podobało, jak „owiecki po holak chodzom i zbyrcom“ dzwoneczkami. Piłyś-

my żętycę u juhasów. Niezapomniane chwile. Jakże się napatrzeć urody świata, aby móc stąd odejść, nie doznając bólu odrywania. Z nieobjętej wzrokiem przestrzeni, chłoną płuca zimny wiatr w szerokim, swobodnym oddechu. Serce uczy się dumy wyniosłej i milczącej od skał, co pogodnym niebiosom i burzy szalejącej piorunami, ukazują twarde, kamienne oblicze...

Dziś zostałyśmy w domu. Trzeba i to brać pod uwagę, że najmłodsze muszą cośniecoś podreperować się na tuszy, bo zbyt są „powiewne". Rano poszłam do miasta zakupić węgiel i jadło. Węgiel ze składu wiózł chłopak na taczce. Dopóki była gładka droga, to nic, ale jak skręcił na wyboje, przez które trzeba było dostać się do „naszej willi", zaczął sapać i co chwila się zatrzymywał. Pomagałam mu, to pchając, to ciągnąc. Zoddali zobaczyły tę udrękę moje towarzyszki i wyszły na pomoc. Jakoś wspólnemi siłami wyciągnęłyśmy na górę, wózek wtaczał się już tryumfalnie na podwórze, gdy zobaczył nas przez okno „Heniuś" i wybiegł ofiarując swe usługi. Certowałyśmy się „wedle zwyczaju", ale nie zanadto, bo chłopak zmęczył się strasznie, gazdy nie było, a worki ciężkie. Pozanosił więc i zsypał węgiel. Chłopcu dałam chleba z masłem, a Tosia poprosiła uprzejmie „pana Henryka", by poszedł do nas umyć ręce. Miał do siebie bliżej, ale gdzieżby przegapił tak dobrą okazję do zapoznania się. Prezentacja ogólna i rozmowa, a Wanda szeptem „pikuje", żebym i jemu dała chleba z masłem. „Cóż to zadarmo nosił węgiel?" (Przypominam sobie, jak pewnego zimowego wieczoru szłyśmy z siostrą do kościoła. Przy wystawie cukierniczej stoi mały chłopczyk i ogląda uważnie przez szybę „słodkości'. Mówię do niej: — Wstąpmy, to kupimy dziecku ciastek". Po uskutecznieniu zakupu i obdarowaniu idziemy dalej. Przed wystawą galanterji męskiej stoi młody pan. — Może temu kupimy krawat? — odzywa się z gotowością siostrzyczka).

Słyszymy głos „Heniusiu, Heniusiu" — to stroskana macierz woła swoją jedyną pociechę. Głos ten odzywa się ciągle pośród dnia, gdy „Heniuś" z którą na podwórzu zacznie rozmawiać. Biedna matka, aż cztery donny. „Siła złego na jednego".

2 lipca.

Dziś Fredzia mówi przy śniadaniu:—Zdaje mi się, że babcia (tak nazywamy gaździnę), dolewa wody do mleka. — Przedtem zdawało się nam również, że „krzci" mleko. Dziś wyraźnie czujemy wodę. „Przesoliła" babcia, a właściwie „przewodziła". Idziemy do kuchni i tłumaczymy gaździnie, że wodę możemy brać prosto ze studni. Przysięga, okazując gotowość zapadnięcia się pod ziemię, natychmiastowego skonania w najsroższych boleściach, że podlegamy złudzeniu. — A no, w takim razie weźmiemy mleko do analizy. — Nalewamy ostentacyjnie do buteleczki (zostawiamy ją u siebie w pokoju) i wędruję z Tosią do miasta po sprawunki. Gdy wracamy, babcia czeka nas przy drodze i wyjaśnia, że mleko rzeczywiście niedobre, bo jej córka (która idzie do pracy przed udojem), dolała do niego wody. Przyjmujemy „z wysokiem pobłażaniem" niezdarne tłumaczenie, prosząc, by więcej razy „córka" nam tego nie robiła.

8 lipca.

Jakoś nam ten miesiąc niezbyt dopisuje. Najczęściej chlapawica od rana do wieczora, albo halniaki — deszczowe preludja. Chodzimy

najdalej ku Harendzie, nad rzekę i pobliskie wzgórze, jeśli da się uszczknąć niejakiej pogody. Bierzemy się do letkury „Na Skalnem Podhalu" Tetmajera, „Tatry i Zakopane" — Hoesicka, Witkiewicza, Ostrowickiej i t. d. Nie wszystko jeszcze przeczytane. Trzeba się będzie któregoś dnia wybrać do „Muzeum Tatrzańskiego" i obejrzeć kościół i cmentarz przy Kościeliskiej.

11 lipca.

Byłyśmy dziś w muzeum. Zeszło czasu od południa do wieczora, ale żeby wszystko dokładnie obejrzeć, należałoby pochodzić kilka tygodni. Mapa plastyczna Tatr (nazwy szczytów, przełęcze, szlaki górskie), zajęła dużo czasu. Giewont jakże imponujący, gdy patrzymy nań od strony Zakopanego, nader skromnie prezentuje na owej mapie swoją wysokość jak i rozmiary. Nie osłabia to jednak mego sentymentu do „Śpiącego Rycerza". Ptactwo i bogaty zwierzostan. Stroje zbójnickie i dawna sztuka góralska. Oryginalne pojmowanie religji (Matka Boska zbójnicka). Trzy ugrupowania Najświętszej Rodziny, które nas szczególniej ubawiły: Jedno: Matka Boska w butach, Pan Jezus i św. Józef boso; drugie: obuty tylko św. Józef; trzecie: Pan Jezus. Tak żył oszczędnie „dziedzic" całego świata. Niezbyt musiał imponować taki „bideusz", który choć mógł się obronić, pozwolił „ziandarom", by go na śmierć zawlekli. Pokora dla tych ludzi, przyzwyczajonych do szerokiego oddechu, bujnego życia wśród potężnej, dzikiej i hardej natury, jest niepojętą. Toteż miał z nimi kłopot niebylejaki pierwszy proboszcz zakopiański ks. Stolarczyk, póki ich jako tako nie „przełamał". Zaimponował im zresztą nie „serafickiemi cnotami", lecz ogromną postawą i siłą, która nawet ich wprowadzała w zdumienie.

15 lipca.

Dzień klęski. A ranek nic złego nie zapowiadał. Nawet pogoda niezgorsza. Dziś mój dyżur i chciałam zaimponować im swoją znajomością tajników sztuki kulinarnej. Postanowiłam zrobić kotlety (siekane), że „palce lizać"- Wzięłam się do roboty wcześniej, żeby wszystko zrobić dokładnie i z rozmysłem. Przypraw i dodatków, które miały „niebywale podnieść smak" mięsiwa, dodałam, nie żałując niczego. Dziwnie mi tylko przy smażeniu rosły na patelni, przypisywałam to jednak optymistycznie ich doskonałości. Zupa jako tako poszła. Przy drugiem, po sprobowaniu mięsa, „siostrzyczki" biorą się do jarzyny, a Wanda ze zwykłą szczerością powiada: „Coś ty z kotletami zrobiła, że mają taki dziwny smak?" Ten „dziwny smak" i mnie zastanawia i nie mogę zrozumieć, dla czego tak jest, gdy w nich tyle dobrych rzeczy. Tosia, widząc moje zmartwienie, tłumaczy, że teraz po zupie nie jesteśmy bardzo głodne, ale do wieczora zamknąć szafkę (śpiżarnia), by się żadna do chleba nawet nie dorwała i dać na wieczór kotlety, „to zjedzą". Ta drakońska rada, wypowiedziana z energją, dobija mię ostatecznie. (Jakiegoż głodu potrzeba dla skonsumowania „apetycznej siekaninki") i wybucham śmiechem. Wesołość podzieliła reszta „biesiadniczek". Wieczorem pomogły mi Wanda i Tosia przyrządzić jeszcze raz nieudaną potrawę i tak mi się ów żałosny dzień zakończył. Trawestując powiedzenie Mickiewicza, mogę rzec „Trudniej dobrze zgotować, niż przeczytać księgę".

21 lipca.

Byłyśmy w kościele „na Górce“ (Jezuitów). Wracając stamtąd, wstąpiłyśmy do kościołka, który ks. Stolarczyk (dokładając wiele pracy własnych rąk), postawił. Obok kapliczka, w której początkowo odprawiał mszę. Stamtąd przeszłyśmy na cmentarz. Odczytujemy na pomnikach nazwiska Chałubińskiego, Stolarczyka, Sabały, Witkiewicza, Orkana, Stryjeńskiego i in. Chodząc z jednego miejsca na drugie, przesuwam w myślach różaniec zdarzeń związanych z życiem i działalnością każdego z nich. Włóczenie się po najdzikszych zakątkach Tatr, tańce górali przy watrze, sabałowe opowieści i granie. Zwracamy uwagę na pomnik obrońców, poległych za Ojczyznę. Idziemy.

Po drodze wstępujemy na cmentarz przy Nowotarskiej. Śliczne miejsce u podnóża Gubałówki, okrytej w tem miejscu sosną. Wyżej — niebo. Odczytujemy nazwiska na pomnikach, wiek. Ludzie umierający na starość, przeważnie tutejsi, ale chyba większość młodych, przyjeżdżających tu na leczenie, jakże często zapóźno. Myślę ciągle o Libercie wcześnie zgasłym poecie-gruźliku i szepczę jego wiersz:

„Poprzez wonność jodłową
Pójdzie każde w swą stronę:
Ciało w ziemię lipcową,
Dusza w góry zielone — — —“

27 lipca.

Aura beznadziejna. Od kilku dni zajmujemy się tylko spaniem i jedzeniem. W przerwach się czyta. Dobrze, że choć nam tego nie brakuje. W początkach sierpnia ma być „Święto Gór“ trwające przez dwa tygodnie. Ma to być coś arcy-wspaniałego. Jeżeli deszczyk potrwa dłużej, „będzie z tego trąbka“.

4 sierpnia.

Wczoraj lał deszcz, ale dziś od rana ładnie. Pierwszy dzień „Święta Gór‘. Miasto ślicznie udekorowane. Miał iść pochód górali z różnych miejscowości. Starałyśmy się, by wszystko dokładnie zobaczyć, a gdy pochód nas minął, przechodziłyśmy jaką przecznicę i miałyśmy to samo. Jechali na koniach „pytace“ (coś w rodzaju naszych swatów), później waliła orkiestra, grupy górali, góralek i strzelcy podhalańscy. Ładnie to się prezentowało. Narodu przyjechała masa. Co godzina przyjeżdżają pociągi. Są tak przeładowane, że brzuchami włóczą po szynach, a poza jedną, jak zwykle, lokomotywą zprzodu, jeszcze druga styłu popycha. Z Zakopanego robi się gnieciarnia.

Wieczorem kolorowe reflektory oświetlają miasto. W górach palą ogniska. Stąd wyglądają one na małe światełka.

5 sierpnia.

Gazda chodzi na stację i ściąga przyjezdnych do siebie. Śpi na strychu, a mieszkanie oddał do „użytku publicznego“, stodołę również. Jednakże namiętność obdzierania, cechująca tego człowieka, widocznie zraża gości, bo rychło przechodzą do innych domów. Jakiś naiwny jegomość zapłacił zgóry za 10 dni i mieszka w pokoju na dole.

Prowadzimy nader ruchliwy tryb życia do miasta i z miasta rano

i wieczorem. Przypatrujemy się tańcom „gawiedzi“, której przygrywa orkiestra strzelców podhalańskich, tańcom górali i gawędom przy ognisku. To ma szczególniejszy urok. Chodzimy również na odczyty profesorów, oświetlających w sposób naukowy pochodzenie, znaczenie i t. d. gór. „Halkę“ wystawiono na stadjonie sportowym. Udział w przedstawieniu brali autentyczni górale. Ludzie tabunami chodzą po mieście i górach.

6 sierpnia.

Gospodarze prawie nic kurom jeść nie dają, licząc na nasze dobre serca, czy też niecierpliwość, bo zgłodniałe ptactwo poprostu się na nas rzuca. Dziś Fredzia mówi im: — Sprzedajcie ze dwa kurczaki na niedzielę. — E, jesce małe, cóz mi za nich docie? — odpowiada gazda.— To wy chcecie, żebyśmy je wam karmiły dłużej, a potem weźmiecie zato od nas więcej pieniędzy, prawda? Bardzoście mądrzy, to wam trzeba przyznać. — Śmiałyśmy się później z Tosi, bo ona przedtem wyraziła przypuszczenie, iż ze względu na „wyż wspomniane“ dożywianie, gazda parę kurcząteк ofiaruje zadarmo.

7 sierpnia.

Dziś o wczesnym świcie zbudziła nas głośna rozmowa naszych gospodarzy. Wychodzę i pytam, co się stało? Odpowiadają mi, iż jegomościa zdołu w nocy złodzieje okradli. Ubieramy się szybko i schodzimy nadół. Pod oknem porozrzucane drobiazgi, papiery, które widocznie zgubili w pośpiechu. Długa tyka leży na ziemi. Wanda spogląda wgórę i domyśla się, iż pokusę stanowił jej jasny płaszcz, rzucony na poręcz werandy. „Jegomość“ wziął resztę rzeczy, poszedł na policję zameldować o wypadku i już nie wrócił. Gazda nie mógł przeboleć, iż zapomniał ściągnąć od tamtego pieniądze za 2 litry mleka.

10 sierpnia.

Żyjemy jeszcze pod wrażeniem tego wypadku. Nie zamykamy okien, ale sny mamy niespokojne. Chciałabym (marzę) wdrapującego się na pięterko złodzieja zwalić nadół i by się okazało, że jest nim nasz gazda.

11 sierpnia.

Zakończenie „Święta Gór“. Polowa msza w Jaszczurówce o 8-ej rano, a później defilada górali przed Prezydentem Rzeczypospolitej. Deszcz siąpi od wczorajszego wieczora. Wyruszamy z domu po 10-ej. Auta obryzgują nas błotem. Pytamy się po drodze „fiakrów“, ile chcą za kurs do Jaszczurówki; im bliżej, tem drożej. Dowiadujemy się później, że można dojechać tylko do pomnika Chałubińskiego. Idziemy. Przy Chałubińskim bardzo dużo ludzi. Stajemy na poręczy ławki, by cokolwiek zobaczyć. „Upusty niebios“ pozostają nadal otwarte. Dowlokłyśmy się po 12-ej i mówią nam, że „uroczyste złożenie wieńca przed pomnikiem“ zostało już dokonane, defilada ludzi i owiec również. Ma jechać Prezydent ze świtą i może co jeszcze ciekawego zobaczymy. Mokniemy długo i cierpliwie. Czynimy uwagi o tem i owem. Chyba więcej jak po dwu godzinach czekania, widzimy przejeżdżających szybko kilka aut. Nawet nie wiemy, kto w którym. I wszystko. Przypatrujemy się nawzajem swym osobom z politowaniem i człapiemy spowrotem. Z tej

eskapady nie złapałyśmy nawet kataru. Pan Bóg widocznie ma w szczególnej opiece osoby lekkiego umysłu...

16 sierpnia.

Po „Święcie Gór“ zaczęło się świętowanie górali. Już z Jaszczurówki wracali z butelkami w rękach. Popijali mężczyźni i kobiety. Po całych dniach i nocach krzyki i śpiewy prawie cały tydzień. Teraz widocznie pozbyli się nabytej od gości mamony i zaczyna wszystko ucichać. Jednakże bieda nie zawsze jest szkodliwa. Gdyby im stale wystarczało pieniędzy na wódkę — toby się wytłukli, jak również, z opilstwa przechodząc ku wieczności, wyginęliby rychlej. W obecnych warunkach ten proces rozciąga się na dłuższy przeciąg czasu.

17 sierpnia.

Byłyśmy na hali „pod upłazkiem“. Nie wiem, czy ta nazwa jest również zamieszczona w oficjalnej geografji. Zaprowadził nas chłopak od sąsiadów — juhas. Oglądałyśmy szałasy, asystowałyśmy również przy dojeniu owiec. Widziałam jak się robi „oscypki“ czyli owcze serki.

21 sierpnia.

Morskie Oko i Czarny Staw — „objekty“ zwiedzania ubiegłych dni. Zdaje mi się, że ze wszystkiego, co jest w naturze, najbardziej kocham góry i wodę. Góry, tak „moje“, jak dusza własna i woda. Nie tylko na morzu pośród kołysania fal czuję ptasią szczęśliwość unoszenia się w przestrzeni i podziw, gdy bałwany w czasie nawałnicy szarpią się przy brzegu — cieszy mię każde jezioro, rzeka, nawet strumyk niewielki, zajęty własnem życiem. Lekkie to, wdzięczne, a po swojemu uparte i przekorne. żywioł zmienny, niepewny, a jakże bliski i czarujący — od majestatu i grozy morza do kropel rosy wybielającej trawy o świcie. Tutaj miałam góry i wodę. Ojczyzna szczęścia.

23 sierpnia.

Konwersacja z gazdą jest właściwie użerką. Darłby skórę i solił. Ułożyłyśmy „plan strategiczny“ i gdy zaczyna krzyczeć(mówi stale podniesionym głosem), to mu w międzyczasie, gdy się zatrzyma dla nabrania oddechu, odpowiadamy skolei. Najpierw Tosia, później Fredzia, Wanda i ja zwykle kończę, kiedy już „drapieżnik“ całkiem schrypnie. Jak one pojadą będę musiała stąd wiać, bo sama zginę.

25 sierpnia.

Przeniosłyśmy się do sąsiadów. Towarzyszki moje chciały trochę obejrzeć nowe miejsce i ludzi, by nie wynieść gorszego wspomnienia o gazdach, niż na to zasługują. Widać, że ci są milsi; mleko również lepsze (a może tylko woda bardziej miękka w ich studni?).

26 sierpnia.

Dziś rano odjechała Wanda z siostrami. Trudno się było pożegnać i nadrabiało humorem — niestety napróżno. Po ich wyjeździe przyszedł jeden z „młodzieńców“, którzy bywali czasem u nas. Przypomniałam sobie, że nie pisałam o nich. Niechże nie giną „w mroku zapomnienia“.

1. Wiele myśli, zastanawia się nad „porządkiem istniejącym na świecie“ i uważa, że godzimy się na wiele absurdów w tem życiu. Jest bardzo grzeczny — uprzejmością, która wypływa z dobrego serca. Niedowiarek. Opowiadał, że mu przed kilku laty sprzedał ksiądz krowę znacznie drożej, mówiąc, że mu tyle za nią dawali. Okazało się nieprawdą. To go szczególniej boli — jakże, kapłan! (Mówimy do niego: „to pan przez krowę stracił wiarę w Boga?—fatalne“). Posiada cechę niezmiernie rzadką między ludźmi — nie chodzi mu o to, by narzucić komuś swoje zapatrywanie, lecz by się dowiedzieć, jak jest w rzeczywistości. Tacy ludzie wcześniej czy później dochodzą do Prawdy.

2. Benjaminek w rodzinie. Jak był mały, chodził z psem i gdy się czasem przewrócił na chodniku, pies go podnosił, stawiał na nogi i łapą ubranie poprawiał. Pozostało w nim zaufanie do całego świata. Uczy się dopiero poznawać, że „nie wszystko jest sprawiedliwe“. Wobec „Ojczyzny“ jest bez zastrzeżeń — wojna — przecież się trzeba bronić, a kara śmierci jest konieczną. Niema w tem szczypty złego serca. — A czy pan się zastanowił, co przeżywa człowiek skazany na śmierć i podpisałby wyrok? — Ależ nie, to co innego — ale gdy są winni? — Najczęściej najwinniejsi nie ponoszą żadnej kary.

3. Ten właśnie przyszedł użalić się na pechowy dzień. Wczoraj zamówił w kwiaciarni piękny bukiet, aby dziś wręczyć odjeżdżającym (Wandzie z siostrami). Wyraźnie mówił „tej babie“, żeby raniutko był gotowy. Przychodzi, a ta „cholera pierońska“ przy nim dopiero zaczyna układać wiązankę. Wymyślał jej co wlazło w czasie układania („ona, wie pani, nawet się nie obraziła“ — dziwi go). Schwycił później dorożkę, którą koń ciągnął, że rychlejby na piechotkę zaszedł na stację. „Patrzyłem cały czas na zegarek i wbiegłem na peron na minutę przed odejściem pociągu. Niestety, gdym śpieszył, by rzucić kwiaty choć do odjeżdżającego pociągu — było 4 minuty po odejściu. Zegarek spóźniał się o 5 minut. Strasznie się ze mnie wszyscy śmieli na stacji, gdym wracał z kwiatami. Patrzę się na miłą, szczerą twarz, obecnie zmartwioną i rozbawioną jednocześnie. Śmieję się również.

28 sierpnia.

Opowiadali mi tutejsi, że gazda, u którego mieszkałyśmy, jest „wogóle“ natury awanturniczej i nawet kiedy miał ze swoją przed ślubem dziecko, to posprzeczał się z księdzem przy chrzcie, narobił „piekła“ i musiał za to siedzieć w więzieniu. Dopytuję się z kim miał dziecko. „No z tą swoją Broncią, teraźniejszą żoną“. Przypominam sobie odrazu, jak to on do Brońci „hodzieł“ i jej nawet „ręki na kolanie nie położył“. O, cnoto! Zrozumiałam teraz, jaka panuje różnica między dawną moralnością a dzisiejszą. że się dawnych (swoich) grzechów nie pamięta, a teraźniejsze (cudze) widzi.

— Przekonałam się nieraz, że nauka przychodzi zwykle późno i na nic się człowiekowi nie przydaje. Czytam w „Kurjerze“ „Jak oczyścić budę psa od pcheł“. Proszę bardzo. Można to przecież również zastosować do pokoju. Czytam uważniej. „Należy psa wyszorować wodą z szarem mydłem, szczególniej w okolicy grzbietu, ponieważ tam najuporczywiej pchły się trzymają‘. To można pominąć, chociaż kąpiel nigdy nie zawadzi. „Budę psa wymyć temże mydłem z wodą, wyrzucając

uprzednio ściółkę. Do wyszorowanej budy włożyć jako podściółkę dla psa, worek napchany paprocią. Pchły nie znoszą zapachu paproci i od niego giną". A tyle paproci po lasach. Nie mogłyśmy tego sobie nazbierać na „podściółkę"? Gdybyż się wtedy wiedziało. Niestety, o bardziej ważkich sprawach dowiadujemy się najczęściej zapóźno.

5 września.

Najmłodszy stąd chłopiec chodzi do szkoły powszechnej. Pytam, jak się uczą, sprawują. Mówi, że dużo dzieci kradnie. No, jeżeli dzieci... Któregoś dnia, jak przyniósł mleko, zniknął ze stołu ołówek. Rozmawiając z nim, powiedziałam mimochodem, że mi się gdzieś zarzucił. Opowiadałam również o Szwajcarji i niektórych miejscowościach Polski, gdzie niema nawet zasuwek u drzwi i nikomu nic nie zginie. Dziś, manewrując niby koło półki, wyciąga ołówek z kieszeni i podaje mi, mówiąc, że się znalazł. Popatrzyłam czy przy tem „uczciwym odruchu" sumienia nie zwędził scyzoryka, ale nie. Rosnę w pychę, iż jako wybitnie etyczna jednostka tak szybko w uszlachetniający sposób działam na otoczenie. Matce jego zwróciłam uwagę, by kupiła ubranie, któreby miał tylko do szkoły, a nie w jednem pętał się po kątach i w brudnem szedł do nauki. Przyniosła materjał granatowy. Wielce mię, wobec tych rezultatów, boli strata, jaką poniósł świat pedagogiczny, pozbywając się w sposób radykalny i bezapelacyjny tak cennej osobistości ze swych szeregów. Nie wiedzieli, co czynią... Od „skowronków" dostałam kartkę.

12 września.

Byłam na Giewoncie. Powiadają, że tak łatwo jest nań wchodzić, że nawet góralska krowa na to się zdobyć potrafi. Tak łatwo nie jest, ale również nie trudno. Tak zresztą mogą się wyrażać urodzeni taternicy. Niestety jeszcze mi daleko do osiągnięcia owej doskonałości. Wielu zresztą traktuje wycieczki, jak zdobywanie płotków, czy wyścigi. Mnie na tem nie zależy.

15 września.

Po dniach upalnych — śnieg w górach. Widocznie dużo go spadło, bo nawet wyrwy i ostre zbocza pozakrywane. Na dolinie zimny deszcz. Mglisto i całkiem brzydko. Nie wychodzę z mieszkania, oddając się całkowicie lekturze i wzniosłym medytacjom.

19 września.

Znowu jest ładnie i błoto zupełnie wyschło. Bardzo ciepło. Opaliłam się, leżakując w cieniu. Na polach zbierają owies. Lubię patrzeć na góry zupełnie białe od śniegu, kiedy tu wieje łagodny, ciepły wiatr.

23 września.

Z hal wracają juhasi, prowadząc bydło i owce. Ruch we wszystkich zagrodach, gwar ludzkich głosów, beczenie owiec, pobrzękiwanie dzwonkami. Drogą, wiodącą nad parowem, baca pędzi dużą gromadę owiec. Przed nim biegnie pies, owczarek, którego baca trzyma na długim, rzemiennym pasku. Właściwie trzyma i prowadzi pies, bo jego wła-

ściciel mocno chwieje się na nogach i gdyby nie zwierzę, upadłby już nieraz. Śpiewa głośno, powtarzając ciągle jedną i tą samą zwrotkę. Głos odbija w parowie i lesie dziką, obłąkaną melodję. Patrząc na to, zachwiało się we mnie przekonanie o wyższości człowieka nad zwierzęciem. Pies szedł, przystawał i miał w oczach zamyślenie poważne, dalekie, a za nim wlókł się, pętał ogłupiały, nieprzytomny człowiek...

27 września.

Zwożą owies do stodół, zbierają siano.

Góry już się zdecydowały, bielejąc od śniegu. Na dolinach oczekiwanie.

Jesień.

Helena Gogulska.

PRZEZ PRYZMAT SĄDU.

W miesiącu wrześniu i październiku 1934 r., na terenie powiatu Grójeckiego dokonano pięciu napadów rabunkowych. Pierwszy z nich miał miejsce 15 września o godzinie trzynastej. Obrabowani zostali małżonkowie Kowalscy, którzy wracali furmanką z jarmarku. Poszkodowani zeznali, że z lasku, około którego przechodzi szosa, wybiegło dwóch młodych ludzi, którzy, grożąc rewolwerami, zmusili ich do oddania pieniędzy. Po dokonaniu rabunku napastnicy ukryli się w lesie. Obława, dokonana przez policję, nie dała rezultatu. Następnych napadów dokonano w nocy, w tem samem miejscu i w ten sam sposób. Bandytów było już kilku. Dwudziestego września doszło do wymiany strzałów między napastnikami, a patrolem policyjnym, ale i tym razem nie zatrzymano nikogo. W lasku, skąd padły strzały rewolwerowe, policja znalazła dwie czapki cyklistówki; później stwierdzono, że były własnością Józefa Bieleckiego i Stanisława Artuszewskiego. Trzeciego października w nocy wracali z jarmarku kupcy z Nadarzyna. Napadnięto na jadących trzema ostatniemi furmankami. Pierwszą furmanką, która wysunęła się o jakieś czterysta metrów naprzód i którą bandyci przepuścili, jechała sześćdziesięcioletnia Julja Paskowa z młodym parobkiem Karolem Juszczykiem. Ostatniego napadu dokonano 18-go października, ale wobec zdecydowanej postawy i przewagi liczebnej napadniętych, bandyci skryli się w lesie.

Sąsiadką Zagórskich, rzeźników i handlarzy nierogacizną, jest Julja Paskowa. Za domkiem Paskowej mieszkają Zalewscy. Sąsiedzi nie żyją z sobą dobrze: są konkurentami w handlu. Zalewscy dorobili się sporych pieniędzy, Zagórskim wiedzie się nieźle, tylko do zagrody Paskowej bieda czasami zagląda. 25-go października, w czwartek, wszyscy mieli jechać na targ do Grójca. Ale w środę, 24-go, do mieszkania Zagórskich przyszedł jakiś nieznajomy młody człowiek. Mówił, że chce ich ostrzec; że Antoni Pasek jest hersztem bandy, która dopuściła się już szeregu napadów i że jutro na nich się szykują. On, Artuszewski, należał do szajki, ale już zerwał z nimi i chce rozpocząć inne życie. Nie chce mieć ludzkiej krwi na sumieniu. Słyszał, jak Pasek mówił, że z Zagórskimi nie ma co się cackać, tylko prosto w łeb walić i brać forsę. Dziś w nocy mają się zebrać w mieszkaniu Paskowej, żeby ostatecznie obgadać „sprawę“.

Policjant, który aresztował Artuszewskiego, kazał Stanisławowi Zagórskiemu i starej Zalewskiej obserwować mieszkanie Paskowej. Zalewska wyglądała przez okno, a Zagórski przyczaił się za płotem. Około 11-ej w nocy kilku mężczyzn weszło do mieszkania Paskowej. Jak zeznają obserwatorzy, mężczyźni ci zachowywali się bardzo cicho, szli pojedyńczo i nie szosą, tylko polami od strony lasu. Zawiadomiono policję. Paskowa otworzyła posterunkowym drzwi i powiedziała, że syna niema w domu. Nie był już u niej od kilku tygodni: z żoną mieszka. Okazało się jednak, że Antoni Pasek, wraz z czterema kompanami, śpi na strychu. Znaleziono przy nich dwa nabite rewolwery i latarkę elektryczną. W śledztwie wszyscy, oprócz Paska i jego matki, przyznali się do winy.

Dnia 17-go września 193› r. Antoni Pasek, jego matka Julja, Józef Bielecki, Stanisław Artuszewski, Jan Ostrowski i Kazimierz Ogibel stanęli przed Sądem Okręgowym w Warszawie. Oskarżeni są z artykułu 259 k. p. k.: „kto zabiera innej osobie cudze mienie ruchome w celu przywłaszczenia, używając przemocy, albo grożąc użyciem natychmiastowego gwałtu na osobie, albo doprowadzając człowieka do stanu nieprzytomności lub bezbronności, podlega karze więzienia", z art. 165 § 1: „kto bierze udział w związku mającym na celu przestępstwo, podlega karze więzienia do lat pięciu", nadto Julja Pasek, której art. 259 nie dotyczy, z art. 166 § 2: „kto taki związek zakłada, lub nim kieruje, podlega karze więzienia do lat dziesięciu".

Po otwarciu sesji, obrońca oskarżonego Antoniego Paska, dr. Karniol, wnosi o powołanie biegłych psychjatrów, którzyby wydali orzeczenie co do stanu umysłowego jego klienta. Wniosek swój motywuje tem, że Pasek usiłował popełnić samobójstwo przez powieszenie i że został zwolniony z wojska po kilku tygodniach służby i to, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie spowodu niezdolności fizycznej. Prosi więc o zarządanie od właściwego P. K. U. orzeczenia komisji superrewizyjnej w sprawie Antoniego Paska, a co za tem idzie, o odroczenie rozprawy na inny termin. Sąd, po krótkiej naradzie, odrzucił wniosek obrońcy, stem zastrzeżeniem, że o ile przebieg procesu ujawni takie momenty, które będą wskazywały na chorobę psychiczną u Antoniego Paska, Sąd powoła lekarzy psychjatrów, celem wydania opinji o stanie zdrowia oskarżonego.

Oskarżony Antoni Pasek, lat 27, sądownie nie karany, do winy się nie przyznaje. Twierdzi, że był bity przez policję, celem wymuszenia na nim zeznań, idących na rękę śledztwu.

(Sprawę tę rozpatrywał Sąd Grodzki w Grójcu, i uznał, że należy ona do kompetencji Sądu Okręgowego, wobec czego właściwe akta przesłano prokuratorowi 14-go rejonu przy Sądzie Okręgowym w Warszawie. Obecnie, obrońca oskarżonego wnosi o przedstawienie tych akt Sądowi. Prokurator wyjaśnia, że istotnie akta te wpłynęły do prokuratury, ale dochodzenie przeciwko oskarżonym policjantom zostało umorzone. Zażalenie przeciwko tej decyzji zostało oddalone przez prokuratora Sądu Apelacyjnego. Wobec powyższego wyjaśnienia obrona zrzeka się swego wniosku).

Oskarżony dalej twierdzi, że aresztowanie jego nastąpiło na skutek oszczerczych doniesień, które złożyli Zalewscy i Zagórscy. Chcieli oni w ten sposób unieszkodliwić oskarżonego, który również trudnił się handlem nierogacizną i był ich groźnym konkurentem na terenie Grójca. Je-

żeli pozostali oskarżeni przyznali się do winy, to tylko dlatego, że byli bici. W dniu, w którym nastąpiło aresztowanie, znaleźli się oni zupełnie przypadkowo u oskarżonego. Znał ich już dawniej, a że nie mieli gdzie zanocować, przyjął ich u siebie. Ostrowski i Ogibel przyszli około jedenastej. Ostrowski wrócił późno do domu, zastał drzwi zamknięte i nie chciał budzić domowników, a Ogibel był w Nadarzynie przejazdem, noc go tu zaskoczyła, więc skorzystał z zaproszneia Paska. On sam śpi zawsze na strychu, dopóki jest względnie ciepło i dlatego ułożył tam kolegów. Światła na strychu nigdy nie pali, gdyż lęka się pożaru. U niego bardzo często schodzili się młodzi ludzie, członkowie miejscowej orkiestry. Artuszewski przychodził rzadko. Oskarżony stanowczo zaprzecza, jakoby miał namawiać i zmuszać Artuszewskiego do brania udziału w rozbojach.

PRZEWODNICZĄCY: Skąd oskarżony miał rewolwer?

Oskarżony: Kupiłem od jednego policjanta. Ja wogóle mam duże stosunki w policji.

P.: I mimo tych stosunków policja biła oskarżonego?

O.: Tak.

P.: Jeżeli oskarżony twierdzi, że jest niewinny, to dlaczego pisał „gryps" z więzienia, adresowany do jakiejś kobiety, w którym poucza niektórych świadków, jak mają zeznawać przed sądem?

Oskarżony wyjaśnia, że zrobił to w celu zwrócenia na siebie uwagi władz sądowych, gdyż w więzieniu znęcano się nad nim. Owa kobieta, dla której rzekomo ów „gryps" miał być przeznaczony, jest postacią fikcyjną. Oskarżony Pasek podczas składania zeznań jąka się bardzo silnie.

Oskarżony Józef Bielecki do winy się przyznaje. Brał udział we wszystkich napadach. Z Paskiem poznał się niedawno. Był wówczas bez pracy, a Pasek powiedział mu, że zna zupełnie pewny sposób zdobycia pieniędzy. Dla obgadania sprawy zaprosił Bieleckiego na wódkę, a potem poszli w kierunku szosy.

PRZEWODNICZĄCY: Czy oskarżony wiedział poco idzie na szosę?

Oskarżony: Nie, Pasek nic mi nie mówił. Powiedział tylko, żebym robił to, co mi każe.

P.: Czy oskarżony miał rewolwer?

O.: Tak.

P.: Skąd go miał?

O.: Od Paska.

P.: Czy oskarżony nie domyślał się, w jakim celu dano mu rewolwer?

O.: Nie.

P.: Ale jak furmanki nadjechały, to oskarżony odrazu się domyślił, co ma robić z rewolwerem?

O.: Bo Pasek krzyknął: strzelaj przed konia!

P.: I co potem?

O.: Potem koń stanął, Pasek wziął go przy pysku, a mnie kazał rewidować jadących i zabierać od nich pieniądze.

P.: I oni tak dobrowolnie oddawali pieniądze oskarżonemu?

O.: No, nie, pokazałem im najpierw rewolwer.

P.: Ileście wzięli pieniędzy?

O.: Ja nie wiem. Co wziąłem, to dałem Paskowi, a on mi potem moją „dolę" wypłacił.

P.: Ile wam dał?

O.: Sześć złotych.

Okazuje się, że Antoni Pasek z reguły wykorzystywał swoich pomocników. Napady przynosiły nieraz po paręset złotych, z czego do podziału szła jedynie drobna suma, a resztę zabierał Pasek. W dalszym ciągu swoich zeznań Bielecki stwierdza, że Paskową niesłusznie oskarżono o organizowanie i ułatwianie napadów. Tak samo Ostrowski i Ogibel nigdy z nimi na szosę nie chodzili, nie brali udziału w rabunkach, a on poznał ich dopiero w komisarjacie.

P.: A przecież oskarżony nocował razem z Ostrowskim i Ogiblem u Paska?

Bielecki wyjaśnia, że przyszedł wcześniej, niż tamci i zaraz położył się spać na strychu. Zbudzili go dopiero policjanci i wtedy zobaczył po raz pierwszy Ogibla i Ostrowskiego.

Jeżeli późniejsze zeznania świadków ukazały tło społeczno-obyczajowe wydarzeń wyżej opisanych i objętych aktem oskarżenia, to wyjaśnienia, które złożył Stanisław Artuszewski, odsłaniają psychologiczne kulisy procesu. Artuszewski jest młodym chłopcem, umysłowo wyraźnie niedorozwiniętym i pozbawionym zdolności kierowania sobą. Jest niezmiernie podatny na sugestje, którym nie umie się przeciwstawić. Nie ma żadnego planu życiowego. Ukończył szkołę powszechną i od kilku lat błąka się po świecie, który zamyka się dla niego w ramach Grójeckiego powiatu. Ostatnio mieszkał u swego szwagra i w tym czasie poznał Antoniego Paska. Odtąd spotykali się dosyć często, urządzali wspólne pijaństwa, podczas których Pasek opowiadał Artuszewskiemu o rozmaitych ponętnych rzeczach, które są dostępne dla każdego człowieka, posiadającego pieniądze. Artuszewski powinien pojechać do Gdyni. Tam nie tylko można dobrze zarobić, ale i życie jest inne, lepsze i weselsze. Każdego, kto tylko stanie na tej nadmorskiej ziemi, czekają przeżycia nieoczekiwane i wspaniałe. Tylko na taką podróż trzeba sporo pieniędzy, a niestety on, Pasek, nie ma ich za dużo. Dobrzeby było, żeby Artuszewski pomyślał o tem. Przecież jego szwagier napewno ma w domu jakieś pieniądze. Wziąłby je sobie, a potem szwagrowi z Gdyni odeszle i to z procentem. To była pierwsza kradzież Artuszewskiego, kradzież, poniekąd, romantyczna. Później kradł z głodu i ze strachu. Ale teraz, jak tylko dorwał się tych 250-iu złotych, które szwagier jego w domu przechowywał, pobiegł do Antoniego Paska. Oczywiście poszli wypić na pomyślność, na szczęśliwą drogę, na przyszłe bogactwo. Popijali tak coś koło tygodnia i Artuszewski nie pojechał nigdzie. Został bez pieniędzy, bez dachu nad głową, bez możności powrotu do domu. Wtedy poszedł do Paska z nieśmiałemi wymówkami, z prośbą o jakieś wsparcie, ale tam, zamiast przyjacielskiej pomocy, spotkało go tęgie lanie i uwaga, że to Pan Bóg jest od tego, żeby się frajerami opiekować, a nie on. Po kilku dniach Artuszewski, wygłodniały, zziębnięty, nie wiedzący, co z sobą robić, znowu zwrócił się do Paska i wówczas spotkał się z konkretną propozycją: dostanie jedzenie, kąt do spania na strychu i swoją „dolę", jeżeli zgodzi się pomagać Paskowi w jego bandyckich wyprawach. Od tego czasu Artuszewski zaczął chodzić „na szosę". Zeznaje, że Pasek zabierał wszystkie pieniądze, teroryzował go rewolwerem przy każdej próbie oporu, nawet ze zobowiązań swoich nie zawsze się wywiązywał, tak, że Artuszewski nieraz musiał nocować na łąkach, chociaż no-

ce były już chłodne. Wreszcie podczas jednego napadu udało mu się zabrać większą sumę pieniędzy. Sprzedał wówczas rewolwer, który dostał od Paska i z uzyskanemi w ten sposób pieniędzmi wrócił do domu. Szwagier przebaczył mu i pozwolił zostać. Wówczas Artuszewski, wiedząc o napadzie, który miał być dokonany na Zagórskich, poszedł ich ostrzec. O Paskowej, Ogiblu i Ostrowskim wie tylko tyle, że nie brali udziału w napadach.

PRZEWODNICZĄCY: Czy oskarżony domagał się pieniędzy od Zagórskich tytułem wynagrodzenia za ostrzeżenie ich przed napadem?

OSKARŻONY: Nie, Zagórscy sami obiecali mi dać paręset złotych.

Oskarżeni Jan Ostrowski i Kazimierz Ogibel nie przyznają się do winy. W śledztwie bito ich, więc musieli się przyznać. 18 września 1934 r. wrócili z wojska i zaraz dostali pracę. U Paska spotkali się przypadkowo. Ogibel zna Paska od kilku lat, gdyż obaj należą do miejscowego zespołu muzycznego. Próby odbywają się zwykle w mieszkaniu Paska.

Oskarżona Julja Paskowa do winy się nie przyznaje. Do syna przychodzili często „muzykanci“, ale nigdy nie słyszała, żeby mówili o napadach rabunkowych. Co mówiła policjantom, którzy przyszli szukać jej syna, nie pamięta. Z Zalewskimi nie żyła dobrze. Są jej winni pieniądze i dlatego teraz się mszczą.

PRZEWODNICZĄCY: Czy oskarżona dopytywała się, gdzie Zagórscy chowają pieniądze?

OSKARŻONA: Nie.

P.: Czy starała się wpłynąć na zeznania świadków?

O.: Nie.

Po przesłuchaniu oskarżonej Julji Paskowej Sąd zarządził postępowanie dowodowe. Jako pierwszy zeznaje świadek Stanisław Suchenek, komendant posterunku P. P. w Nadarzynie. Mówi, że Artuszewski zdradził swoich wspólników i podczas przesłuchania wskazał na wszystkich oskarżonych, jako na członków bandy, a więc i na Ogibla, Ostrowskiego i Paskową. Paskowa wypytywała Stanisława Zagórskiego, o której godzinie i którego dnia kupcy będą wracali z targu, kto będzie jechał i czy dużo pieniędzy będą wieźli z sobą.

PRZEWODNICZĄCY: Czy podczas przesłuchania wywierano presję na oskarżonych, w celu zmuszenia ich do składania zeznań, idących po linji śledztwa?

ŚWIADEK: Nie, żadnej presji na oskarżonych nie wywierano.

P.: Czy Paskowa starała się wpłynąć na świadków oskarżenia, a jeśli tak, to w jaki sposób?

Św.: Oskarżona groziła świadkom zemstą, o ile ją i jej syna będą obciążać przed sądem.

P.: Jakiego rodzaju miała być ta zemsta?

Św.: Tego oskarżona wyraźnie nie mówiła.

OBROŃCA: Jeżeli „nie mówiła wyraźnie“, jak świadek zeznał, to znaczy, że jednak coś mówiła, że robiła jakieś aluzje co do rodzaju tej zemsty.

ŚW.: Nie przypominam sobie, co ona mówiła.

PROKURATOR: Jaka była rola oskarżonej w bandzie?

ŚW.: Paskowa organizowała napady, dowiadywała się, kto i dokąd jedzie, ile kto ma pieniędzy i t. p.

Świadek Hipolit Klimek, posterunkowy P. P. z Nadarzyna przeprowadzał rewizję w mieszkaniu Paskowej i aresztował śpiących na strychu Paska, Bieleckiego, Ostrowskiego i Ogibla. Popiera swoje zeznania, które uprzednio złożył w śledztwie, że Paskowa starała się wprowadzić go w błąd, mówiąc, że syna jej nie ma w domu, że nie widziała go blisko dwa tygodnie, gdyż obecnie mieszka u żony. Pozatem wiadomo jest policji, że Paskowa często nocowała u siebie rozmaitych ludzi, notowanych w Urzędzie Śledczym.

Świadek Stanisław Zagórski zeznaje, że Paskowa mu się zwierzała z niechęci do Zalewskiego. Mówiła, że Zalewski z jej ręki musi zginąć.

PRZEWODNICZĄCY: Jakie były powody tej nienawiści?

ŚWIADEK: Tego nie wiem.

Dalej Zagórski opowiada, że miał bardzo uciążliwą lokatorkę, która nie chciała wyprowadzić się z jego domu, mimo, że proponował jej 200 zł. odszkodowania. Dowiedział się o tem Pasek, którego świadek znał od dawna, i przy wódce proponował świadkowi, że za 150, a nawet za 100 zł. „zrobi z nią koniec“: podejdzie pod okno, gdy będzie spała i zastrzeli.

PRZEWODNICZĄCY: A co mu świadek wówczas powiedział?

ŚWIADEK: Nie zgodziłem się na tę propozycję.

P.: czy Pasek był człowiekiem zupełnie normalnym? Czy może się jąkał?

ŚW.: Nie, nigdy się nie jąkał. Był taki, jak wszyscy.

OBROŃCA: Świadek twierdzi, że Pasek najpierw żądał 150, a potem 100 zł.?

ŚW.: Tak.

OB.: A więc świadek targował się z Paskiem?

Zagórski nic nie odpowiada; jest zmieszany.

OB.: A czy za 50 zł. świadek ubiłby ten interes?

Przewodniczący uchyla to pytanie.

W toku postępowania dowodowego przesłuchano jeszcze około trzydziestu świadków. Ich zeznania nie ustaliły winy Paskowej, Ostrowskiego i Ogibla. Świadkowie dzielili się na na takich, którzy koniecznie chcieli wybielić oskarżonych i na takich, którzy ich chcieli pogrążyć. Wszyscy załgiwali się w sposób ohydny i prostacki. Świadek Karol Juszczyk, młody parobek, który pracował u Zagórskich, zeznał, że Paskowa namawiała go do popełnienia przestępstwa: miał jej ułatwić dokonanie kradzieży u swoich chlebodawców. Ale po kilku pytaniach obrony zaplątał się, zaciął, przestał mówić, a niczego nie odwołał. I tak było ze wszystkimi: kilkoma pytaniami można było rozpętać wybuch żywiołowej nienawiści, a ostatecznie te wszystkie antagonizmy dały się sprowadzić do konfliktów czysto materjalnej natury: konkurencja w handlu. I tutaj uderza zupełnie potworna niewspółmierność środków i celów: kilkudziesięciozłotowe zyski za cenę ludzkiego życia! A mówi się tu o tem tak, jak o rzeczach zupełnie powszednich, do których wszyscy zdążyli się przyzwyczaić. Świadek Zagórski, opowiadając o propozycjach Paska, nie rozumie, że człowiek, którego postawa życiowa usprawiedliwia taką propozycję, nie może w nikim wzbudzić zaufania. Świadek Zalewski, który nazywa Paskową bandytką, jest jej winien sporo pieniędzy. Wypiera się tego, ale widać, że łże. Paskowa zarzuca mu, że wprawdzie chciał jej oddać dług, ale pieniędzmi własnej roboty: fałszywemi pieniędzmi. Zalewski czerwienieje i milknie.

Obserwując przebieg procesu widzi się coraz wyraźniej, że zarówno ci, którzy siedzą na ławie oskarżonych, jak i ci, którzy przyszli do Sądu złożyć zeznania, różnią się między sobą chyba tylko nazwiskami. Nie wyczuwa się żadnego moralnego dystansu między „zbrodniarzami" a tymi, którzy ich przyszli oskarżać. To są ludzie z tego samego środowiska, wychowani w atmosferze rzeźni i szynku. Odnosi się wrażenie, że jedynie prosty zbieg okoliczności decyduje tutaj o tem, czy dana jednostka utrzyma się w życiu społecznem, czy też zostanie wyrzucona poza jego nawias. Tu nie ma miejsca na hamulce moralne, na uczucia wyższego rzędu, które godzą normalną jednostkę z wymogami życia społecznego. Lęk jest regulatorem życia tych ludzi, lęk przed silniejszą jednostką i lęk przed prawem; a prawo w ich oczach jest siłą wrogą i gnębiącą. W zeznaniach świadków nie wyczuwa się moralnego protestu przeciwko oskarżonym; była nienawiść, płynąca z osobistych nieporozumień, pragnienie pognębienia przeciwników, ale nic z tych pozytywnie korzystnych uczuć, któremi reaguje zdrowy ogół na czyjeś aspołeczne postępowanie. I ostatecznie nie ma się czemu dziwić. Egzystencja tych ludzi redukuje się do trzech zasadniczych czynności: zabijania świń, zbijania pieniędzy i picia wódki. To picie, w świetle przewodu sądowego, wygląda w sposób zupełnie ponury. Nikt się oczywiście nie pytał, czy oskarżeni lub świadkowie piją wódkę. Mimochodem, przy wynurzeniach na temat czyjegoś prywatnego życia, wymykały się świadkom powiedzenia bardzo znamienne. Rozalja Zalewska, podczas obserwowania domu Paskowej, skracała sobie czas odmawianiem różańca i piciem wódki. Wszyscy świadkowie swoje handlowe interesy załatwiają w szynku i wreszcie po kilku latach takiego „urzędowania"[1]) powstaje typ człowieka, który wprawdzie rzadko kiedy jest zupełnie pijany, ale nigdy nie bywa trzeźwy. Na takiem podłożu obyczajowem każda zbrodnia jest czemś, co ma swoje głębokie uzasadnienie i w żadnym razie nie może być uważana jedynie za skutek wrodzonych zbrodniczych predyspozycyj poszczególnych indywiduów.

Późnym wieczorem Sąd zamknął postępowanie dowodowe i wysłuchał przemówień stron. Następnego dnia Sąd Okręgowy ogłosił sentencję wyroku, mocą którego Antoni Pasek skazany został na 5 lat więzienia, Józef Bielecki na 3 lata, a Stanisław Artuszewski na 1 i pół roku. Pozostałych oskarżonych Sąd uniewinnił.

Michał Klimowicz.

RECENZJA.

(TADEUSZ TOMASZEWSKI: KÓŁKO ABSTYNENCKIE w SMP. Szarych Książeczek Nr. 5 S. A. „Ostoja". Poznań, 1934. Stronic 126. Cena 1.40 zł.).

Opiekunowie ruchu abstynenckiego wśród młodzieży otrzymali pracę dużej wartości, dziełko napisane przez wytrawnego znawcę nie tylko alkohologji, ale i duszy młodzieży, dziełko, które w ruchu trzeźwościowym mogłoby doprawdy dokonać wielkiego, a bardzo pożądanego przewrotu pojęć w całym kraju.

---

[1]) Wyrażenie gwarowe: spędzanie czasu w szynku.

We wstępnym rozdziale, omawiającym potrzebę i cel kółek abstynenckich młodzieży, podkreśla autor wartość wychowawczą tychże kółek jako szkoły silnego charakteru, czystego idealizmu, oraz pewnego rodzaju kliniki, w której leczy się szereg wad narodowych, jak np. brak wytrwałości, ów nasz słomiany ogień, brak krytycyzmu i t. d. Kółka zmierzać mają nie tylko do osobistej abstynencji członków, ale pośrednio do rozszerzania idei trzeźwości w obrębie rodziny, a w dalszym ciągu w całem społeczeństwie. Osiągnięcie tego ostatniego celu, napozór niedoścignionego, lubo na małą skalę, miałem sposobność obserwować przed 20 laty w mieście R. w jednem z województw południowych, gdzie wpływ zrzeszonej w kółko młodzieży szkoły realnej, przeniknął nie tylko do domów rodzicielskich, ale także do osób, stojących zdala od szkoły. Uwieńczeniem owego ruchu był fakt zupełnego usunięcia alkoholu z życia w miejscowym Sokole. Rady, jakich udziela autor przy prowadzeniu kółek są rzeczywiście wszechstronne i nader szczegółowe. Osobiście jednak nie mógłbym zgodzić się z niektóremi wskazówkami. I tak nie dopuszczałbym do wykładów w kółkach młodzieży ludzi, którzy nie są bezwzględnymi abstynentami (str. 53), ponieważ wiem z doświadczenia, że tacy wyznawcy „rozsądnej trzeźwości" z pewnego rodzaju pasją rozgrzeszają młodzież z jej bezwzględnej abstynencji i doradzają umiarkowane używanie alkoholu w formie piwa lub wina, czyniąc to w myśl wygrzebanego z Pisma św. cytatu: „... a kto mierny jest przyczyni żywota". Tak samo zastanowiłbym się bardzo poważnie nad kwestją wprowadzenia w czyn jednej wskazówki, o której jest mowa w 16 ustępie (Przestrzeganie ustawy przeciwalkoholowej, str. 62 i 63). Otóż nie wciągałbym w zakres zadań kółek młodzieży czuwania nad przestrzeganiem ustaw przeciwalkoholowych z dwu względów: 1-o nie chciałbym ściągać na młodzież cienia zarzutu donosicielstwa i szkolenia się w niem, albowiem ta forma uzdrawiania stosunków obrzydła dzisiaj społeczeństwom i wobec nad wyraz częstych tajnych fałszywych oskarżeń przyniosła moc krzywd najzacniejszym nieraz ludziom, a 2-o — wedle mego przekonania, — obowiązek czuwania nad wykonywaniem ustaw należy do właściwych organów państwowych, które powinny być jak najgruntowniej obznajmione z istotnym celem wydanych ustaw. Z tego też powodu z prawdziwą radością należy witać reprezentantów Policji Państwowej na wszelakich kursach alkohologji, a przedewszystkiem na znakomicie prowadzonych kursach, które urządza co roku Państwowa Szkoła Higjeny w Warszawie do spółki z Tow. „Trzeźwość". Pouczenia policji o pladze alkoholizmu odbywają się np. w Niemczech, o czem świadczy drukowana w setkach tysięcy praca ministerjalnego radcy Wernera Brachta p. t. „Alkohol-Volk-Polizei".

W pracy p. Tomaszewskiego znajdą nasi abstynenccy działacze prawdziwą kopalnię pomysłów w wyzyskaniu wszelkich możliwości dla ożywienia ruchu w zwalczaniu alkoholizmu. Walka ta polega nie tylko na uświadamianiu członków kółek abstynenckich o istocie alkoholizmu z pominięciem wszelkiego moralizowania (bardzo ważny moment!), ale przedewszystkiem na zastosowaniu rozmaitych pośrednich dróg w samem zwalczaniu plagi alkoholizmu przez propagandę napojów bezalkoholowych i kursów ich wyrobów, przez zwiedzanie domów ludowych, podniesienie pszczelnictwa i sadownictwa, sportu i t. d. Przy stosowa-

niu metody pogadanek ankietowych, konkursów, ankiet, przy urządzaniu wszelakich imprez i t. p., znajdą czytelnicy szereg aktualnych, doskonale obmyślanych tematów, które oddać mogą wielkie usługi nie tylko kapłanom, jako tematy kazań, ale przedewszystkiem nauczycielom i lekarzom w okresie Tygodnia Trzeźwości, kiedy obowiązkowo mają wygłaszać pouczenia o szkodliwości napojów alkoholowych. W odniesieniu do wystaw przeciwalkoholowych, o których autor mówi obszernie, ośmieliłbym się podkreślić wielki pożytek z wystaw, jakie można urządzać w oknach lokali, czasowo niezajętych przez sklepy, przy których zatrzymują się przechodnie, komentując żywo treść obrazów, wykresów i modeli. Np. takim wiele mówiącym eksponatem okiennym może być kilkanaście jednakowych modeli domków z tektury z ogródkami, wyrażających wartość pieniędzy przepijanych w mieście, województwie lub w całym kraju w ciągu np. jednej godziny.

Dziełko wartoby zaopatrzyć w najbliższem wydaniu w wykaz literatury alkohologicznej, ułożonej wedle poszczególnych tematów, a nie powoływać się na cenniki wydawnictw przeciwalkoholowych, które niezawsze są dostępne dla zarządów kółek, a — co ważniejsza — są bardzo niekompletne. Przykład tego rodzaju zestawienia literatury wedle trzech stopni jej dostępności dla czytelników widnieje na blankietach świadectw z kursów alkohologji, jakie otrzymują słuchaczki Szkoły Położnych we Lwowie. Kursa wspomniane organizuje Tow. Szkoły Ludowej do spółki z sekcją eugeniczną Tow. Higjenicznego i Ligi Przeciwalkoholowej.

Życzyć należy, aby dziełko p. Tomaszewskiego znalazło się w rękach wszystkich księży, nauczycieli, lekarzy, wojskowych, co łatwo może nastąpić, skoro księgarnia nakładowa lub też autor postarają się o aprobatę tej pracy ze strony Ministerjum W. R. i O. P.

Bronisław Duchowicz.

Lwów.

POŻYTECZNA BROSZURA.

Znany i zasłużony higjenista polski, dr. Marcin Kacprzak, napisał broszurę p. t. „Alkoholizm — konspekt odczytu popularnego“ — którą wydała Sekcja propagandy Komitetu Medycyny Społecznej w Warszawie (str. 23).

Jest to świetnie ułożony skrót najważniejszych wiadomości o alkoholizmie, niezbędnych dla prelegentów, mówiących o tem zagadnieniu.

Jakżeż to często się zdarza, że lekarz, nauczyciel, działacz społeczny proszeni są o wygłoszenie popularnego odczytu lub pogadanki na temat alkoholizmu; prelegent ma najlepsze zamiary, szlachetną tendencję, ale brak mu czasu i możności na wertowanie odpowiednich prac źródłowych, chcąc jednak sumiennie wywiązać się z zadania — szuka dobrze ułożonego **konspektu** najważniejszych wiadomości z interesującego go przedmiotu. Taki właśnie materjał, oparty na wynikach najnowszych badań naukowych, znajduje się w omawianej pracy, która w sposób jasny, zwięzły, a treściwy ujmuje zagadnienie alkoholizmu.

Z najwyższem uznaniem podkreślić należy stanowisko Sz. Autora

w sprawach, dla bardzo wielu jeszcze ludzi wątpliwych lub spornych — odnosi się to m. in. do zagadnienia działania **małych** dawek alkoholu i umiarkowanego jego używania. Na str. 11 czytamy: „Ujemne skutki umiarkowanego alkoholizmu z punktu widzenia społecznego nie są nigdy poważnie kwestjonowane; tu pogląd może być tylko jeden — alkoholizm umiarkowany jest również klęską społeczną". O piwie czytamy: „Kiedyś piwo nazywano płynnym chlebem, dziś uważamy ten pogląd za szkodliwy przesąd".

Broszura ukazała się niedawno, a już jest na wyczerpaniu — świadczy to wymownie o jej wartości. Niewątpliwie ukaże się nowe wydanie — a w tem pragnęlibyśmy ujrzeć kilka uzupełnień, zdaniem naszem, niezbędnych, a nie przedstawiających niebezpieczeństwa nadmiernego poszerzenia „konspektu".

Wydaje się nam, że należałoby nieco obszerniej potraktować ustęp o przestępczości w związku z alkoholizmem, to samo odnosi się do alkoholizmu wśród dzieci i młodzieży, należałoby wprowadzić aktualny dział: „alkoholizm i sport", należy też podkreślić związek przyczynowy — bezpośredni i pośredni — między alkoholizmem i gruźlicą i chorobami wenerycznemi, oraz podnieść niebezpieczeństwo alkoholizmu w wojsku.

Ustęp o monopolu spirytusowym w odniesieniu do naszych stosunków wydaje się nam nieco zanadto... teoretycznym.

Niewielka co do liczby stron — duża co do wartości wewnętrznej praca d-ra Kacprzaka, jest cennym nabytkiem w literaturze naszego przedmiotu i należy się za nią Szanownemu Autorowi szczera i prawdziwa wdzięczność.

Jan Szymański.

„U ŹRÓDEŁ NASZEGO UBÓSTWA".

Główny Urząd Statystyczny w różnych swych publikacjach podaje dane cyfrowe, odnoszące się do wyrobu i spożycia napojów alkoholowych, a także ceny ich sprzedaży. Poznanie tych cyfr może oddać duże usługi w propagandzie przeciwalkoholowej, lecz aczkolwiek publikowane, nie dla każdego są one dostępne. Cyfr tych trzeba szukać w szeregu roczników różnych wydawnictw, na co nie każdy ma dość czasu i nie każdy może sobie pozwolić na kupno całych stosów roczników statystycznych. Dlatego też z przyjemnością bierzemy do ręki małą broszurę *Mgr. St. Waszaka „U źródeł naszego ubóstwa"*, wydaną w Poznaniu 1935 r. przez Polską Ligę Przeciwalkoholową. W broszurze tej zebrano cyfry, dotyczące wyrobu, spożycia, sprowadzania i kupowania napojów alkoholowych od roku 1922 w Polsce i za niektóre okresy lat zagranicą; dalej liczne cyfry z dziedziny gospodarczej, mające związek z alkoholizmem i dopomagające do ocenienia roli alkoholizmu w życiu gospodarczem.W związku z przytoczonemi cyframi krótka, treściwa relacja i wyłaniające się z zestawienia cyfr wnioski.

Statystyka, cyfra stanowi w walce z alkoholizmem podstawowy punkt wyjścia, bo nic innego nie może nam jaśniej, niewątpliwiej określić istotnego stanu klęski alkoholizmu, a w ślad za tem ułatwić działalność przeciwalkoholową. Jeżeli np. statystyka wykaże nam, że w Polsce

jest 5 pijaków, to nikt nie pomyśli o budowaniu i urządzaniu dla nich lecznicy, jeżeli zaś ze statystyki dowiemy się o istnieniu 50.000 takich chorych, to już można i trzeba dla takiej ilości pacjentów budować szpital. Jeżeli statystyka wykaże, że na Pomorzu niema browarów, ani wyszynków, że od kilkunastu lat nie zanotowano tam ani jednej alkoholowej libacji na weselu, a parafjalne bractwa trzeźwości liczą po kilkadziesiąt tysięcy członków, natomiast na Polesiu jest 30.000 karczem, a policja codziennie aresztuje po 1000 pijanych, to nikomu nie przyjdzie do głowy wyjeżdżać z propagandą przeciwalkoholową na Pomorze, ale wszyscy zajmą się Polesiem.

To też cyfra ma dla nas znaczenie bardzo ważne, więc słusznie szukamy w różnych źródłach cyfr, dających miarę alkoholizmu, aby nie chodzić poomacku i nie marnować sił na urojone cele.

W omawianej broszurze mamy nie tylko cyfry, ale i wypływające z nich wnioski. Rzecz tylko w tem, że obok szeregów cyfr, odpisanych z publikacyj statystycznych, spotykamy także cyfry fantastyczne, nie odpowiadające rzeczywistości, a przy nich również fantastyczne wnioski.

Na str. 16 rozpoczyna się rozdział: „Spożycie alkoholu". Tam czytamy: „W spożyciu szkodliwego alkoholu zajmujemy jedno z czołowych miejsc". — Z tego zdania może ktoś wywnioskować, że istnieje spożycie jakiegoś alkoholu nieszkodliwego, lecz mniejsza o to. Chodzi o cyfry.

Otóż na potwierdzenie tego, że w spożyciu alkoholu zajmujemy jedno z czołowych miejsc, umieszczono na str. 17 tabliczkę porównawczą przeciętnego spożycia spirytusu na 1 mieszkańca w litrach rocznie za lata 1906 — 1931. Polska figuruje tam w latach 1923 — 26 i 1927—31. Spożycie spirytusu wykazano między innemi w okresie 1923—26, w Norwegji 0.36, Anglji 1.63, Polsce 1.67, a w okresie 1927 — 31 w Niemczech 1.19, Belgji 1.36, Polsce 1.41, a dalej uwaga: „Konsumcja spirytusu spadła w Polsce dopiero po roku 1930, co wpłynęło na przeciętną za lata 1927—31. Natomiast w latach 1928 i 1929 na 1 mieszkańca przypadają jeszcze całe 2 litry".

Zdumiewające! Oto Polska najbardziej pijacki kraj na świecie! To naprawdę hańba narodowa!

Przeczytawszy zapewnienie o 2 litrach spirytusu na mieszkańca, zachodzę w głowę, szukam i liczę. Najpierw kontroluję moje obliczenie za r. 1928, ogłoszone w pracy: „Alkoholizm jako zagadnienie gospodarcze w Polsce", które wykazało spożycie alkoholu 100^0 we wszystkich możliwych napojach alkoholowych 1.91 l. na mieszkańca, następnie szukam w Dyrekcji Państwowego Monopolu Spirytusowego i dowiaduję się napewno, że w roku 1928 spożycie czystego spirytusu w wódce wynosiło na głowę mieszkańca 1.56, w 1929 roku 1.55 l. — Więcej Monopol nie sprzedał, bo więcej ludzie nie chcieli pić.

Gdzież te 2 litry, dzięki którym zdobywamy rekord pijaństwa w Europie?

Możliwe, że jakimś sposobem tak wysoko obliczono spożycie alkoholu we wszystkich napojach alkoholowych, a w takim razie należało podać porównanie równorzędnego spożycia w innych krajach.

Jeżeli się porównuje stopień pijaństwa u nas i u sąsiadów, trzeba być sprawiedliwym i mówiąc o spożyciu spirytusu, wyraźnie zaznaczyć,

że podaje się tylko spożycie spirytusu w wódce. W tym wypadku w Anglji lub w Niemczech spożywa się istotnie mniej niż w Polsce, ale przecież do celu rozpajania służą także jeszcze inne trunki.

Jeżeli spożycie 100° alkoholu w różnych trunkach w Polsce porównamy z takimże spożyciem w innych krajach, to z piedestału naczelnego pijaństwa spadniemy bardzo niziutko.

Według Salonena [1]) w okresie 1923 — 27 przeciętne roczne spożycie czystego spirytusu w różnych napojach na głowę mieszkańca wynosiło we Francji 16.6, w Niemczech 3.9, w Szwecji 3.2.

W Polsce w roku 1928 najwyższego nasilenia alkoholizmu, jak wyżej wspomniałem, wypadało zaledwie 1.91 l. na głowę mieszkańca i nic więcej. Taka jest prawda o Polsce.

Lepiej poznać najgorszą prawdę niż łudzić się, że u nas jest pod jakimś względem lepiej aniżeli w rzeczywistości, ale zamiast korzyści tylko zamęt i bałamuctwo wprowadza się do wiadomości o alkoholizmie, gdy się czytelnikom broszur narzuca fałszywe dane i każe się im Polskę osądzać jak najujemniej. W tym wypadku nie chodzi już tak bardzo o czytelników polskich, ale nie zapominajmy, że do Polski ma przybyć Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy. Wśród członków Kongresu będzie wielu takich, którzy, chcąc się czegoś dowiedzieć o Polsce, zajrzą do broszury: „U źródeł naszego ubóstwa“, a gdy tam spotkają się z zapewnieniem, że jesteśmy najbardziej pijackim narodem, możemy zaznać tej przyjemności, że przyszlą do nas z zagranicy specjalnych misjonarzy przeciwalkoholowych.

Jeżeli zagranicą u narodów bez porównania bardziej zalkoholizowanych niż Polacy, spotykamy się z najgorszą opinją o naszej trzeźwości, to przynajmniej sami nie starajmy się tej opinji podtrzymywać wyszukiwaniem dla umotywowania jej cyfr nie istniejących w źródłach statystycznych.

Wiadomo, że w społeczeństwie polskiem jest tak ogromnie mało przygotowania z dziedziny alkohologji. Prawdziwych wiadomości o alkoholizmie uczy się ono z publicznych wykładów i publikacyj przeciwalkoholowych.

Uwzględniając powszechne nieuświadomienie, musimy się z wielką pieczołowitością starać o to, aby w każdym na ten temat wykładzie, a szczególnie w słowie drukowanem, nie było najmniejszych niejasności, które czytelnik mógłby sobie interpretować różnorodnie, a więc także błędnie. W takim razie zamiast go uświadomić, jeszcze bardziej się go obałamuca.

Możliwość fatalnej interpretacji nasuwa następujący ustęp na str. 17 broszury: „Naczelnem zadaniem działalności gospodarczej jest produkować takie dobra, z których społeczeństwo osiągnęłoby realną korzyść. Tymczasem tego w żaden sposób nie można powiedzieć o przemyśle, wytwarzającym wysokoprocentowe napoje alkoholowe“. Wobec tego mogłoby się wydawać, że niskoprocentowe napoje alkoholowe należą do dóbr gospodarczych. W takich sprawach trzeba używać określeń jasnych, nie dopuszczających żadnych wątpliwości. Alkohol we wszelkich

---

[1]) *Salonen* — Revue internationale contre l'alcoolisme. 1933.

napojach alkoholowych jest trucizną, a więc produkcja wszystkich napojów alkoholowych, nie tylko „wysokoprocentowych", jest produkcją szkodliwą. — To jest prawdą.

M. Skiba.

Lwów.

SPRAWOZDANIE
Z POSIEDZENIA SEKCJI DO WALKI Z ALKOHOLIZMEM PAŃSTWOWEJ NACZELNEJ RADY ZDROWIA.

Dnia 27.VI 1935 r. w sali konferencyjnej Departamentu Służby Zdrowia, odbyło się posiedzenie Sekcji do walki z alkoholizmem P. N. R. Z. pod przewodnictwem p. Dyrektora Departamentu Służby Zdrowia Dr. J. Adamskiego. W obradach wzięli udział: dr. W. Borkowski, Minister dr. W. Chodźko, dr. K. Dąbrowski, dyr. dr. St. Deresz, ks. Gałdyński, dyr. dr. J. Neczaj-Hruzewicz, K. Kalinowski, sen. Al. Iżycki, M. Moczydłowska-Niekraszowa, Naczelnik dr. H. Palester, doc. dr. Wł. Sterling, dr. St. Stypułkowski, red. J. Szymański, dyr. dr. H. Zajączkowski.

Po otwarciu zebrania przez p. Dyr. Adamskiego, wysłuchano dwu referatów: dr. Henryka Zajączkowskiego, dyrektora Państwowego Zakładu Leczniczego w Świacku, o ośrodkach pracy dla uleczonych nałogowców i o organizacji opieki pozazakładowej i dr. Jarosława Neczaj-Hruzewicza, dyrektora Państwowego Zakładu Leczniczego w Gościejewie, o leczniczych zakładach pracy przymusowej dla nałogowców.

Po referatach wywiązała się dyskusja.

DYR. DR. H. ZAJĄCZKOWSKI uważa, że pogląd, wyrażony przez dyr. Neczaj-Hruzewicza, o konieczności zupełnego wyeliminowania zakładów psychjatrycznych z kręgu opieki i lecznictwa nałogowców, nie jest słuszny. Współpraca między zakładami psychjatrycznemi a innemi ośrodkami lecznictwa nałogowców i opieką pozazakładową jest wskazana. Zakład psychjatryczny daje możność osiągnięcia dużej rozpiętości w stosowaniu środków leczniczo-wychowawczych, co ma pozytywne znaczenie w terapji schorzeń psychicznych. Organizowanie specjalnych zakładów dla nieuleczalnych nałogowców jest niecelowe, gdyż nie można zgóry przesądzać możliwości wyleczenia nawet najcięższego przypadku w sensie negatywnym. Nawet kilkakrotna kuracja bez wyników dodatnich nie przesądza sprawy na przyszłość. Wystarczy chyba wspomnieć tutaj słynny przypadek, opisany przez Forela, kiedy ciężki alkoholik dopiero po siedmiokrotnem w ciągu siedmiu lat powtarzanem leczeniu, przestał pić i stał się współtwórcą, a następnie kierownikiem zakładu leczniczego w Elikonie. Opłata za leczenie w leczniczym zakładzie pracy powinna być bardzo niska. Mówca przypuszcza, na zasadzie przeprowadzonych przez siebie obliczeń (w przybliżeniu), że nie powinna przekraczać 1.50 zł. dziennie. Pacjenci powinni otrzymywać za pracę minimalne wynagrodzenie, przypuśćmy 50 gr. za cały dzień pracy, z czego 25 gr. dziennie otrzymywaliby na swoje osobiste wydatki, a 25 gr. byliby obowiązani odkładać. Takie zakłady lecznicze powinny być utworzone przy Świacku i Gościejewie oraz w sąsiedztwie zakładów psychjatrycznych. Bliskość zakładu psychjatrycznego dałaby możność stosowania rygorów wychowawczych

(np. w postaci czasowego ograniczenia wolności osobistej) wobec tych, którzy nie chcą pracować, nie uspołeczniają się i nie zachowują abstynencji. Zakład psychjatryczny byłby również przeznaczony dla tych chorych, u których nałóg jest tylko czemś akcesoryjnem, jakoby dodatkiem do zdecydowanej choroby umysłowej. Mówca ma obecnie w Świacku trzech schizophreników, którzy naogół nieźle się adaptują, ale nie rokują pomyślnie i należą już do kliniki psychjatrycznej. Pierwszy taki zakład o charakterze kolonji pracy należałoby otworzyć przy Państwowym Zakładzie Leczniczym w Świacku. Koszta związane z utworzeniem takiego zakładu ograniczyłyby się do budowy drewnianego pawilonu, przeznaczonego z początku na 20 chorych, i kupna jaknajskromniejszego wyekwipowania szpitalnego. Opieka lekarska i administracyjna byłyby sprawowane przez Dyrekcję i lekarzy Zakładu w Świacku. Stworzenie takiej kolonji pracy jest poprostu koniecznością. W ciągu niedługiego czasu istnienia Świacka kancelarja Zakładu otrzymała około 100 zgłoszeń ludzi, którzy chcą się leczyć, a nie mogą płacić za leczenie. Lecznictwo nałogowców musi zamykać się w pewnego rodzaju kręgu, którego poszczególnemi ogniwami są: przychodnie, zakłady lecznicze w typie Świacka, czy Gościejewa, zakłady pracy przymusowej i wreszcie zakłady psychjatryczne. Kolonje pracy, projektowane przez sen. Iżyckiego, jako nie mające charakteru leczniczego, byłyby, — jak to już mówca wspomniał w swoim referacie — przeznaczone jedynie dla ludzi uspołecznionych, zasługujących na zaufanie i nie mogących znaleźć pracy w normalnem życiu. Dyr. Zajączkowski podkreśla, że nieraz spotykał się ze zdaniem, że leczenie alkoholików i narkomanów w Świacku, gdzie zapewnia się im dobre warunki egzystencji, jest czemś niemoralnem wobec rozpaczliwych warunków, w jakich znajdują się niejednokrotnie ludzie nieobarczeni nałogiem. Takie stanowisko nie jest pozbawione pewnej dozy słuszności, gdyż niekiedy w ten sposób jakoby premjuje się aspołeczne jednostki za ich aspołeczne postępowanie. Tego momentu uniknęłoby się przez utworzenie zakładów leczniczych, w których koszta leczenia byłyby w znacznej mierze pokrywane z owoców pracy pacjentów. W Świacku, poza jednostkami względnie uspołecznionemi, mogliby się leczyć ci ludzie, którzy położyli jakieś wyjątkowe zasługi dla Państwa i społeczeństwa i z tego tytułu zasługują na wyróżnienie i leczenie na koszt Państwa, oraz ci, którzy koszta kuracji pokrywają z własnych funduszów.

MINISTER DR. W. CHODŹKO popiera wnioski, sformułowane przez dyr. Zajączkowskiego.

DR. ST. STYPUŁKOWSKI zaznacza, że pogląd, wyrażony przez dyr. Zajączkowskiego, o stopniowaniu metod leczniczo-wychowawczych, o zamknięciu opieki i lecznictwa nałogowców w kręgu instytucyj zróżnicowanych w zależności od nasilenia stanu chorobowego ludzi, którymi dane instytucje mają się zajmować, i o podstawowem znaczeniu leczenia przychodnianego, są zupełnie słuszne. Ponieważ przychodni mamy bardzo mało, zakłady są przepełnione ciężkiemi postaciami chorobowemi i dlatego wyniki leczenia nie są zadawalające. Dziewięcioletni okres istnienia przychodni w Mokotowie pozwala ustalić, że leczenie przychodniane daje około 46 procent dodatnich wyników, co należy uważać za cyfrę bardzo wysoką. Dzięki racjonalnej opiece osiąga się poprawę nawet w przypadkach bardzo ciężkich i zadawnionych. Jeżeli chodzi o zakłady pracy przymusowej,

to należałoby najpierw opracować i przeprowadzić odpowiednią ustawę, pozwalającą na przymusowe internowanie i leczenie nałogowców. Realizacja takiej ustawy wydaje się mówcy czemś bardzo trudnem.

KS. GAŁDYŃSKI zaznacza, że istniejące przepisy prawa dają podstawę do utworzenia zakładów pracy dobrowolnej i przymusowej, oraz pozwalają na internowanie osób, które zagrażają porządkowi społecznemu i wymagają leczenia w specjalnych zakładach. (Mówca ma na myśli rozdział XII k. p. k. o środkach zabezpieczających, a w pierwszym rzędzie art. 82 i 83). Opieka rodzinna nad alkoholikami wydaje się mówcy sprawą niebezpieczną, gdyż znany jest demoralizujący wpływ alkoholików na otoczenie. Tego rodzaju chorych należałoby osiedlać na wsi, gdyż wpływ wielkich skupisk miejskich jest szkodliwy. Powinno się rozszerzyć sieć poradni społecznych, które mogą się obyć bez lekarza. W tej sprawie wskazana jest jaknajdalej idąca decentralizacja. W Poznaniu zdołano nawiązać kontakt z władzami bezpieczeństwa publicznego i ze starostwem grodzkiem, które raz na miesiąc przysyła przychodni listę tych, którzy byli karani administracyjnie za wykroczenia, związane z użyciem alkoholu. Mówca uważa, że kary pieniężne, nakładane za wykroczenia, popełnione w stanie upojenia alkoholem, powinny być skasowane, gdyż przedewszystkiem dotykają boleśnie rodzinę skazanego; w wypadkach takich wykroczeń powinna być stosowana kara bezwzględnego aresztu.

DYR. DR. ST. DERESZ zwraca uwagę na to, że używanie terminu „alkoholicy nieuleczalni". jest niewłaściwe, jak to zauważył już dyr. Zajączkowski. Utworzenie kolonji, projektowanych przez sen. Iżyckiego, nie powinno obciążać budżetu Państwa. Zresztą, jest to pomysł zupełnie oderwany od życia, nie rokujący dobrze na przyszłość i poprostu niemoralny, gdyż jest wielu ludzi o nieskazitelnej przeszłości, zdrowych i wysokowartościowych społecznie, nie mogących zarobić na najbardziej prymitywną egzystencję. Plan opieki i leczenia nałogowców powstaje dopiero teraz, gdy już mamy dwa specjalne zakłady, które kosztowały Państwo wiele pieniędzy; tymczasem powinno się najpierw opracować plan, a później przystępować do budowania zakładów. Mówca jest wogóle przeciwny leczeniu zakładowemu i odnosi się bardzo sceptycznie wobec dotychczasowych osiągnięć i metod leczenia nałogowców. Leczyć się powinno ambulatoryjnie. Zakłady psychjatryczne będą się broniły przeciwko zapełnianiu ich elementem psychopatycznym, który wnosi do życia zakładowego pierwiastek dezorganizacji i anarchji. Praca przymusowa dla jednostek asocjalnych i leczenie ambulatoryjne przy zakładach psychjatrycznych — to jest zasada racjonalnego lecznictwa. Świack — jako zakład luksusowy — może być przeznaczony jedynie dla osób opłacających koszta kuracji z własnych funduszów. Słusznie zauważył dyr. Zajączkowski, że istnieje konieczność stosowania rygorów wobec narkomanów i przestępców psychopatycznych, jednostek asocjalnych i niechcących pracować. Musi być stworzona sieć zakładów pracy przymusowej, w których należy internować takich ludzi. Opieka pozazakładowa powinna być w stałym kontakcie z zakładem psychjatrycznym. Jeżeli chodzi o przymusowe internowanie, to obowiązujący kodeks postępowania karnego daje w tym kierunku duże możliwości. (Mówca ma na myśli art. 250 k.p.k. Rozdział XXXVI.). Ważną jest rzeczą, żeby przedwcześnie nie umieszczać chorych w zakładzie, a póki tylko można, leczyć ich ambulatoryj-

nie. Jeżeli się chce, żeby walka z alkoholizmem i lecznictwo nałogowców stanęło na odpowiednim poziomie, należy dążyć do uświadomienia ogółu lekarzy o istocie alkoholizmu, gdyż ogół ten wykazuje zupełną ignorancję, jeżeli o te sprawy chodzi.

DYR. DEP. DR. J. ADAMSKI zaznacza, że nałogowcami już uleczonymi nie możemy interesować się w tym stopniu, w jakim interesujemy się tymi, którzy trwają w nałogu i wymagają leczenia. My zajmujemy się w pierwszym rzędzie sprawą lecznictwa; — zajmowanie się uleczonymi należy do działu opieki społecznej, której przedstawicielem mógłby być p. dyr. Zajączkowski. Jeżeli inicjatywa wychodzi od nas, to poprostu dlatego, że jesteśmy w tej dziedzinie organem najbardziej kompetentnym, ale realizacją projektów, przez nas wysuwanych, muszą się zająć instytucje opieki społecznej. O ile żąda się przymusowego leczenia nałogowców, nie można wówczas mówić o nałogowcach nieuleczalnych, gdyż leczenie ludzi nieuleczalnych oczywiście nie byłoby celowe. Możemy natomiast wyróżnić lekkie i ciężkie postaci chorobowe i chorych tej drugiej kategorji umieszczać w zakładach pracy przymusowej. Opracowanie i wprowadzenie w życie prawa o przymusie leczenie jest rzeczą pierwszorzędnej wagi. Należałoby pomyśleć również o ustawowem zwalczaniu alkoholizmu, gdyż dotąd mamy jedynie zapobiegawczą Ustawę przeciwalkoholową. Ustawa, która obecnie obowiązuje, wprowadzając ograniczenia sprzedaży i wyszynku napojów alkoholowych, nie ustanawia takich przepisów, któreby np. wprowadzały nauczanie alkohologji w szkołach wszelkiego typu, określały sposoby leczenia nałogowców i t. p., jednem słowem nie jest wystarczająca, gdyż nie określa ustawowo aktywnych form walki z alkoholizmem.

SEN. AL. IŻYCKI podaje, że dyr. Zajączkowski zachęcał Tow. „Trzeźwość" do zajęcia się uleczonymi nałogowcami, podkreślając fakt, że jest to niejednokrotnie pierwszorzędny materjał ludzki, o dużej zdolności do uspołeczniania się. Towarzystwo nasze sporadycznie dopomagało niektórym z tych, którzy opuścili Świack w stanie znacznej poprawy i byli polecani przez dyr. Zajączkowskiego, ale funduszami, któreby pozwoliły na systematyczną opiekę, Towarzystwo nasze nie rozporządza. Kilkuletnie doświadczenie pouczyło nas, że Zakład opuszczają często jednostki, zasługujące na pomoc, chcące pracować, byleby tylko dostarczono im jakąkolwiek pracę, dającą możność utrzymania się na powierzchni życia. Dlatego wysunęliśmy projekt stworzenia kolonji pracy dla uleczonych nałogowców, ujęty w poniższe wnioski:

Sekcja do walki z alkoholizmem Państwowej Naczelnej Rady Zdrowia uważa za niezbędne:

1. rozwinięcie lecznictwa dla nałogowców w tym kierunku, aby przy istniejących już Państwowych Zakładach Leczniczych w Świacku i Gościejewie utworzone zostały Zakłady dla uleczonych pacjentów, nie mogących jeszcze wrócić do tych warunków życia, w których rozwinęła się ich choroba. Zakłady te, zajmując ekspacjentów realną i produktywną pracą, mają przygotować ich do normalnego życia.

2. zorganizowanie specjalnych kolonij pracy dla tych ekspacjentów, którzy po przebyciu praktyki przygotowawczej w wyżej projektowanych zakładach, chcieliby oddać się pracy samodzielnej w nowym zdobytym przez nich zawodzie, czy to na stałe, czy to na pewien okres cza-

su. (Dla grupy chorych, którzy rokują niepomyślnie, nie należy tworzyć specjalnych zakładów, gdyż skoncentrowanie większej liczby tego rodzaju chorych w jednem miejscu przedstawiałoby duże trudności administracyjne i wytwarzałoby dla nich niezmiernie trudne warunki współżycia. Takich chorych należy lokować w większych zakładach psychjatrycznych).

DOC. DR. WŁ. STERLING jest zaskoczony niektóremi momentami dyskusji. Jak dotąd, mówca przypuszczał, że leczenie nałogowców w pierwszym rzędzie powinno być przeprowadzane w specjalnych zakładach leczniczych. Gdy zakłady takie powstały w Świacku i Gościejewie, cieszył się, że lecznictwo nałogowców weszło na właściwe tory. Tymczasem słyszy obecnie o niecelowości takich zakładów, o tem, że są one niepotrzebne, nawet wręcz szkodliwe. Mimo to, mówca pozostaje przy swoim poglądzie na te sprawy, podzielanym przez ogół lekarzy specjalistów, który z selekcyjnego punktu widzenia pozwala podzielić materjał ludzki, wymagający leczenia, na trzy grupy: 1. przypadki lekkie, 2. średnio-ciężkie i 3. ciężkie. Chorzy należący do pierwszej grupy mogą być leczeni ambulatoryjnie, chociaż mówca nie zapatruje się na ten sposób leczenia tak optymistycznie jak dyr. Deresz. Grupa druga należy do specjalnych zakładów leczniczych, których winno być jaknajwięcej, grupę trzecią, w skład której wchodzą ludzie dotknięci zdecydowaną psychozą, pozostawia się zakładom psychjatrycznym. Największy wysiłek powinien być zwrócony w kierunku rozwoju Świacka i Gościejewa. Piękną i społecznie korzystną jest myśl utworzenia ferm rolniczo-ogrodniczych, o jakich mówi przedstawiony na posiedzeniu dzisiejszem projekt. Takie rzeczy w Ameryce przeprowadza się na wielką skalę. Fermy, projektowane przez sen. Iżyckiego, nosiłyby charakter opiekuńczy, te zaś, którym był poświęcony referat dyr. Neczaj-Hruzewicza, byłyby zakładami leczniczo-wychowawczemi. Mówca jeszcze raz podkreśla konieczność jaknajtroskliwszego dbania o rozwój Świacka i Gościejewa, jako zakładów, około których powinno ogniskować się lecznictwo i opieka nad nałogowcami.

DYR. DR. J. NECZAJ-HRUZEWICZ w odpowiedzi dyr. Zajączkowskiemu zaznacza, że i on widzi konieczność umieszczania chorych z wyraźnemi psychozami w zakładach psychjatrycznych, ale nie może się zgodzić stem, żeby jakiekolwiek względy wychowawcze usprawiedliwiały umieszczanie jednostek aspołecznych, psychopatycznych i opornych w tego rodzaju zakładach. Zetknięcie się ich z osobnikami, cierpiącymi na psychozę, może w swoich skutkach stać się wyraźnie niekorzystne dla wyniku kuracji. Pozatem, mówca nie wyobraża sobie fermy, przeznaczonej nawet dla ludzi wyleczonych, bez opieki lekarskiej. O ile nie byłoby lekarza stale w fermie, to przynajmniej musiałby co pewien czas dojeżdżać. Sprawę opieki lekarskiej ułatwiłoby umieszczenie takiej fermy w okolicy Świacka. Jeżeli chodzi o sprawę przymusowego leczenia, to najpierw trzeba oświetlić prawne podstawy takiego postępowania, oraz opracować projekt odpowiedniej ustawy.

DYR. DR. ST. DERESZ wypowiada się przeciwko stanowisku, zajętemu przez doc. Sterlinga. Uważa, że leczenie ambulatoryjne musi być podstawą leczenia. Mówca stwierdza, że, prowadząc przychodnię w Białymstoku, tylko w bardzo nielicznych przypadkach musiał uciekać się do pomocy zakładu psychjatrycznego.

PREZES K. KALINOWSKI wyraża p. dyrektorowi Departamentu dr. J. Adamskiemu głęboką wdzięczność za wysunięcie projektu opracowania ustawy do zwalczania alkoholizmu.

DYR. DR. H. ZAJĄCZKOWSKI stwierdza, że bynajmniej nie kwestjonuje celowości leczenia przychodnianego. Przeciwnie, zarówno z jego referatu, jak i z przedstawionych Radzie wniosków, jasno wynika, że leczenie przychodniane uważa za podstawę leczenia w początkowych stanach nałogu. Nie znaczy to jednak, żeby specjalne zakłady lecznicze nie miały racji bytu. Jest to rzecz tak oczywista, że wszelkie dowodzenia mówca uważa za zbędne. Luksus w Świacku, o którym tak często się mówi, jest jedynie fikcją. Pokoje pacjentów są skromne, aparatura lecznicza, pozatem, że jest przystosowana do wymogów wiedzy lekarskiej, nie przedstawia nic nadzwyczajnego. Legenda o luksusie powstała prawdopodobnie dlatego, że Świack był niegdyś rezydencją magnacką. Ale, według mówcy, tkwi w tem nie moment demoralizujący, a jedynie pewna kształcąca wzniosłość, że pałac, który stał ruiną, a w najlepszym razie byłby odnowionym zabytkiem, został ofiarowany przez Państwo celom użyteczności publicznej. Operowanie argumentem o jednostkach rzekomo wysokowartościowych, które nie mogą zapewnić sobie najprymitywniejszej egzystencji, i w wygrywaniu tego argumentu przeciwko leczeniu nałogowców w warunkach określonych zasadami higjeny, które nazywa się luksusem, mówca dopatruje się zdecydowanej przesady. Stwierdzenie faktu, że jednostka przez dłuższy czas nie może znaleźć miejsca w życiu społecznem i nie potrafi zapewnić sobie możliwości względnie normalnego trwania, przemawia chyba przeciwko przyznawaniu takiej jednostce jakichś specjalnych walorów. Człowieka, któremu życie nastręcza trudności niedopokonania w zakresie spraw, które olbrzymia większość ludzi rozwiązuje w sposób mniej więcej korzystny, właśnie można uważać — pomijając rzadkie przypadki, nie mogące prowadzić do uogólnień — za jednostkę niepełnowartościową zarówno z lekarskiego, jak i społecznego punktu widzenia. „Nieskazitelna przeszłość" — aczkolwiek jest to rzecz niewątpliwie szacowna — nie stanowi sama przez się o wartości indywiduum i również nie może być wygrywana jako argument, godzący w celowość leczenia nałogowców, a więc ludzi o „skalanej" przeszłości, w specjalnych zakładach, nie noszących charakteru obozów karnych. Pogląd, wyrażony przez dyr. Neczaj-Hruzewicza, o konieczności roztoczenia opieki lekarskiej nad fermami, projektowanemi przez sen. Iżyckiego, nie jest usprawiedliwiony żadną istotną koniecznością. Fermy te — jak to już niejednokrotnie podnoszono — mają być przeznaczone dla ludzi o mocno zarysowanym ideale osobowości, uspołecznionych i pogodzonych z rzeczywistością w takim stopniu, że prawdopodobieństwo załamań się nie byłoby u nich większe, niż u normalnych ludzi, nie mających za sobą nałogu. Powierzanie uleczonego nałogowca stałej i specjalnej opiece lekarskiej jest niecelowe w pierwszym rzędzie dlatego, że — jak dyr. Neczaj-Hruzewicz mówił niedawno — „ideałem lecznictwa nie jest utrzymanie pacjenta w warunkach wykluczających szkodliwe wpływy życia, ale właśnie przysposobienie go do zwycięskiego opierania się tym wpływom". W zakładzie leczniczym przekształcamy jednostkę chorą w tym stopniu, żeby nie potrzebowała żadnych sztucznych podpórek, żadnej specjalnej

opieki. Niemogącym znaleźć pracy trzeba dać pracę, ale do ośrodków pracy zarobkowej nie należy wprowadzać atmosfery zakładu leczniczego.

RED. J. SZYMAŃSKI stwierdza, że w dyskusji poruszono szereg spraw, które bezpośrednio nie wiązały się z treścią wygłoszonych referatów, co wymownie świadczy o wielkiej rozpiętości interesującego nas zagadnienia. Z tych spraw kwestja przymusowego leczenia jest chyba jedną z najbardziej palących i dlatego należałoby ją konkretnie omówić. Są takie choroby psychiczne, które nie tylko pozwalają na ubezwłasnowolnienie i internowanie chorego w zakładzie, ale poprostu nakładają na właściwe władze obowiązek przymusowego internowania i leczenia danego osobnika. Jeśli chodzi o alkoholików, to sytuacja przedstawia się wręcz paradoksalnie. Rodzinie takiego chorego, gnębionej i tyranizowanej przez niego, prawo nie daje żadnej opieki, gdyż podstawą prawną, która pozwala na ustawową interwencję, jest dopiero popełnienie przez danego osobnika czynu karalnego. Prasa przynosi nam codziennie opisy tragicznych wypadków, których możnaby było uniknąć, gdyby samo rozpoznanie alkoholizmu u danej jednostki pozwalało na przymusowe poddanie jej leczeniu. Wiemy, że art. 250 k.p.k., z którym niektórzy mówcy wiążą tak wielkie nadzieje, jak dotąd, nie spełnia ich nawet w drobnej części. Prawnicy mogliby nam chyba wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje. Projekt wprowadzenia przepisu o przymusowem leczeniu nałogowców, referowany w Komisji Sejmowej przez ś. p. prof. Radziwiłłowicza, z dniem każdym staje się coraz bardziej aktualny i w imię najżywotniejszych interesów Państwa i społeczeństwa domaga się realizacji. Zarzuty, stawiane lecznictwu zakładowemu, nie są przekonywujące, tembardziej, że plan pracy, prowadzonej przez Naczelne Władze Sanitarne, pokrywa się z poglądami, wypowiedzianemi przed chwilą przez p. dyr. Deresza. Przecież najpierw otwarto szereg przychodni, gdyż do leczenia ambulatoryjnego przywiązuje się wielką wagę, szczególnie ze względów profilaktycznych, później powołano do życia dwa specjalne Zakłady lecznicze w Świacku i Gościejewie. Przeprowadza się w ten sposób plan nakreślony przez b. Ministerstwo Zdrowia Publicznego, a nie realizuje szereg bezplanowych projektów, jak twierdzi p. dyr. Deresz. żaden z mówców, zabierających głos w dyskusji, nie przedstawił nam nowych i nieznanych metod leczenia, wobec czego należy uważać, że plan opieki i lecznictwa nałogowców, realizowany przez Naczelne Władze Sanitarne, jest słuszny i zgodny z wymaganiami współczesnej wiedzy lekarskiej, o czem wymownie przekonało nas przemówienie p. doc. Sterlinga. Jeżeli akcja Naczelnych Władz Sanitarnych nie daje rezultatów, któreby w zupełności nas zadawalały, to przyczynia się do tego — jak to słusznie p. dyr. Deresz zauważył — niepopularność tych spraw w społeczeństwie, a w pierwszym rzędzie wśród ogółu lekarzy. Jest rzeczą wysoce charakterystyczną, że na Kursach alkohologji, urządzanych przy poparciu Departamentu Służby Zdrowia, lekarzy spotyka się bardzo mało. Zakłady specjalne, poza ich olbrzymiem znaczeniem leczniczem, są poprostu pewnego rodzaju szkołą dla społeczeństwa, szerzą bowiem zrozumienie dla zagadnienia alkoholizmu i popularyzują je w stopniu bardzo znacznym. Wystarczy tutaj wspomnieć żywe zainteresowanie, jakie prasa codzienna okazała Świackowi. Twierdzenie, że Zakład w Świacku zapewnia swoim pacjentom warunki luksusowe, nie jest słuszne, co mówca miał możność stwier-

dzić podczas kilkakrotnego wizytowania Zakładu. Przeciwko takiemu twierdzeniu wymownie przemawia fakt, że ludzie przyzwyczajeni do komfortu i mogący sobie na ten komfort pozwolić, wyjeżdżają na kurację do sanatorjów zagranicznych, wywożąc z kraju pieniądze. Powinniśmy żałować, że nie ma u nas takich zakładów, w których leczyliby się ludzie umiejący ocenić istotny luksus i wymagający tego luksusu. Mówca miał możność stwierdzić, że nie tylko na zebraniach w ściśle lekarskiem gronie, ale i podczas wystąpień publicznych mówi się o luksusie w Świacku, co może przynieść szkodę Zakładowi. Należy na przyszłość unikać tego rodzaju wystąpień, ze względu na dobro lecznictwa nałogowców w Polsce. Jeżeli leczymy nędzarza chorego na gruźlicę, to nikomu na myśl nie przyjdzie, że należy leczyć go w warunkach, do których się przyzwyczaił, a więc w jakiejś wilgotnej i brudnej suterynie. Przeciwnie, dajemy mu dużo słońca i powietrza, jasne, przestronne pokoje i to wszystko, co współczesna wiedza lekarska stworzyła w walce z chorobą. Tak samo alkoholika nie możemy leczyć w atmosferze nędzy i ostatecznego nieszczęścia, chociaż żył w tej atmosferze i do niej się przyzwyczaił, a dajemy mu normalne ludzkie warunki egzystencji, nie dopatrując się w tem momentu demoralizacji, przeciwnie, w zapewnieniu mu higjenicznych i zdrowych warunków widzimy pozytywnie kształcący czynnik wychowawczy, budzący w nim pragnienie zapewnienia sobie możności ludzkiego bytowania po opuszczeniu zakładu i zrozumienie tego faktu, że osiągnąć to wszystko będzie mógł dopiero po zupełnem wyrzeczeniu się alkoholu, czy innego narkotyku. Świack swoim pacjentom daje jedynie takie higjeniczne i zdrowe warunki, nie mające nic wspólnego z luksusem. Mówca zaznacza, że nie możemy liczyć się z uprzedzeniami niektórych dyrektorów zakładów psychjatrycznych, którzy nastawiają się wrogo wobec przyjmowania pewnych kategoryj chorych; o ile wskazania lekarsko-społeczne będą przemawiały za czasowem umieszczaniem takich chorych w zakładzie psychjatrycznym, dyrektorzy będą musieli ich przyjmować, bez względu na swoje osobiste uprzedzenia. W walce z alkoholizmem, którą Naczelne Władze Sanitarne prowadzą niestrudzenie, mimo bierności ogółu i milczenia opinji publicznej — (w ostatnich latach ta sprawa przedstawia się odrobinę pomyślniej) — rzeczą pierwszorzędnej wagi jest propaganda, zakrojona na jaknajszerszą skalę, uświadamianie społeczeństwa o konieczności wczesnego leczenia nałogu i—w związku stem—rozszerzanie sieci przychodni przeciwalkoholowych. Opracowanie i ewentualne wprowadzenie w życie ustawy o zwalczaniu alkoholizmu — zgodnie z projektem p. dyr. Adamskiego —byłoby olbrzymim, dobroczynnym w skutkach krokiem naprzód w trudnej i pełnej przeszkód walce z alkoholizmem.

DYR. DR. ST. DERESZ wyjaśnia, że mówiąc o luksusie i demoralizującym wpływie leczenia zakładowego, nie miał jedynie na myśli Świacka i Gościejewa. Świack i Gościejewo są oczywiście potrzebne, jako specjalne zakłady lecznicze. Warunki leczenia w Choroszczy są również luksusowe, jeżeli będziemy mierzyli luksus skalą potrzeb ludzi przeważnie zupełnie biednych, niekulturalnych, zdemoralizowanych, pogrążonych w nałogu i normalnie żyjących w warunkach wręcz opłakanych i urągających najbardziej podstawowym zasadom higjeny.

DYR. DEP. DR. J. ADAMSKI proponuje powierzyć wnioski, przed-

stawione Sekcji do walki z alkoholizmem P.N.R.Z., do rozpatrzenia specjalnej komisji, mającej obradować pod przewodnictwem red. Szymańskiego. W skład komisji wejdą: doc. Sterling i dr. Stypułkowski z prawem kooptacji. Co do wniosku mówcy w sprawie stworzenia ustawy do zwalczania alkoholizmu, to opracowaniem takiej ustawy powinno się zająć Tow. „Trzeźwość", wyłaniając specjalną komisję.

Po przyjęciu powyższych wniosków, p. dyr. Adamski zamknął posiedzenie.

Michał Klimowicz.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES KOLEJOWCÓW PRZECIWNIKÓW ALKOHOLU.

W Wiedniu 3 — 4 września 1935.

(Sprawozdanie).

Kongres ten wywołał tak wielkie zainteresowanie, że delegacje przybyły prawie ze wszystkich państw europejskich (z wyjątkiem Sowietów), w ogólnej liczbie około 500 osób.

Szczególnie licznie stawiły się grupy krajowe: Szwajcarska, Francuska, Węgierska, Polska i Czechosłowacka.

Ten wielki Zjazd kolejowców przeciwników alkoholu był właściwie świetnym sukcesem wieloletniej pracy społeczno-organizacyjnej niestrudzonego Prezesa Związku Międzynarodowego kolejowców przeciwników alkoholu, p. Karola Webera z Zurichu, który otworzył Kongres wstępnem przemówieniem; na przewodniczącego Kongresu powołany został p. dr. Bekesz z Wiednia, honorowy członek Związku. Wśród licznych telegramów powitalnych zwrócił uwagę telegram p. Wiceministra P.K.P. inż. Aleksandra Bobkowskiego. Liczni delegaci poszczególnych grup składali życzenia Zjazdowi.

Polska delegacja sprawiła niespodziankę, wręczając Prezesowi Związku, p. Karolowi Weberowi dyplom członka honorowego Abstynenckiej Ligi Kolejowców, nadany p. Weberowi w czasie pobytu jego w Warszawie na Zjeździe delegatów Kół A. L. K. dn. 3 lutego b. r.

W pierwszym dniu obrad dr. Aleksander Csia, naczelny lekarz Kolei węgierskich, prezes węgierskiego Związku kolejowców abstynentów, wygłosił referat, w którym scharakteryzował trudności walki z alkoholizmem na kolejach węgierskich, gdyż: „na Węgrzech wino jest tańsze od wody".

Po południu uczestnicy Kongresu zwiedzali autokarami, lub tramwajami miasto, wieczorem byli w Praterze.

W drugim dniu obrady delegatów odbywały się w sali konferencyjnej Generalnej Dyrekcji Austrjackich kolei związkowych. Na posiedzeniu tem Generalny Sekretarz zawiadomił obecnych, że do Międzynarodowego Związku zgłosiło przystąpienie stowarzyszenie abstynentów kolejowców Południowej Afryki.

Po sprawozdaniach na Prezesa Związku wybrany został ponownie p. Karol Weber, na Sekretarza Generalnego również ponownie p. Van der Horst z Holandji, na skarbnika p. Otto König ze Szwajcarji.

Na zaproszenie Rządu szwedzkiego następny Kongres Kolejowców przeciwników alkoholu odbędzie się w Szwecji w r. 1937. — Jednocześnie zapadła doniosła dla nas uchwała, a mianowicie, że Międzynarodowy Kongres Kolejowców przeciwników alkoholu odbędzie się bezpośrednio po Międzynarodowym Kongresie Przeciwalkoholowym w Warszawie, podczas którego ma się też odbyć Zjazd Delegatów Abstynenckiej Ligi Kolejowców; po skończonym Kongresie w Warszawie uczestnicy jego kolejowcy udadzą się bezpośrednio na swój Kongres do Szwecji.

Bardzo ciekawy referat wygłosił delegat niemiecki p. nadinspektor Kopp: „O bezfermentacyjnych przetworach owocowych t. zw. owocach płynnych“.

Po południu goście zwiedzili Targi techniczne, których otwarcie odbyło się jednocześnie z naszym Kongresem. Wieczorem wygłoszono szereg referatów, mówili m. i.: dr. Bekesz z Wiednia, naczelny lekarz kolejowy, dr. Dobrodolacz z Belgradu, nadinspektor Brüschweiler z Berna i prezes francuskiego Związku kolejowców przeciwników alkoholu p. Beauschamps.

Dn. 5 września udali się uczestnicy Kongresu specjalnym pociągiem do zamku w Melk nad Dunajem, skąd pięciogodzinną podróż powrotną odbyto statkiem po Dunaju, który w tych okolicach płynie wśród niewielkich gór, pokrytych licznemi ruinami starych zamków, tworząc wprost cudne krajobrazy.

Wieczorem tego dnia odbył się pożegnalny bankiet, połączony z częścią koncertową.

Większość delegacji polskiej odbyła również wycieczkę koleją w najpiękniejsze strony Austrji — do Salzburga. Wycieczka ta odbyła się ku ogólnemu zadowoleniu uczestników.

Na czele polskiej delegacji stał Prezes Zarządu Gł. A. L. K., p. Dr. J. Notz ze Lwowa.

Zaznaczyć jeszcze należy, że Kongres wypadł jaknajlepiej i panował na nim nastrój nader serdeczny.

Leokadja Bystrzejewska.

WIEŚCI ZE ŚWIACKA.

Przygotowań było bardzo dużo. Trzeba było wiele pieniędzy, wiele pracy i maksimum zrozumienia dla spraw nie cieszących się popularnością, żeby dn. 20 października 1933 r. mogło nastąpić otwarcie sanatorjum, jedynego w Polsce i jednego z najpiękniejszych w Europie. Pałac w Świacku, dawniej wielkopańska rezydencja, a jeszcze kilka lat temu żałosny obraz zupełnej ruiny, odzyskał wygląd z czasów swojej świetności, ulegając tylko niewielkim zmianom w ramach określonych nowem przeznaczeniem. Niezwykłą urodę ówczesnego stylu, nieskarzonego jeszcze wpływami baroku, jego magnackie umiarkowanie w szafowaniu miejscem, które dziś nazwalibyśmy rozrzutnością, potrafiono pogodzić z wskazaniami owego przeznaczenia, które z zabytku, mogącego liczyć — zdawałoby się — jedynie na pamięć historyków sztuki, uczyniło ośrodek całego zespołu spraw, wyrosłych z najżywszej aktualności. Sprawy te, dokonywujące się najczęściej poza świadomością szerokich warstw społecz-

nych, czasami tylko narzucające się uwadze ogólnej jakimś głośniejszym procesem, wyrokiem sądowym, nieoczekiwaną śmiercią, bankructwem, które pociąga za sobą poważniejsze konsekwencje gospodarcze, — nie obciążają zbyt długo pamięci ludzkiej, a zainteresowanie, które budzą, nie obejmuje okresu poprzedzającego katastrofę, nie wybiega poza anegdotyczne perypetje iluś tam wykolejonych ludzi, ani nie towarzyszy ich późniejszym losom. Ten los późniejszy — to już jest historja Świacka.

Ostatni raz byłem w Świacku w lutym b. r. Od tego czasu upłynęły cztery miesiące, przynosząc z sobą szereg zmian w wyglądzie Zakładu. Przed pałacem zazielenił się równo przystrzyżony trawnik, ujęty w półkola szerokich podjazdów, a pod oknami zbiegły się kwiaty biało, różowo i niebiesko. Zabytkowa kapliczka, której gotyckiemu sklepieniu groziła nieuchronna ruina jest już odnowiona i uśmiecha się spomiędzy drzew białemi ścianami. Jest to w znacznym stopniu zasługa p. Augusta Waydy, który nie tylko zainicjował pracę nad odbudową kaplicy i doprowadził ją do końca, ale wyłożył na ten cel sporo własnych pieniędzy. Kort tenisowy i boisko do siatkówki zajmuje tereny niedawno jeszcze zarzucone gruzem i resztkami jakichś zabudowań gospodarskich, a roboty meljoracyjne i prace nad przeprowadzeniem planu oczyszczenia parku postępują naprzód. Krótki spacer po terenie Zakładu i gospodarstwa wiejskiego pokazuje nam, jak nieomal z każdym dniem ulepszają tutaj metody pracy, jak ją organizują i nadają jej ten rytm spokojny, którym płynie się zwykle ku najlepszej przyszłości.

Ale po kilku dniach pobytu w Zakładzie sprawy zewnętrzne schodzą na plan dalszy, a całą uwagę obserwatora zajmuje wewnętrzne życie Zakładu, trudne do uchwycenia w swoich cechach istotnych i bezwzględnie wymykające się uproszczonym sądom. Uleganie szablonowym ocenom sprawiło, że jak dotąd, jedynie w „Kurjerze Porannym“ ukazały się dwa reportaże ze Świacka, pisane przez p. Mirę Parzyńską, które czyniły zadość poczuciu rzeczywistości. Pozatem, czytało się rzeczy wręcz fantastyczne. Miałem sposobność obserwowania kilku dziennikarzy, którzy pisali o Świacku i widziałem, jak życie tutejsze zupełnie ich wymijało, jak gubili się w małoważnych szczegółach, grzęźli w pozorach, które utrudniały im uchwycenie spraw istotnych. Taką istotną cechą tutejszego życia, na którą nikt ze sprawozdawców nie zwrócił uwagi, jest jego wybitnie s p o ł e c z n y charakter.

Wyrazem zbiorowej woli pacjentów zaprawiania się w sztuce życia społecznego, jest założenie i świetny rozwój Towarzystwa Przyjaciół Świacka. Projekt wysunął p. dyrektor Zajączkowski jeszcze w Gościejewie — w Świacku został zrealizowany i dzisiaj, po blisko dwuletniem istnieniu Towarzystwa, widzi się pozytywne rezultaty jego działalności. Zadania Towarzystwa, poza udzielaniem materjalnej pomocy tym pacjentom, którzy opuścili Zakład w stanie zdrowia, a nie mogą znaleźć pracy, zostały określone przez p. dyrektora Zajączkowskiego na zebraniu konstytucyjnem w sposób następujący (cytuję według protokółu obrad):

„Naczelnem zadaniem Towarzystwa, jako zgromadzenia pewnej ilości ludzi na wspólnej płaszczyźnie życiowych zainteresowań i dążeń, jest wyrobienie w jego członkach tych dyspozycyj psychicznych, które potrafią umożliwić im późniejszą racjonalną i społecznie twórczą egzystencję. Dotychczasowe życie obecnych pacjentów Zakładu płynęło pod zna-

kiem irracjonalnych poczynań i wybujałego egotyzmu. Konflikty wewnętrzne, jako zasadnicza przyczyna nałogu i konflikty ze społeczeństwem, jako jego skutek, — oto, co w większości wypadków przyczyniło się do zaniku instynktów kolektywnych. Jeżeli zasadniczym momentem pracy lekarza jest ustanowienie w psychice pacjenta pewnych zespołów, zabarwionych uczuciem niechęci i wstrętu do alkoholu czy narkotyku, to wychowawcze działanie Towarzystwa będzie polegało na pomocy w odnalezieniu tych zagubionych spoideł, które winny łączyć jednostkę z rytmem życia zbiorowego. Życie panów, rozbite na szereg drobnych usiłowań, niepowiązanych żadną ideą kierującą, zagubione w ciężkich konfliktach, egocentryczne, obracające się około spraw najbardziej osobistych, nauczy się podporządkowywać ogólniejszym celom. Ukażą się przed panami zadania, którym będą się musieli panowie poświęcić dla wspólnej korzyści. Czasem będzie to związane z rezygnacją z jakichś osobistych zamierzeń, ale prędko zobaczą panowie, że taka rezygnacja może dać wiele zadowolenia. Nauczą się panowie społecznie myśleć o dobru własnem, a to jest takie myślenie, które nie pozwala widzieć siebie w oderwaniu od zbiorowości i które każe własne pragnienia realizować w granicach, zakreślonych przez słuszne rozumienie ogólnego dobra. Wierzę mocno, że jeżeli panowie potrafią żyć społecznie w szczupłych ramach egzystencji zakładowej, życie, które panów czeka, nie będzie ciężarem niedoudźwignięcia. Wpadną panowie w tempo życia zbiorowego, wrosną w nie i przestaną się czuć samotni. Życzę panom tego najgoręcej i tem życzeniem zamykam pierwsze konstytucyjne zebranie Towarzystwa Przyjaciół Świacka".

Jeżeli w sprawozdaniu, które ma objąć ostatnie miesiące życia w Świacku, poruszam sprawy tak odległe, to dlatego, że wiele rzeczy, które się tutaj widzi, można ocenić i zrozumieć jedynie w świetle działalności Towarzystwa. Wzajemna solidarność pacjentów, która tak często zwraca się przeciwko zakładowi, tutaj obejmuje sobą Zakład i stwarza jedyną w swoim rodzaju wspólnotę, zdumiewającą poprostu, jeżeli się weźmie pod uwagę olbrzymie trudności, jakie normalnie mają wszystkie zakłady z tą kategorją chorych. Oczywiście, dominującą rolę gra tutaj osoba dyr. Zajączkowskiego, który z wielką dobrocią serca, z niezwykłym taktem, z subtelnością w podejściu do człowieka, łączy umiejętność wywierania tak wielkiego wpływu, że w oczach tych, którzy mieli szczęście z nim się zetknąć, jest bezwzględnym autorytetem. Ale obecnie, gdy Zakład coraz bardziej się rozrasta, gdy ściśle lekarskie i administracyjne zajęcia wypełniają czas dyrektora tak zupełnie, że często przy obiedzie przyjmuje raporty lekarzy asystentów, organizowanie wewnętrznego, towarzyskiego życia Zakładu należy do zadań Towarzystwa.

Przyjechałem do Świacka w okresie wytężonej działalności organizacyjnej. Ukończono właśnie wybory nowego Zarządu, w którym stanowisko wiceprezesa (prezesem z urzędu jest p. dyr. Zajączkowski), zajął ponownie p. rotmistrz Strach-Zaleński, a komisja teatralna, pod przewodnictwem p. inż. Gorskiego, obradowała nad programem przedstawienia i zabawy, którą miała uświetnić obecność wielu gości z sąsiedztwa. Próby jednoaktówki Bernarda Shaw'a p. t. „Dynamit" odbywały się dwa razy dziennie. Scena zakładowa, jakiej niepowstydziłby się żaden prowincjonalny teatr, stawała się widownią gorących utarczek pomiędzy aktorami a re-

żyserem, inż. Gorskim, który w ciągu kilkunastu dni potrafił z zupełnie surowego materjału ludzkiego stworzyć dobrze zgrany zespół. I właśnie w trakcie najgorętszej pracy zdarzył się przykry wypadek: pękła rura głównego wodociągu i cały Zakład został pozbawiony wody. Pęknięcie stwierdzono na głębokości 15-tu metrów. Przedstawiciel jednej z firm grodzieńskich ustala koszta reperacji na 250 zł. i nie może określić terminu ukończenia naprawy. I wówczas dzieje się rzecz bardzo znamienna: pacjenci powiadają, że wogóle szkoda tych 250 zł., że mamy przecież wśród nas inżyniera, niech naprawia. Dyrektor daje dwa dni czasu: jeśli za dwa dni nie będzie wody, sprowadzą mechanika z Grodna. Więc inż. Gorski w dzień prowadzi próby (bo to przecież za kilka dni przedstawienie), a w nocy naprawia rurociąg. Byłem przy tem i naprawdę, wyciągnięcie 15-tu metrów rury kanalizacyjnej, to jest wściekła robota. Pracu-



Kaplica w Świacku przed odnowieniem.

je inż. Gorski i kilku panów, którzy napewno nigdy takich rzeczy nie robili. Pierwszej nocy wyciągnięto rurę. Tego dnia kładziemy się spać z myślą: czy jutro wykąpiemy się, czy nie. No, i wykąpaliśmy się. Takie wypadki zdarzają się w Świacku często i są czemś wysoce zastanawiającem. Trudno sobie wyobrazić, żeby pacjenci jakiegokolwiek innego zakładu leczniczego roztkliwiali się spowodu nadprogramowego wydatku dyrekcji. Wiemy dobrze, jak to w tych wypadkach bywa: mówi się, że to niedopuszczalne, żeby rury pękały w zakładzie, że to brak dozoru, że dobrze im tak, niech płacą i t. p. A tutaj pacjenci protestują przeciwko wydaniu zakładowych pieniędzy na niezbędną reperację, bo przecież pieniądze są n a m bardzo potrzebne, m a m y w programie szereg inwestycyj, a tego rodzaju naprawy powinniśmy uskuteczniać „we własnym

zakresie". Więc już nie zakład, a „my", nie w zakładzie, a „u nas", — tak się tutaj mówi, i mogłem stwierdzić, że pod tem „my" i „u nas" kryje się sens bardzo głębokich przemian. Bo trzeba pamiętać, że większość ludzi, których Świack powraca życiu, zdążyła zatracić te wszystkie wartości, które drogą społecznego wychowania osiąga się ku własnemu i zbiorowemu pożytkowi i że ten społeczny stosunek kuracjuszów do państwowego, a więc wspólnego dobra, należy przypisać przeprowadzanej w zakładzie reedukacji.

Dzień, w którym odbyło się przedstawienie i zabawa, przyniósł nam wiele miłych wrażeń. Pierwsi przyjechali pp. O'Brien de Lacy z Augustówka i dwadzieścia kilka uroczych panien, które u nich spędzały wakacje. Augustówek kilka tygodni temu wystąpił z przedstawieniem amatorskiem i teraz, na naszą gorącą prośbę, powtórzy kilka numerów swe-



Z uroczystości poświęcenia odnowionej kaplicy w Świacku.

go programu. Wyciągamy z samochodu rekwizyty teatralne, użyczone przez teatr Słowackiego w Grodnie, piękne, atłasowe ubiory, noszone w tych dawnych czasach, które pałac w Świacku złączyły z imieniem Stanisława Augusta.

Po podwieczorku, którym podejmowali gości pp. dyrektorostwo Zajączkowscy, schodzimy na dół, gdzie mieszczą się gabinety lekarskie i sale przeznaczone do lecznictwa fizykalnego. Zatrzymujemy się przed rzędem wanien i natrysków, a dyrektor Zajączkowski mówi nam o działaniu hydroterapji, o cudownej zależności naszego aparatu psychicznego od funkcji ciała, i o tem, jak przez umiejętne operowanie ukrwieniem organizmu, przez wywoływanie chwilowej anemji i następowego energicznego

przekrwienia, podnosimy ogólny tonus ustroju, wpływamy na zwiększenie tempa przemiany materji i jesteśmy w stanie wyrwać człowieka ze stanów przygnębienia i apatji. Zwiedzamy gabinet elektroterapji i światłolecznictwa, duży pokój o kaflowej posadzce i olejno malowanych ścianach, przyglądamy się lśniącej aparaturze i wyrażamy podziw dla jej metalicznej urody. W miarę dowiadywania się o istocie i przeznaczeniu tajemniczych sprzętów, zaczyna docierać do nas ich nieuchwytna wymowa. Poprzez proste linje i błyszczące powierzchnie spogląda ku nam myśl, ujęta w formę energji, ukrytej w zwojach przewodników. Wyobraźnia zaczyna pracować i zdaje się nam, że dostrzegamy, jak zwykły prąd z elektrowni, oswojony prąd, który oświetla nasze mieszkania i jako zupełnie powszednie zjawisko nie budzi niepokoju, wybiega z cewki transformatora napięty do dwóch tysięcy Volt, jednorodny, niskoczęstotliwy, zmienny i uderza w kondensator obwodu pierwotnego, ażeby poddać się prawu Joul'a. W obwodzie pierwotnym zachodzą daleko idące zmiany, elektryczna magja, przetwarzanie silnie napiętego prądu zmiennego na wysokoczęstotliwy prąd niskiego napięcia, który, po włączeniu do obwodu terapeutycznego, przegrzewa tkanki chorego organizmu. Prądy Tesla, leczniczy prąd d'Arsonvalla, którego narodziny wymagają napięć wyrażających się w setkach tysięcy Volt, nie dawały tej ilości energji kalorycznej, jaka wyzwala się w obwodzie leczniczym aparatu djatermicznego. Jesteśmy coraz bliżsi zrozumienia tych spraw i widzimy, jak jego białe powierzchnie tracą swoją nieprzenikliwość, a poprzez zewnętrzny kształt dostrzegamy skomplikowaną budowę wnętrza, opartą na badaniach Max Wien'a. Na chwilę uwodzą naszą uwagę lampy do napromieniowań świetlnych, których lecznicze właściwości stanowią funkcję wychylenia promieni poza granice widma spektralnego i, zależnie od długości ich fali drgań, podnoszą temperaturę naświetlanego ciała, albo wywołują pewne zmiany w chemizmie żywego ustroju. Poza ilościowemi odchyleniami nie obserwujemy różnic w promienistym produkcie lamp, które, niezależnie od przewodniej melodji promieniowania, wysyłają wiązki tonów harmonicznych: promieni o falach długich, grupujących się w ostatnich oktawach skali Seidman'a, promieni tworzących widzialną część widma słonecznego, promieni nadfiołkowych... Wszystko to wydaje się nam zbyt fantastyczne i nie możemy pogodzić się z myślą, że wszelkie znane nam źródła energji promienistej są jakąś jedną słoneczną metaforą.

Zwiedzanie Zakładu przerwał nam dzwonek, zapowiadający początek przedstawienia. Dowcipna konferansjerka, prowadzona przez inż. Gorskiego i dr. Markowskiego, zaznajamia widzów z zakulisowemi sprawami tutejszego życia. Potem kurtyna i przenosimy się do wytwornej kajuty prywatnego yachtu prof. Byrda. Jego młoda i piękna żona (p. Udotówna), kocha młodzieńca o niepewnej przeszłości i nikomu nieznanem nazwisku: John Weeks (dr. Markowski). Rozmawiają o wynalazkach profesora i o literaturze, ale w niewinnych słowach kryją się drażniące aluzje. Profesor oznajmia, że załoga otrzymała jednodniowy urlop, przedtem jednak chciałby prosić kapitana Holms'a, który również udaje się na ląd, o opowiedzenie pewnej autentycznej i pouczającej historji. Kpt. Holms (p. Janowski), opowiada w sposób wysoce dramatyczny o tem, jak zabił nożem swoją młodą żonę i jej kochanka. Potem wychodzi. Prof. Byrd oświadcza, że on znalazł cokolwiek inne wyjście z podobnej sytuacji.W ka-

sie ogniotrwałej, która stoi w rogu kajuty, znajduje się maszyna piekielna, zaopatrzona w system zegarowy i dynamit. Za 10 minut wszyscy wylecą w powietrze. Krótka walka i Weeks odbiera klucze Byrdowi. Okazuje się jednak, że kasa posiada sekretny zamek, którego otwarcie wymaga znajomości hasła. Byrd mówi: hasłem jest nazwa miasta, w którem pan popełnił zbrodnię: sprzedał pan nieletnią dziewczynę do lupanaru! Weeks chwilę się waha, potem otwiera kasę i znajduje w niej... woreczek z piaskiem. Wykonawcom, a w pierwszym rzędzie inż. Gorskiemu, należą się szczerze gratulacje — o kwiatach pomyśleli widzowie. Na następną część programu złożyły się recytacje p. dr-owej Haltrechtowej i p. inż. Gorskiego, oraz piosenki w wykonaniu p. Udotówny, nagrodzone gorącemi oklaskami. Następnie dyr. Zajączkowski prosi wszystkich na górę, gdzie szereg niespodzianek przygotowują panie z Augustówka.

Długi korytarz, hall, szerokie schody, budzące delikatną melancholję i myśl o uroczym królu, który szukał tutaj odpoczynku po trudach Sejmów Grodzieńskich, a później olbrzymie salony, ściany pełne naiwnych malowideł, popiersia cesarzów rzymskich, południe renesansu. Meble — własność pp. dyr. Zajączkowskich—nikną w ogromie salonów, żeby zebrać się w piękną grupę w sali kolumnowej. Nawet człowiek obyty z rzeczami pięknemi może tu znaleźć szereg rzeczy godnych uwagi i budzących artystyczne wzruszenia. Możemy usiąść w staroświeckim fotelu, a myśl o jego szlachetnym kształcie wynagrodzi nam boleśnie wyczuwalną twardość poręczy i oparcia. Zatrzymujemy na chwilę oczy na kandelabrach, wykonanych z jasnego bronzu o dziwnie subtelnym ornamencie, który nie wyrażając nic konkretnego może wyrażać wszystko i współczujemy trzem fantastycznym łabędziom, których rozpostarte skrzydła zdają się giąć pod nadmiernym ciężarem. Obok, na kloszach cennych lamp, wykonanych z delikatnej zamorskiej porcelany, walczą dzielni samuraje, a ich szaty wzbudzają podziw swoim przepychem, a obnażone miecze połyskiem stali. Na machoniowym stoliku, utworzonym z prostokątnych płaszczyzn, moglibyśmy się uczyć anatomji pięknych sprzętów i może na jedną chwilę przeniknęłoby nas zrozumienie ich nieuchwytnej duchowości. Wąskie, bezużyteczne naczynie z kaukazkiego srebra przywodzi nam na myśl oliwne lampki, których naiwny kształt ma w sobie wiele słodyczy, a które znajdowano wśród ruin i grobowców dawnego świata...

A wśród ozdobnych sprzętów kwitną stylowe panny. Grają historję miłości romantycznej, która zaczyna się pocałunkiem, a kończy uderzeniem szpady. Młoda księżna słucha miłosnych zwierzeń, ale zamiast uskrzydlonych słów, z ust kochanka spływają liczby 1, 2, 3, 4, 5: — kocham ciebie! — z coraz większym patosem deklamuje paź. 6, 7, 8, 9, 10, — odpowiada księżna. I gdy tak sobie miłośnie rachują, wpada zdradzony małżonek i groźnym głosem woła: 51, 52, 53! (Kochankowie zdążyli już narachować do 50-ciu). A potem błyskają szpady i z liczbą 100 na ustach umiera gładkolicy kochanek. — Cała historja nazywa się „od 1 do 100" i z wielką brawurą była odegrana przez czarujące i młodziutkie panie.

Oto kilka obrazków z życia Świacka. Starałem się je odtworzyć możliwie wiernie, bez nadmiernego komentowania. Pokazałem parę fragmentów Zakładu, którym warto poświęcić trochę uwagi, choćby ze względu na ten aljaż niezwykły, w jaki stopiły się tutaj style dwóch epok. W tem

zestawieniu kryje się dla mnie jakieś przejmujące piękno, trudne do powierzenia określającym słowom. Myślę jednak, że gdybym szukał symbolu na wyrażenie jakiejś idealnej koncepcji człowieka, nie potrzebowałbym szukać go poza Świackiem.

Michał Klimowicz.

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY.

Sądzimy, że powinniśmy się zaznajomić, bodaj w krótkim zarysie, z akcją, prowadzoną w sposób doskonale zorganizowany przez obóz nam wrogi — kapitału alkoholowego. Producenci wina uzyskali pomoc i autorytet pewnego odłamu lekarzy. Już na początku bieżącego roku zapowiedzieli oni Kongres Międzynarodowy lekarzy przyjaciół wina w Lozannie, pod przewodnictwem profesora z Bordeaux, doktora Portmanna — tego samego, który niedawno w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej prowadził ożywioną propagandę win francuskich. Związek lekarzy kantonu Vaud został zaproszony do współpracy w zorganizowaniu tego Kongresu, ale stanowczo odmówił przyjęcia jakiegokolwiek w nim udziału, słusznie stwierdzając, że wobec zadania służenia sprawie higjeny, co leży u podstaw pracy lekarskiej, nie może się przyłączać do akcji, mającej na celu względy natury ekonomicznej, sprzeczne w danym wypadku ze wskazaniami zdrowotnemi. W programie Zjazdu wyznaczono również miejsce zagadnieniu związku między winem, a chorobami psychicznemi.

Komitet francuski dla propagandy win, rozporządzający ogromnymi funduszami, prowadził usilną, natarczywą propagandę na rzecz wina, starając się używać najbardziej frapujących środków reklamy. Masą ulotek zasypane zostały nie tylko hotele, restauracje, sklepy kolonjalne, ale nawet i szkoły. Cała Francja mogła podziwiać afisze z napisami fascynującemi wyobraźnię, a więc: „pijcie wino i żyjcie radośnie", „dobre wina francuskie zapewniają zdrowie, radość i długowieczność", „wino jest napojem najhigjeniczniejszym ze wszystkich", „obiad bez wina jest jak dzień bez słońca", „przed grypą chroni wino". Poczęto nawet propagować picie wina w kawiarniach.

Do małych wiosek wysłano agitatorów, którzy na zebraniach specjalnych i po szkołach, rozdając próbki win, nawołują do spożywania tego „błogosławionego" napoju. Sportowcom kładą do głowy, że wino dodaje sił — organizują na szlaku wyścigów postoje z winem i zgromadzoną publiczność zasypują ulotkami, wychwalającemi dodatnie właściwości wina.

W kinach nakręcane są specjalne filmy, odtwarzające błogostan życia domowego w połączeniu z użyciem wina. Często roi się od scen masowego picia tego „zdrowotnego" napoju.

W środowiskach artystycznych i tak zresztą bardzo sprzyjających winu, również mają swych przedstawicieli, podtrzymujących gorąco pogląd, że wino sprzyja twórczości, podniecając siły duchowe i intelektualne.

W radjo również słyszy się nieraz, jak lekarze, politycy, pisarze wychwalają zalety tego niezastąpionego napoju.

Komitet propagandy wina zabiega usilnie o współpracę lekarzy.

Wspiera wszelakie rzekomo naukowe badania, wykazujące odżywcze, higjeniczne i lecznicze właściwości wina. Istnieje nawet Komitet Kobiecy propagandy win, który specjalnie agituje wśród matek i wychowawczyń.

Na wszelkiego rodzaju wystawach i targach są urządzane pijalnie wina, w celu dania możności wypróbowania gatunków win. W Maçon, w Bordeaux, w Reims urządzono uroczyste „święta wina".

Nie zapomniano również i o cudzoziemcach, których otoczono szczególną opieką, aby pozyskać w nich zapalonych i licznych konsumentów. Celem tej intensywnej agitacji jest osiągnięcie takiego rezultatu, by ci, co nie używają jeszcze wina stali się jego zwolennikami i spożywcami.

Natomiast producenci win francuskich są niezadowoleni z Ameryki. W „Międzynarodowym Biuletynie propagandy win" markiz de Polignac wyraża swą naganę Ameryce, że zawiodła nadzieje, pokładane w obaleniu prohibicji. Amerykanie, jak się okazało, nie umieją ocenić walorów wina francuskiego i piją swój narodowy napój whisky. Nie rozumieją oni, że właśnie francuskie wino jest najbardziej odżywcze. — Panie-amerykanki zaś nie wiedzą, że blask oczu bez zaczerwienienia twarzy daje szampan marki Polignac, który również nigdy nie spowoduje utraty pięknej linji — svelte. Amerykanie nie uświadamiają sobie także, że największe dzieła filozoficzne powstały w cieniu butelek z winem, że jest ono zalecane chorym w szpitalach, gdyż zapewnia długowieczność.

W Szwajcarji protest przeciwko Kongresowi w Lozannie zupełnie wyraźnie się zaznaczył w stanowisku Rady Związkowej, która orzekła, że niema nic wspólnego z Kongresem lekarzy zwolenników wina. W pełni lata zebrało się w Lozannie około 500 osób, na którem to posiedzeniu kilku lekarzy protestowało kategorycznie przeciw współpracy lekarzy z ruchem wyłącznie ekonomicznym, jakim faktycznie jest ruch propagandy na rzecz wina. Znamiennem jest również stanowisko prasy szwajcarskiej, która otworzyła gościnnie swe łamy głosom propagandy przeciwnej Kongresowi lekarzy przyjaciół wina.

Tak więc starannie przygotowany i intensywnie rozreklamowany odbył się w Lozannie w końcu sierpnia b. r. Międzynarodowy Kongres lekarzy przyjaciół wina, w środowisku niezbyt dlań przychylnem. Stowarzyszenie lekarzy z kantonu Vaud, mimo zaproszeń, udziału w nim nie wzięło, nie chcąc popierać zjazdu, którego faktycznym celem była wszechświatowa propaganda wina. Zdaje się, że tylko dwóch lekarzy szwajcarskich uczestniczyło w obradach, a więc był to raczej Kongres lekarzy obcych krajów, odbyty na ziemi szwajcarskiej. Związek szwajcarskich lekarzy psychjatrów, łącznie z kilkoma organizacjami religijnemi, zaprotestował przeciw takiemu skandalowi, jakim był tego rodzaju Kongres. Wydano ulotkę, którą rozpowszechniono po całym kraju, że Kongres ten jest faktycznie propagandą eksportu wina zagranicznego, oraz afisz z napisem następującym: „Nazwanie napojów alkoholowych napojami higjenicznemi jest bezsensem".

Przebieg tego Kongresu uwydatnił w całej pełni jego podłoże handlowe, mimo usiłowań ze strony senatora Portmann'a zatuszowania tej prawdy. 50 lekarzy, biorących udział w Kongresie, było subsydjowanych przez Międzynarodowe Przedstawicielstwo win, oraz przez Komitet francuski propagandy wina.

Wśród referatów zasługiwał na uwagę odczyt d-ra Baglioni z Rzy-

mu, poświęcony witaminom w winie i w winogronach; d-ra Veissenbacha z Francji, który faktycznie zachęcał do używania wina i dr. Anglade'a, psychjatry, który dał niezmiernie obszerny wstęp o wysokiej cywilizacji Egiptu, Asyrji, Grecji i Rzymu, podkreślając, że to były narody, spożywające wielkie ilości wina. Przeszedłszy zaś do omawiania stosunku, jaki zachodzi między alkoholizmem a chorobami psychicznemi, poddał surowej krytyce wszelkie statystyczne dane, twierdząc, że są one zawsze zaprawne stronniczym punktem patrzenia na tę sprawę samego lekarza. Wiarogodną i bezstronną natomiast jest statystyka, przeprowadzona właśnie przez niego, a wykazująca znikomy procent psychoz alkoholowych. Odczyt swój kończy obrazem malowniczych okolic Bordeaux, zachwyca się rodzajem umysłowości Burgundji, która tylu znakomitych ludzi wydała. W trzeciej części swego przemówienia, stwierdził, że ze wszystkich napojów alkoholowych właśnie wino zapewnia równowagę umysłową i należy je zalecać starcom, którzy tak często bywają pochmurni i rozdrażnieni.

Kongres uchwalił nową nazwę dla swej organizacji, — ma ona brzmieć: „Międzynarodowe Towarzystwo Lekarskie dla naukowego badania właściwości wina i winogron". Nazwa nowa, lecz treść pozostaje ta sama — będą tu się i nadal grupować lekarze obrońcy wina, osobiście zainteresowani w handlowych obrotach tym napojem, a więc mowy być nie może o naukowem badaniu tego zagadnienia.

Kongres uchwalił zwrócić się do ministerstw Zdrowia Publicznego, Oświaty i Rolnictwa z rezolucjami: Kongres w Lozannie wzywa Ministerstwa Zdrowia Publicznego do współpracy w propagandzie wina, którego nawet nadużycie nie prowadzi nigdy do groźnych następstw, tak jak to ma miejsce z innemi napojami alkoholowemi. Do Ministerjów Oświaty Kongres zwraca się z wezwaniem propagowania w szkołach wina, które może się właśnie stać antidotum dla alkoholizmu. Usłuchano już, niestety, tego wezwania we Francji i minister oświaty zachęcił nauczycieli do agitacji wśród dzieci na rzecz wina.

Następny Kongres tej organizacji ma się odbyć w Lizbonie w 1938 r. (Według biuletynów Międzynarodowego Biura do walki z alkoholizmem w Lozannie).

„Journal de Genève" z dnia 21.9.1935 drukuje króciutką notatkę lekarzy ordynujących w genewskiej przychodni przeciwalkoholowej, stwierdzającą ujemny wpływ stosowanego zwyczaju dawania „napiwków" w postaci częstowania napojami alkoholowemi posłańców, chłopców do posług i t. d., co jest propagowaniem obyczaju alkoholowego i wciąganiem pracowników do picia. Zwyczaj ten możnaby zastąpić poczęstunkiem napojem bezalkoholowym, lub składaniem pewnego datku na rachunek, w kasie wzajemnej pomocy pracowników danego działu. Lekarze ci stwierdzają również, że pracownicy abstynenci bywają częstokroć atakowani przez pijących, którzy radziby byli za wszelką cenę wciągnąć ich również do picia, a szczycą się i chlubią, gdy uda się im ostatecznie abstynenta do picia nakłonić. Prawdopodobnie nie umieją dojrzeć nędzy i dramatów powodowanych przez alkoholizm. Lekarze kończą apelem do solidarności robotniczej, która winna się ujawniać właśnie w pomocy i podtrzymywaniu wzajemnem w abstynencji. Sądzę, że i u nas moglibyśmy również zaniechać dawania „na piwo", i nie udzielać poczęstunków

w postaci kieliszka wódki. Byłoby to wprowadzanie nowego obyczaju „trzeźwościowego“, mogącego mieć duży wpływ wychowawczy i uświadamiający, bo naogół społeczeństwo we wszystkich jego warstwach nie zna zagadnienia i lekceważy je kompletnie.

H. N. O. S.

Z ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW.

Koło A. L. K. Lwów, odbyło dnia 10 lipca b. r. I pielgrzymkę na Wawel — do grobu Nieśmiertelnego Wodza Narodu Marszałka Józefa Piłsudskiego. Do Krakowa przybyła pielgrzymka o godz. 5.42 rano w liczbie czterdziestu osób — zajmując wagon II kl. przydzielony przez D. O. K. P. we Lwowie. Na miasto wyruszono o godz. 7.45 rano, aby wziąć udział w nabożeństwie w kościele Najświętszej Marji Panny. Po



I. Pielgrzymka Koła A. L. K. Lwów na Sowińcu dn. 10.VII. 1935 r.
W środku (siedzi) Prezes Koła, p. Adam Rauch.

wysłuchaniu Mszy św., pielgrzymka udała się na Wawel, zwiedzając po drodze Sukiennice i inne zabytki historyczne. W długim — bo wielotysięcznym ogonku wśród najmłodszych abstynentów — harcerzy (udających się stąd na zlot do Spały) — około południa, złożyła pielgrzymka hołd drogim prochom Wodza Narodu.

Chwile dalsze poświęcono zwiedzaniu katedry wawelskiej i komnat królewskich. Całe popołudnie przeznaczyła pielgrzymka sypaniu kopca na Sowińcu. Późnym wieczorem wrócono do wagonu, aby udać się

w dalszą drogę nad polskie morze: do Gdyni i Gdańska, a następnie w drodze powrotnej do Warszawy. W Krakowie oprowadzał pielgrzymkę krakowianin p. Edmund Szymonek, za co składamy mu imieniem Koła serdeczne podziękowanie.

W dniu 25 września b. r. urządza Koło drugą pielgrzymkę do Krakowa. Z Krakowa uda się wycieczka do Wieliczki, a w dniach 27 i 28 września bawić będzie na Śląsku. Powrót nastąpi dnia 29 b. m.

Pielgrzymka i wycieczka rozporządza wagonem przydzielonym przez D. O. K. P. we Lwowie. W tegorocznym Międzynarodowym Kongresie Kolejarzy Abstynentów, odbywającym się w Wiedniu w dniach



Wycieczka Koła Lwów A. L. K. w Gdyni — w dniu 12 lipca 1935 r.

3 i 4 września b. r., wzięło udział kilkunastu członków Koła. Wyjazd nastąpił w niedzielę dnia 1 września b. r. — powrót dnia 6 września.

Delegacja wzięła także udział w wycieczce w Alpy austrjackie, doznając wielu niezapomnianych wrażeń.

Na Kongresie przeżyli delegaci polscy miłe chwile, a szczególnie miłem zdarzeniem był moment, wręczenia wielkiemu przyjacielowi Polski i naszej A. L. K. p. prezydentowi Karolowi Weberowi — dyplomu członka honorowego A. L. K., przyznanego Mu uchwałą Walnego Zjazdu w dniu 2 lutego 1935 r. w Warszawie.

S. Ziemlański, Sekretarz. *A. Kauch,* Prezes.

KOŁO A. L. K. W ŁAPACH.

W czerwcu przybył do nas *Wagon-Wystawa A. L. K.* — Zwiedziło go w ciągu 2 dni postoju 213 kolejarzy, 159 członków ich rodzin, 505 uczącej się młodzieży i 109 osób prywatnych — razem 986 osób

Prelekcję na temat „Konieczność walki z alkoholizmem" wygłosił 10 razy prelegent z Wilna, p. *Jan Nosowicz*. Wykłady połączone były z wyświetlaniem szeregu kolorowych i b. ciekawych przezroczy, z zakresu zagadnienia alkoholizmu, oraz krajoznawcze (Pomorze i Tatry). Przezrocza wyświetlał 22 razy niezmordowany członek A. L. K. ze Lwowa, p. Ludwik Błahut.

Wybrany na Walnem Zgromadzeniu członków Zarząd Koła—ukonstytuował się w sposób następujący: Prezes Stanisław Wasilewski, Wiceprezes p. Zofja Tymczijowa, Skarbnik p. Wacław Jałowik, Sekretarz p. Zygmunt Wiśniewski i p. Piotr Rak członek Zarządu. Komisja Rewizyjna p.p.: Antoni Januszewicz, Bolesław Perkowski, Grzegorz Reut i del. na Zjazd Okręgowy p. Zygmunt Wiśniewski.

Sekretarz *Z. Wiśniewski.* Prezes *St. Wasilewski.*

PRZEGLĄD PRASY

W „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym" z dn. 26.IX w dziale „lekarskim" znajdujemy artykulik:

„*Bez komentarzy*

ALKOHOL".

„Niedziela popołudniu. Piękne jesienne słońce przygrzewa jeszcze wcale dobrze. Spokój i cisza dookoła, przerywana tylko od czasu do czasu krzykami podochoconych wódką górali. Jesteśmy w Chabówce.

Na torze kolejowym, zdala od stacji, stanął sobie młody parobek J. — Po chwili podchodzi do niego drugi parobek M. w towarzystwie dwóch kolegów, i „radzi" mu z toru zejść, „bo na torze stać nie wolno".

— A właśnie, że mnie wolno.

— Nikomu nie wolno, to i tobie nie wolno. A jak nie zejdziesz, to cię siłą ściągniemy.

— Spróbujcie...

Obaj podchmieleni młodzieńcy wymienili siarczyste policzki, poczem parobek M. flegmatycznie poszedł do sąsiedniej chałupy po siekierę, po chwili wrócił i z całym spokojem rozpłatał głowę swemu przeciwnikowi.

Godzina druga w nocy. Do jednego ze szpitali krakowskich przywieziono młodego, 24-letniego górala z Chabówki ze straszliwie rozpłataną głową. Przywieźli go brat i rozpaczający ojciec.

Przystąpiono natychmiast do operacji. Nieszczęśliwa ofiara zwierzęcych instynktów, wyzwolonych kilkoma kieliszkami wódki, ma rozpłataną czaszkę na przestrzeni dziesięciu centymetrów. Rana sięga głęboko w mózg.

Zbrodniarzem zajęła się policja. Zostanie on zapewne odpowiednio ukarany. Nie wystarczy jednak ukarać zbrodniarza. Właściwym inspiratorem zwierzęcej zbrodni był

bowiem alkohol. Ile nieszczęść wywołuje alkohol, może Wam opowiedzieć każdy lekarz. który w niedzielę lub inne święto pełnił dyżur w jakimkolwiek szpitalu chirurgicznym.

I dla tego nie wystarczy ukarać samego zbrodniarza z Chabówki. Władze powinny na przeciąg sześciu miesięcy zakazać w całej Chabówce sprzedaży wódki i innych napojów wyskokowych. Będzie to doskonała „kara" dla alkoholu. W państwach cywilizowanych kara odstraszać ma zbrodniarzy przed ich zbrodniczemi czynnościami. Kara zapobiegać ma zbrodniom.

Czasowy zakaz sprzedaży alkoholu spełni zatem doskonale te wymagania. Możemy zaręczyć, że we wsi, w której parobcy nie będą upijać się wódką, żaden normalny, będący w pełni władz umysłowych człowiek, nie rozpłata swemu bliźniemu głowy ciężką siekierą, w pełnem słońcu, na miejscu publicznem, za błahą sprzeczkę, o drobnostkę, nie obchodzącą w gruncie rzeczy ani napastnika, ani nieszczęśliwą ofiarę".

Chociaż „I. K. C." w tytule zaznacza, że wiadomość o zbrodni w Chabówce nie wymaga komentarzy, ale konkluzja, zawarta w artykuliku, a domagająca się *zakazu na przeciąg 6 miesięcy w całej Chabówce sprzedaży wódki i innych napojów alkoholowych*, — zdaniem naszem — wymaga komentarza. Czy zakaz w takiej Chabówce powstrzyma ludzi od picia? Nie!. Bo ludzie nieuświadomieni o szkodliwem i niebezpiecznem działaniu trucizny alkoholowej nie mając możności zdobycia pożądanych napojów alkoholowych drogą legalną — poszukiwać ich będą na drodze nielegalnej w postaci samogonki, denaturatu i t. p. Zapobiegać zbrodniom na tle alkoholizmu (w ostatnich czasach mnożącym się wybitnie w całem Państwie) można i należy przedewszystkiem przez uświadamianie najszerszych warstw społecznych o istocie działania alkoholu. Urządzenie fachowego Kursu alkohologji w Chabówce byłoby 1000 razy korzystniejsze i skuteczniejsze, niż sam zakaz formalny, nie poparty nakazem wewnętrzno-moralnym. To też uważamy, że bezporównania głębiej ujął omawiany temat p. *Jim* w „Kurjerze Porannym" (24.VII. b. r.) w art. p. t.

ZANIEDBANA SPRAWA.

„W ostatnich dniach kroniki kryminalne zanotowały u nas szereg zabójstw, popełnionych przez pijaków. Ofiarą zbrodni padli przypadkowi przechodnie lub ludzie, których udział w zajściu ograniczał się do żywej interwencji. Sprawcy zabójstw działali w stanie silnego upojenia alkoholowego, znaczna część spośród nich należy niewątpliwie do kategorji nałogowych alkoholików, którzy już niejednokrotnie miewali konflikty z prawem i powinni byli spotkać się z należytą represją karną.

Walka z alkoholizmem nie jest u nas prowadzona w takich rozmiarach, w jakich z uwagi na doniosłe społeczne znaczenie tej sprawy, powinna być realizowana. Zarówno w dziedzinie lecznictwa, profilaktyki przestępczej, jak i na terenie sądu przy wymiarze kary za przestępstwa popełnione po pijanemu. Za mało mamy zakładów leczniczych i przychodni dla alkoholików i w niedostatecznej mierze roztaczamy kontrolę nad osobnikami, którzy z uwagi na chroniczne nadużywanie alkoholu są trwale niebezpieczni dla otoczenia.

Przymusowe leczenie alkoholików w specjalnych zakładach należy ciągle jeszcze do rzędu nieosiągalnych postulatów lekarskich. Interwencja czynników państwowych następuje dopiero w chwili, gdy chroniczny alkoholik popełnia przestępstwo — a więc wówczas, gdy na stole sekcyjnym w prosektorjum leżą już ofiary jego zbrodni. Cały okres poprzedzający przestępstwo, nie bacząc na groźne objawy stanu niebezpieczeństwa alkoholika dla społeczeństwa, nie interesuje dotąd nikogo. W tym stanie rzeczy przestępstwo zjawia się z nieubłaganą koniecznością.

Ocena czynów przestępczych alkoholika przez sądy pozostawia nadal wiele do życzenia, nie bacząc na wyraźny przepis nowego kodeksu karnego, który nie pozwala

w tych wypadkach na nadzwyczajne złagodzenie kary. Ustawodawca nasz zajął w tej sprawie jedynie słuszne stanowisko, podkreślając, iż stan upicia się nie powinien być uważany za okoliczność łagodzącą. W praktyce sądy nadal jednak traktują alkoholików z dużą pobłażliwością, wymierzając niewielkie kary za przestępstwa, popełniane po pijanemu i nie stosując przepisu o zamknięciu takiego przestępcy w zakładzie leczniczym dla alkoholików. Poczucie bezkarności wywiera na tych osobników wpływ wysoce demoralizujący; przejście od drobnych przekroczeń do poważnych przestępstw następuje nader szybko.

Walka z alkoholizmem powinna u nas wkroczyć jaknajprędzej na należyte tory. Bierna postawa państwa i społeczeństwa wobec alkoholików doprowadza w praktyce do tragicznych zajść, których świadkami jesteśmy niemal codziennie.

Powinniśmy wreszcie pomyśleć o realizacji ustawy przeciwalkoholowej z 1931 roku i poświęcić część dochodów z monopolu spirytusowego na walkę z alkoholizmem".

ALKOHOLIZM I PRZESTĘPSTWA.

ALKOHOLIZM I PRZESTĘPSTWA. Baczni obserwatorzy życia i uważni czytelnicy gazet zgodnie stwierdzają wzrost liczby przestępstw, popełnianych po pijanemu. — Zaczyna też zwracać uwagę na to i nasza prasa codzienna. Dwa takie głosy („I. K. C." i „Kurj. Porannego"), omawiające to zjawisko, podajemy wyżej w „Przeglądzie Prasy".

Obecnie przytaczamy kilka takich faktów:

Uczucie grozy wywołuje następujący wypadek:

U kuśnierza p. Staszewskiego przy ul. Kruczej 26 pracował Kazimierz Ślusarek, mieszkający tam dla ochrony futer i warsztatu. Gdy dn. 7.VI. właściciel składu przybył do warsztatu, nie mógł się tam dostać. Drzwi otworzono przy pomocy ślusarza. W mieszkaniu panował trujący odór gazu świetlnego. Ślusarka znaleziono nieprzytomnego; kran kuchenki gazowej był odkręcony. Właściciel stwierdził kradzież różnych futer m. in. 10 srebrnych lisów. Śledztwo wykryło, że widziano Ślusarka z niejakim Stanisławem Skowronem, który niedawno nawiązał ze Ślusarkiem znajomość, nie skąpiąc objawów serdeczności, zapraszając na „poczęstunki". Gdy na drugi dzień Ślusarek w szpitalu odzyskał przytomność, zeznał, że w przeddzień zbrodniczego zamachu Skowron zaprosił Ślusarka do swej kochanki i tu odbyła się suta libacja, w wyniku której stracił przytomność. Skowron odwiózł Ślusarka do pracowni na Kruczą 26 i tu ułożył go, nieprzytomnego do łóżka, poczem odszedł, zatrzaskując drzwi. Odszedł jednak z walizką, do której zagarnął futra i jednocześnie dla zatarcia śladów odkręcił kran gazowy, gdyż sądził, że śmierć Ślusarka zagmatwa sprawę, stwarzając pozory samobójstwa. Skowrona aresztowano, futra odebrano. Był on tak pewien swego szatańskiego planu, że zlikwidował już mieszkanie i zamierzał wyjechać. („Kurj. Warsz." 9.VI).

10 czerwca (Ziel. świątki), zaszedł w Warszawie na tle alkoholizmu fakt wprost przerażający: o północy, wracając do domu, spokojny robotnik, 31 l., Jan Kędzierski, spotkał jakiegoś mężczyznę z kobietą; nieznajomy bez żadnego powodu zagrodził mu drogę i obrzucił wyzwiskami. Kędzierski starał się uniknąć awantury i przejść dalej, ale napastnik zadał mu nożem cios w obojczyk, przecinając arterję; krew niewinnej ofiary bryznęła na mordercę. Morderca i towarzysząca mu kobieta uciekli. Kędzierski, słaniając się, zbroczonemi krwią rękami opierał się o ścianę domu, pozostawiając na niej krwawe ślady, wreszcie martwy padł na ziemię...

Krwawym szlakiem zbrodni pobiegł jakiś przypadkowy świadek zabójstwa, żołnierz.

Inni przechodnie wezwali lekarza Pogotowia. Kędzierski zmarł jednak przed jego przybyciem, nie odzyskawszy przytomności.

Policja, zawiadomiona o morderstwie, zarządziła natychmiastowy pościg i, kierując się wskazówkami owego żołnierza, dotarła do domu przy ul. Modlińskiej 26.

Tam, w jednem z mieszkań, znaleziono zbrodniarza. Nie mógł zaprzeczyć: zdradziła go krew na ubraniu.

Przyprowadzono go w kajdanach wraz z towarzyszką do komisarjatu policji.

Tutaj wylegitymował się, jako Adam Kołakowski, rzeźnik.

Obydwoje byli pijani do utraty zmysłów. Z doraźnego dochodzenia i zeznań świadków wynikło, że towarzyszka zbrodniarza tuż przed zabójstwem odezwała się głośno:

— Ja chcę się dzisiaj z kimś pobić.

Kołakowski, chcąc spełnić ten krwawy kaprys swojej damy, uderzył nożem pierwszego napotkanego przechodnia.

Jak ustalono, morderca nie znał zupełnie Kędzierskiego.

Zabity osierocił matkę i brata bezrobotnego, których utrzymywał.

A tymczasem u nas zamiast wzmóc walkę z alkoholizmem — powiększa się liczbę koncesyj alkoholowych w nieskończoność; nęci dochód... ale to dochód straszny, choć pozornie łatwy — ciąży na nim całe morze krzywd ludzkich, dzieci, kobiet i innych ofiar szaleństwa alkoholowego. Wskutek kryzysu zmniejsza się u nas liczba ośrodków kultury, jak szkoły — a mnoży się liczba ośrodków upadku, przestępstwa i zbrodni... Czy to dobrze? Czy słusznie? Z punktu widzenia ludzkiego, moralnego, wreszcie państwowego — to absurd. *Dochód z alkoholu nigdy nie zdoła pokryć bodaj w części strat i klęsk, wywoływanych przezeń* w postaci nędzy, zdziczenia i zwyrodnienia.

Mówi się u nas ciągle o niskim stanie oświaty i kultury, o braku ludzi, o nędzy powszechnej, zwala się czasem winę za to wszystko na zaborców, ale sami, niczem już niekrępowani, jakby w obłędzie jakimś, dopomagamy szerzeniu się zła wszelkiego, związanego z alkoholizmem powszechnym, który jest hamulcem postępu i rozwoju istotnej, a nie zewnętrznej tylko kultury. — Kto kultywuje i pomnaża alkoholizm, ten sieje ziarno destrukcji — przedewszystkiem w sferze moralnej.

I jeszcze jedno; modnem się u nas stało hasło mocarstwowości — otóż kto poważnie pracuje dla siły i potęgi swego Państwa, a jednocześnie pozwala na niczem niehamowany rozwój alkoholizmu — ten popełnia błąd zasadniczy, błąd logiczny, — gdyż alkoholizm powszechny, dający nawet duże dochody materjalne, sieje jednocześnie zniszczenie moralne (a nawet i materjalne) daleko większe, niż miljony, płynące do kas państwowych ze „źródła zatrutego".

J. S.

KRONIKA.

X KURS ALKOHOLOGJI, zorganizowany z inicjatywy i przy poparciu Departamentu Służby Zdrowia Ministerjum Opieki Społecznej w porozumieniu z Tow. „Trzeźwość", odbędzie się w Państwowej Szkole Higjeny w Warszawie w dniach 2—7 grudnia b. r. Informacyj udziela i zapisy przyjmuje Sekretarjat Państw. Szkoły Higjeny, Warszawa, ul. Chocimska 24, tel. 8-94-81. Wpis 5 zł. Podania z załączeniem krótkiego życiorysu i zaświadczenia instytucji lub organizacji delegującej lub polecającej kandydata(tkę) przesyłać należy najpóźniej do dn. 22.XI. b. r. włącznie. Dla pewnej liczby słuchaczy(czek) zapewnione są stypendja Departamentu Służby Zdrowia M. O. S. w wysokości 50 zł. O przyjęciu na Kurs i ewentualnem przyznaniu stypendjum kandydaci(tki) zawiadomieni zostaną przed dniem 30.XI. b. r.



